

A close-up photograph of a woman's face in profile, looking down. She is wearing a purple qipao with intricate floral embroidery. She is holding a bouquet of pink lilies. The background is dark and out of focus.

Nauczmy się rozumieć inność, zanim
powiemy, że jesteśmy tolerancyjni.
Nie da się zaakceptować tego,
czego się nie rozumie.

JOANNA
MISZCZUK

Nefrytowa szpilka

Prószyński i S-ka

JOANNA
MISZCZUK

Nefrytowa szpilka

Prószyński i S-ka

Copyright © Joanna Miszczuk, 2016

Projekt okładki
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcia na okładce
© Małgorzata Maj/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8097-787-7

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Jak mam być tolerancyjna wobec czegoś,
czego nie znam i nie rozumiem?*

Dla Ireny, mojej mamy

Pamięci Pearl Bucks

Moja fascynacja Azją i uwielbienie dla literatury laureatki Nobla Pearl Bucks wydały owoc. Jest nim ta powieść. Jak w każdej mojej książce powołuję się na fakty historyczne, lecz tak jak w poprzednich, tak i w tej są one jedynie tłem dla historii wymyślonej przeze mnie. Zrozumieć Chiny – to nie jest łatwe i nie sądzę, aby mi się udało. Jednak dzięki próbom i poszukiwaniom pojęłam jedno. Zrozumienie jest kluczem do tolerancji.

Tolerancja = termin stosowany w socjologii, badaniach nad kulturą i religią. Słowo oznacza w tym kontekście „poszanowanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, różniących się od własnych”.

Wikipedia pl

Tolerancja (łac. *tolerantia* = cierpliwa wytrwałość; od łac. czasownika *tolerare* = wytrzymywać, znosić, przecierpieć) – w mowie potocznej i naukach społecznych postawa społeczna i osobista odznaczająca się poszanowaniem poglądów, zachowań i cech innych ludzi, a także ich samych. Tolerancja nie oznacza akceptacji (por. łac. *acceptatio* = przyjmować, sprzyjać) czyjegoś zachowania czy poglądów. Wręcz przeciwnie, tolerancja to poszanowanie czyichś zachowań lub poglądów, mimo że nam się one nie podobają.

Wikipedia pl

Tolerancja (od łac. *tolerare* = znosić, wytrzymywać) oznacza cierpliwość i wyrozumiałość dla odmienności. Jest poszanowaniem cudzych uczuć, poglądów, upodobań, wierzeń, obyczajów i postępowania, choćby były całkowicie odmienne od naszych własnych albo zupełnie z nimi sprzeczne. Współcześnie rozumiana tolerancja to szacunek dla wolności innych ludzi, ich myśli i opinii oraz sposobu życia.

www.tolerancja.pl

今天

Dzisiaj, Wrocław 2015

Złośliwe bzyczenie nie ustawało. Jeszcze mgliście unosił się w pamięci obraz twarzy mamy, jeszcze czuła leniwe ciepło sierpniowego wieczoru i intensywny zapach lawendy. Uporczywy, natrętny dźwięk wypierał wszystkie te wrażenia. Melania niechętnie otworzyła oczy. Sen umknął, a fosforyzujące cyfry zegara przy łóżku wskazywały godzinę trzecią piętnaście, smartfon podrygiwał na szafce nocnej i brzęczał. Zawsze wieczorem przestawiała go na wibracje i wyłączała przekazanych, aby sygnały wiadomości z mejla i Facebooka jej nie budziły. Nie było jednak nikogo, kto mógłby dzwonić do niej o tej porze. Rodziny nie miała, prawdziwych przyjaciół też zresztą nie, telefon odzywał się głównie służbowo.

Ale kto dzwoni w interesach w środku nocy? Pewnie jakiś pijany idiota źle wybrał numer. Zirytowana odebrała połączenie, nawet nie spoglądając na numer na wyświetlaczu.

– Halo? – warknęła do słuchawki, bardziej napastliwie niż pytająco.

– *Ni hao, Mel Lan.* – Usłyszała męski głos z miękkim azjatyckim akcentem.

Jej serce nagle zatrzymało się na parę sekund, które wydawały się wiecznością. Senność i rozdrażnienie rozplynęły się i znikły. Czas stanął, a po chwili ruszył w zwolnionym tempie w przód i jednocześnie w tył, przywołując wspomnienia.

Mel Lan, nikt jej tak nie nazywał od wielu lat. Właściwie nikt inny nigdy jej tak nie nazywał, tylko on. Serce podjęło swą pracę ze zdwojonym zapalem. Tłukło się w piersi jak szalone. Musiała szybko nad nim zapanować, uspokoić je, aby mężczyzna, którego natychmiast po tylu latach rozpoznała, nie usłyszał napięcia w jej głosie. Odetchnęła głęboko i przyłożyła telefon do policzka.

– *Hao, hao, Gong Tan Ling* – odpowiedziała płynnym mandaryńskim na powitanie. – Miło cię słyszeć, chociaż jak zwykle zapomniałeś o różnicy czasu. Witaj ponownie o trzeciej w nocy, po latach. – Roześmiała się.

– O, istotnie, przepraszam. – W jego ustach każde przeprosiny, każda forma grzecznościowa, której używał, brzmiały tak autentycznie. – Wybacz mi, proszę, zadzwonię za parę godzin. Mogę zadzwonić do ciebie, Mel Lan?

– Nie przesadzaj. Właśnie zadzwoniłeś. Już i tak nie śpię. Rozmawiajmy.

– Jesteś pewna? Nie chciałbym zabierać ci snu. Masz swoje obowiązki, pracę... Rzeczywiście zapomniałem o różnicy czasu. Proszę cię stokrotnie o wybaczenie...

– Tan, daj spokój – przerwała mu stanowczo. – Nie jesteśmy w Chinach. Przynajmniej ja nie jestem. Skończ z tymi formalnymi grzecznościami. To ja! Ze mną rozmawiasz. Znienacka, nagle, po tylu latach. Dlaczego dzwonicz? Stało się coś? Potrzebujesz mojej pomocy?

– Cała Mel Lan – odrzekł ze śmiechem. – Oczywiście, że to ty. Niezmieniona, zawsze taka sama. Konkretna do bólu, rzeczowa, brutalnie stanowcza i niecierpliwa jak magnolia, która kwitnie, nim jeszcze wiosna zazieleni jej liście. Imię, które dla ciebie znalazłem, nadal jest aktualne, nieprawdaż?

Tamto wspomnienie przemknęło błyskawicznie przed jej oczami. Tan z gałązką magnolii ułamaną gdzieś po drodze, gdy szedł na ich spotkanie. Wtedy to wymyślił, jej europejsko-chińskie miano: „Mel” – skrót od imienia, i „Lan” – chińska nazwa magnolii lub orchidei. Wtedy sprzeczała się z nim, że owo „Lan” wcale do niej nie pasuje. Orchidea to delikatna i subtelna roślina, a ona, Melania, jest twarda, silna i prze do celu jak buldożer, nie jak cieplarniany kwiatek. „Tak – odparł wówczas Tan – ale ty nie jesteś orchideą, tylko magnolią, niecierpliwą ryzykantką”.

– Owszem, Tan – odpowiedziała ciepło. – Nikt mnie tak nie nazywa, ale masz rację, to imię do mnie pasuje. Dlaczego dzwonicz właśnie teraz?

– Wiem, że Harald nie żyje. Dzwonię, żeby ci złożyć kondolencje.

Milczała. Teraz wspomnienia zaatakowały ją całą lawiną.

– Halo, Mel Lan? Jesteś tam jeszcze?

– Jestem.

– Czy źle zrobiłem, że zadzwoniłem? Jego śmierć nic nie zmienia, prawda?

– Prawda. – Westchnęła ciężko. – Dobrze zrobiłeś, że zadzwoniłeś. Może potrzeba było jego śmierci, żebyś wreszcie zrozumiał, że to nie on był naszym problemem, tylko ty.

Teraz milczeli oboje. Po chwili Tan przełamał barierę ciszy i wspomnień.

– Powinniśmy się zobaczyć, Mel Lan.

– Dobrze, Tan.

– Przyślę zaproszenie. Ministerstwo potrzebuje europejskiej wyceny paru mebli z przełomu wieków. Przyjedziesz do Pekinu?

– Przyjadę.

– Dobrze.

– Dobrze.

Jednocześnie zakończyli rozmowę.

Melania pozostała chwilę w łóżku, chociaż było oczywiste, że sen już nie wróci. Wstała, poszła do kuchni i wstawiła wodę na herbatę. Patrzyła przez moment na

srebrzyście lśniący elektryczny czajnik, następnie automatycznie przygotowała dzbanek do wyparzenia i ustawiła rządkiem słoiczki z herbatami do wymieszania. Potem wzruszyła ramionami, pstryknęła wyłącznikiem czajnika, zgasiła światło w kuchni i poszła do salonu. Nalała sobie solidną porcję rumu z barku, dopełniła szklankę colą i wyciągnęła z dna regału trzy opasłe albumy ze zdjęciami. Usiadła na kanapie, zapaliła papierosa i otworzyła najstarszy z nich.

Wrocław 1995

Właściwie to Melania Robak była zadowolona. Wakacje spędziła pracowicie, ale udało jej się zarobić niezłą sumkę. Kupiła nową garderobę, obcięła włosy u prawdziwego fryzjera i zostało jeszcze wystarczająco dużo, żeby mogła sobie pozwolić na jakieś wybryki. Bez szaleństw, ale jeśli inni ją zaakceptują i nadarzy się okazja, to finansowo była przygotowana na co najmniej pięć wypadów do kina albo kawiarni. Oczywiście jeśli tamci ją zaakceptują i zaproszą. Nowa szkoła, nowe możliwości. Nikt jej nie zna, nie wlecze się za nią zła sława kujona, nudziary, biedaczki i Robala. Nikt z jej podstawówki nie składał papierów do tego liceum. Nie żeby było kiepskie, wręcz przeciwnie. Na szczęście większość tych dobrych uczniów z jej rocznika oblegała liceum imienia Mickiewicza albo Polonii Belgijskiej. Poza tym wszyscy chcieli się wyrwać z tego zadupia, za jakie uważali swoją dzielnicę. Od urodzenia, czternaście lat wiecznie w tym samym dołku. Wszyscy wszystkich znali.

Dlatego ci zdolniejsi, z sensownymi świadectwami, puciekali do centrum. Ci mniej zdolni, za to mający bogatych rodziców, dostali się, bez większych rozważań nad cenzurkami, do niepublicznych szkół średnich. Regina poszła do Sigmy. Świetne liceum, byłoby wprost idealne dla niej, Meli. Dwujęzyczne klasy, proponowano nawet kursy chińskiego. Melania jednak mogła sobie o takiej szkole tylko pomarzyć. Cóż, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dobrze, że Regina się dostała. Na szczęście nie musiała zdawać egzaminów, średnia na jej świadectwie była właściwie zasługą Melanii, ale wystarczyła. Teraz Mela będzie się uczyła właściwie w dwóch szkołach. Swojej własnej i Reginy. Jeszcze tylko trzeba coś wymyślić, żeby tamta poradziła sobie z klasówkami i odpowiedziami ustnymi. Jak wtłoczyć w mózg wielkości ziarnka groszku wiedzę niezbędną licealiście? Mela miała świadomość, że dzięki codziennym „korepetycjom”, które były jej głównym źródłem dochodu, przepchnie swoją uczennicę przez ogólniak, ale matury dziewczyna nie zda samodzielnie w żadnym wypadku. Tatusz będzie musiał się spiąć i znaleźć sposób, żeby królownie maturę kupić. Jednak dosyć już o Reginie.

Dziś tylko ona, Melania, jest ważna. Pierwszy dzień nowej szkoły, gdzie jej nikt nie

zna. Wygląda dobrze, nie wyróżnia się z tłumu, ma ekstrafryzurę, à la Edyta Górniak, a także normalne ciuchy; no, może nie superhit, ale średnia krajowa też jest OK. Mela złożyła dokumenty do V LO przy Grochowej we Wrocławiu. Zaledwie pięć minut na piechotę od domu. Dostała się bez problemów, trudno się było nie dostać ze średnią pięć i dziewięćdziesiąt osiem setnych. W dniu zakończenia szkoły podstawowej obiecała sobie jedno. Zacznie od nowa, od zera. Nie dopuści do tego, żeby nowi koledzy z klasy traktowali ją jak ostatnie dno. Będzie równa i na luzie, zacznie się umawiać z chłopakami, łączyć z dziewczynami po klubach. I co najważniejsze, znajdzie przyjaciółkę. Taką prawdziwą, wierną i od serca. W tej szkole nie będzie Robalem, tylko jedną z nich.

– Mela, kochanie. – Łagodny głos mamy i skrobanie do drzwi łazienki przerwały jej rozmyślenia. – Przygotowałam ci śniadanie. Wyjdź już, proszę, zjemy razem.

– Jeszcze sekundkę. Już jestem prawie gotowa – wymamrotała, ściągając usta w dół, aby poprawić kreskę pod okiem. Tusz złośliwie się rozmazywał i makijaż, ćwiczony przez całe wakacje, nie wychodził tak perfekcyjnie, jak by chciała.

– Czekam, jajka stygną.

Melania dała za wygraną. Wrzuciła kosmetyki do pudełka i wyszła z łazienki. Siedząca przy stole mama popatrzyła na nią krytycznie.

– Tak nie pójdziesz – oświadczyła.

– Oczywiście, że pójde – odparła buntowniczo dziewczyna. – Co ci się nie podoba w moim wyglądzie?

– Dużo mi się nie podoba. To pierwszy dzień w nowej szkole, dziecko. Jak cię widzą, tak cię piszą. Nie będziemy wracać do rozmowy na temat twojego stroju, postawiłaś na swoim i tyle, ale...

– Jesteś niereformowalna i przestarzała, mamó – ze złością przerwała jej Mela. – Białe bluzeczki i granatowe spódniczki były dobre w podstawówce, a i to dwadzieścia lat temu. Czy ty jesteś ślepa? Rozejrzyj się na ulicy, jak ludzie chodzą. Nigdy więcej nie włożę tej cholernej białej bluzeczki. Chcę być normalna, jak wszyscy dookoła. Dzinsy to norma, rozumiesz? Zresztą okazałam szacunek szkole, jak chciałaś, mam przecież białą koszulkę, o co ci chodzi?

– Tak, koszulka z dekoltem do pasa jest bardzo odpowiednia do szkoły. Twoje jedyne ustępstwo to jej kolor. Obwiesiłaś się świecidełkami jak choinka na Boże Narodzenie. To nie wypada... – Mama westchnęła ciężko. – Zresztą dajmy spokój, zrobiłaś, jak chciałaś. Niech ci będzie. Proszę cię tylko o jedno, Melania, zmyj makijaż. Tak nie pójdziesz.

– Żartujesz? – Mela gwałtownie podniosła się od stołu. – To liceum, nie podstawówka, wszystkie dziewczyny się malują!

– Może. Ale ty nie – odpowiedziała spokojnie mama. – Zmyj makijaż. Masz czternaście lat i jesteś niepełnolet...

– Mam piętnaście! – przerwała jej Melania. – Nie będziesz mną rządziła. Za trzy lata będę mogła głosować!

– To będzie za trzy lata. Dzisiaj jesteś niepełnoletnia, mieszkasz w moim domu, to ja cię żywię i ubieram. Jesteś moją córką i ja za ciebie odpowiadam. Zmyj makijaż.

– Sama się ubieram. Tobie ledwie wystarczy na opłacenie tego mieszkania i jedzenie. Gdyby nie moje dodatkowe zarobki z korepetycji, tobyś nawet na książki do tej cholernej szkoły nie miała!

– Melania – powiedziała mama drżącym głosem – koniec dyskusji. Zmyj makijaż i idź do szkoły. – Odwróciła się, próbując ukryć łzy napływające do oczu.

Melania wyszła z pokoju. Po chwili wróciła i zbliżyła twarz do zapłakanej twarzy matki.

– Proszę. Zmyłam. Jesteś zadowolona?

Mama milczała.

– Wychodzę do szkoły. – Mela chwyciła nabijaną ćwiekami absurdalnie drogą torbę, swój nowy nabytek, i wyszła, trzaskając drzwiami.

Małgorzata Robak siedziała nieruchomo przy stole. Jej zmiana w fabryce zaczynała się dzisiaj o czternastej. Musi jeszcze przygotować obiad, żeby Mela sobie odgrzała, jak wróci, trzeba zrobić pranie i trochę posprzątać. Nie chciała się kłócić. Uwielbiała swoją córkę. Chciała jej dać wszystko, co najlepsze.

Mela była owocem prawdziwej wielkiej miłości. Dlatego Małgorzata dała jej na imię Melania. W *Przeminęło z wiatrem* to Melania Hamilton była kobietą pełną miłości i oddania. Małgorzata miała nadzieję, że to imię będzie dobrą wróżbą dla córki. Ale jej Mela nie była taka jak tamta dama z Południa. Jej Mela bardziej przypominała główną bohaterkę, piękną, ogromnie samodzielną, inteligentną i upartą Scarlett, która – niestety – nie miała serca. Małgorzata zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Wychowywała córkę sama. Poświęciła absolutnie wszystko, całe swoje życie, aby uczynić z niej dobrą i kochającą kobietę. Wierzyła, że przyzwoite wykształcenie zapewni Melanii przyzwoite i dostatnie życie. Może za bardzo skoncentrowała się na tym wykształceniu. Ona sama nawet nie skończyła zawodówki. Swoje życie dzieliła na to przed Melą, o którym nikomu nie mówiła, o którym zapominała, i to późniejsze. Z tamtego pierwszego okresu zostawiła sobie jedynie romantyczne wspomnienie wielkiej miłości. Jej prawdziwe życie jednak zaczęło się od momentu, kiedy przyszła na świat córka.

Na pierwsze dwa lata po narodzinach dziecka była finansowo zabezpieczona. Potem nie miała już nic, ani pracy, ani perspektyw. Dobrze wykorzystała te dwa lata. Skończyła kursy zawodowe krawiectwa i dostała stałą pracę jako szwaczka w fabryce pościeli. Posłała Melę do przedszkola, a potem do szkoły. Opiekowała się nią najlepiej, jak mogła. Brała nadgodziny i szyła w domu, żeby opłacić Meli dodatkowe

kursy angielskiego. Była sama. Jedna pensja musiała wystarczyć na utrzymanie dla nich obu.

Miały dach nad głową, nosiły ciuchy z lumpeksu. Jedyne, czego Małgorzacie ciągle brakowało, to był czas dla Meli. Cieszyła się, że córka jest taka inteligentna i zdolna, że tak dobrze się uczy, że wygrywa olimpiady. Ale Mela chciała jeździć na wakacje, dostać komputer i nosić modne markowe ubrania, a jej matka nie miała na to pieniędzy. Łatała dziury, jak mogła, zawsze jednak było za mało. Dlatego kiedy jedenastoletnia Melania poprosiła ją o zgodę na dorabianie do domowego budżetu korepetycjami, Małgorzata się zgodziła. Potem do korepetycji doszła weekendowa pomoc w butik, a później jakoś tak się stało, że Melania sama zarabiała na swoje potrzeby, niekiedy nawet dokładała się do wydatków domowych.

Tylko czasu dla siebie miały coraz mniej. Dzisiaj po raz drugi córka ją zaatakowała. Normalny bunt nastolatki? Zapewne. Tylko Małgorzata nie rozumiała dlaczego. Przecież dała swojemu dziecku wszystko. Czy to za mało? Czy Mela już jej nie potrzebuje, nie kocha?

Przez całą drogę do szkoły Melania dławiała w sobie złość. Oczywiście mamie udało się łzami wzbudzić w niej wyrzuty sumienia. Może trochę przesadziła, może nie należało wypominać tego, że mama nie mogłaby nawet książek szkolnych kupić. Ale przecież to prawda. Kto dał jej prawo do mówienia Meli, jak ma żyć? Głupimi uwagami zepsuła cały dzień. Miał być perfekcyjny, miał być początkiem nowego życia, a teraz... Zaczął się wrednie i zapewne wrednie się zakończy.

Przeczytała na tablicy informacyjnej, do której sali powinna się udać. Nadal nachmurzona znalazła swoją klasę i weszła przez szeroko otwarte drzwi. Parę osób siedziało już przy stolikach. Odruchowo skierowała się do pierwszego rzędu, po czym wrzuciła ramionami, uniosła wysoko podbródek i ruszyła na koniec pomieszczenia. Wsunęła torbę pod ostatni stolik i przywitała się głośno z nowymi kolegami.

– Cześć, ludziska, jestem Mel – rzuciła nonszalancko. – To co, od dzisiaj zaczynamy razem walczyć z systemem edukacji? Ktoś coś wie? Wszystko spoko?

– Cześć, cześć... – padło kilka niemrawych odpowiedzi.

Dwie dziewczyny z drugiej ławki szeptały coś między sobą. Jakiś chłopak pośrodku klasy siedział z nosem w książce. Kolejni dwaj wychylali się przez okno, najprawdopodobniej plując na głowy przechodniom. Platynowa blondynka studiowała swoje odbicie w lusterku niezainteresowana otoczeniem. Kolejna dwójka grała w okręty. Całe towarzystwo było przepisowo ubrane na biało-granatowo. Odprasowane, ulizane, kujonkie.

Jestem za wcześnie, pomyślała w panice Mela, jak każdy wzorowy kujon przyszedł za wcześnie. Drobną dziewczyną z pierwszej ławki, oczywiście w białej bluzeczce z kołnierzykiem i granatowej plisowanej spódnicy, patrzyła na nią z ciekawością. Po

chwili podniosła się i ruszyła w jej stronę.

– Cześć. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Ania Motyl. Możesz usiąść ze mną, jak chcesz. Tylko że ja muszę bardziej z przodu, bo jestem niska, i z tyłu nic nie widzę.

– No cześć. – Melania uścisnęła niepewnie wyciągniętą dłoń. – Eee, jestem Mel. To znaczy, Melania Robak. Wiesz, raczej nie. Ja nie lubię tak na widoku siedzieć. Ale dzięki za propozycję.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i dalej przed nią stała.

– Nie ma sprawy. Głupio tak, wiesz. Wszyscy nowi, nikt się nie zna. No a przecież do matury będziemy jedną klasą. Jakoś trzeba zacząć. Mam nadzieję, że znajdzie się parę osób, które lubią poezję. Bo wiesz, ja uwielbiam. Nawet sama trochę piszę. – Skromnie spuściła oczy, czekając na objaw zainteresowania ze strony Melanii.

– Aha. – Mela w panice szukała drogi ucieczki. Niedoczekanie twoje, pomyślała. Ty Motyl, ja Robak, będziemy parą insektów kujonów. O nie. Ja chcę do tych lepszych, nie dam się zrobić. – Ja nie przepadam za poezją, sorry. Wiesz co, Ania? Muszę jeszcze coś załatwić. Rzucisz okiem na moją torbę?

– Tak, oczywiście – odparła entuzjastycznie dziewczyna nadal pełna nadziei.

Melania machnęła jej ręką i wyszła z klasy.

Automatycznie skierowała się w stronę toalet, z głową wypełnioną jedną jedyną myślą. Kiedy ci normalni, ci spoko, wejdą do klasy, parę minut przed dzwonkiem, i zobaczą ją siedzącą tam grzecznie razem z kujonami, to nawet odlotowe ciuchy i stylizacja nie pomogą. Od razu będą wiedzieli, że ona nie jest swoja, że jest jedną z tamtych sztywniaków. Przez głupie przyzwyczajenie cały plan może spalić na panewce. W drzwiach toalety zderzyła się z atrakcyjną blondynką, wyrzucającą z siebie wulgarne przekleństwa.

– Kurwa, kretynki zramolałe! – Dziewczyna chwyciła Melę za łokieć i obrzuciła ją baczny spojrzeniem. – Sorry, nie do ciebie. A ty co? Która klasa?

– Pierwsza – odpowiedziała automatycznie Melania.

– O?! Naprawdę? Ja też. Która pierwsza?

– Pierwsza E, poszerzony angielski.

– To super. Ja też. Chodź. – Tamta pociągnęła ją w stronę schodów. – Tu same zramolałe debile siedzą. Idziemy.

Melania posłusznie podążyła za nową znajomą. Ta zaś ubrana była jak wszyscy, to znaczy w przepisowe biało-granatowe ciuchy, ale tak jak Mela na nogach miała glany, a ręce obwieszane bransoletkami, przez co wcale nie wyglądała przepisowo ani kujońsko. Wyszły obie przed szkołę, gdzie kłębił się tłum biało-granatowych licealistów.

– Jestem Sylwia – przedstawiła się w końcu tamta. – W tym kiblu to same idiotki bez wyobraźni siedziały. Jedyne, co potrafią, to tylko udzielić prostych informacji i nic więcej. Przepisowe i przestraszone do bólu. Nie szkodzi. Przynajmniej wiem, gdzie się

da pogadać. Chodź.

– Mam na imię Mel. Dokąd idziemy?

– Normalnie, zapalić. Luz. Podobno tu w kiblach są czujniki na dym. Durne idiotki, jak tylko mnie z fajką zobaczyły, podniosły wrzask. Chodź, mamy jeszcze czas. Bez fajki nie przeżyję tych ceremonii.

Melania nie paliła. Nie uznała jednak za stosowne dzielić się tą informacją z Sylwią. Magiczne słowo „luz” zadziało jak czarodziejska różdżka. Wreszcie znalazła osobę, której szukała. Podążyła więc za Sylwią na drugą stronę ulicy, na mały placzyk za śmietnikiem, w samym środku blokowiska. Rzeczywiście, parę osób w ich wieku już tam siedziało, zaciągając się papierosami. Sylwia przycupnęła na brzegu koślawej ławeczki i wyciągnęła w stronę Meli paczkę marlboro.

– Częstuj się – mruknęła, odpalając sobie jednego.

– Dzięki. – Bez wahania wyciągnęła rękę po papierosa.

Nie była głupia, wiedziała, jak się pali. Większość jej kolegów z podstawówki miała już te doświadczenia za sobą. Ona zresztą też. Wtedy palenie jej nie wciągnęło, ale jeśli dzięki temu ma być uznana za „równą”, to będzie palić. Czemu nie?

– No to opowiadaj – zaczęła Sylwia. – Skąd jesteś? Ja mieszkam na Krzykach. Ojciec się uparł, żebym poszła do tej budy. Mogłam iść do każdej, chciałam Sigmę, wszystkie kumpele tam poszły i mój facet, ale stary się zaparł. Ponoć to jedyne liceum we Wrocku, które ma przejść na system międzynarodowej matury. Jakby to komu było potrzebne... – przerwała i głęboko zaciągnęła się dymem.

– Ja jestem stąd. Moja podstawówka jest parę ulic dalej. Mieszkam też rzut beretem od szkoły. Właściwie dlatego chciałam właśnie tutaj się dostać. – Melania doszła do wniosku, że przerwa w monologu koleżanki wymaga odpowiedzi na wcześniej zadane pytanie, ale Sylwia, nie zwracając na nią uwagi, wypuściła dym z płuc i kontynuowała swój monolog.

– No właśnie. – Gestykulowała żywo. – Matura i matura. Po kiego grzyba ja mam robić maturę, kiedy i tak wiadomo, co będzie dalej? Jestem jedyną córeczką tatusia. Interes rodzinny kwitnie, to ty mi powiedz, po co mam się mordować z maturą, angielskim i cholera wie, czym jeszcze. Po prostu prędzej czy później przejmę sklepiki i basta. Ale nie, bo on wie lepiej. Mam mieć międzynarodową maturę, a potem jeszcze jakieś głupie studia. Sama powiedz, czy to ma sens?

– No nie wiem... – niepewnie odpowiedziała Mela. – To zależy. A ty chcesz pracować w tych sklepikach? Co twój tata właściwie sprzedaje?

– Ty głupia jesteś? – Sylwia przewróciła oczami. – A kto tu mówi o pracy?! Ja zwyczajnie prędzej czy później przejmę firmę. Sklepiki inni będą prowadzić. Od pracy to on ma ludzi. Przecież nie będę za ladą stała. Ojciec handluje starociami, mebelki, obrazy, skorupy, takie tam. Ja generalnie nie zamierzam pracować. Dlatego nie rozumiem, o co mu chodzi z tą maturą. Wiesz, on ma swoje dojścia i twierdzi, że to

liceum lada dzień będzie oferowało najbardziej prestiżową maturę w Polsce. Może, kto go tam wie? Ja generalnie jestem przeciwna. I tak wiadomo, że w przyszłości będę tytularnym prezesem. OK. Tylko że po co pracować... Ja tam zamierzam być panią domu, jak moja mama.

– To twoja mama nie pracuje zawodowo?

– Nie. Ona zawodowo jest Lubuska. – Sylwia się roześmiała.

– Nie rozumiem. Kto?

– Wy tłumaczę ci później. Chodź, spadamy na pierwszą lekcję. Mel? To dziwne imię, skąd je wzięłaś?

Ramię w ramię ruszyły w stronę budynku szkoły.

– Mel, skrót od Melania. Mojej mamie *Przeminęło z wiatrem* na mózg padło i dała mi to imię na cześć bohaterki. Ale ja go nie lubię. Proszę, nazywaj mnie Mel, dobrze?

– OK. Jak chcesz, Mel. *Przeminęło z wiatrem* to chyba jakiś bardzo stary film. Nie widziałam.

Sylwia z Melanią zajęły miejsca w ostatniej ławce klasy pierwszej E. Pierwsza lekcja, organizacyjna, minęła szybko. Następnie w auli odbyło się uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego. O jedenastej pierwszoklasiści byli już wolni.

– To co? – Sylwia uśmiechnęła się szeroko. – Trzeba to uczcić, nie? Gdzie idziemy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Mel. – Może do Spychały na kawę. To tutaj niedaleko, mają świetne ciacha.

– E tam, mam coś lepszego, tylko muszę się przebrać. Pojedziemy do Papug. Mnie tam znają, nie będą robić głupich uwag. Chcesz?

– Do rynku? Dobra. Już teraz czy po południu? – spytała Mela, podążając za koleżanką w stronę ulicy Pereca.

– Teraz. Pojedziemy do mnie. Ojca nie ma, to mnie nie przyskrzyni. Taka naturalna jedziesz? – Sylwia wymownie wskazała na twarz Melanii.

– Co, a nie! Makijaż, jasne. Matka się uparła, że na pierwszy dzień szkoły mam się nie malować. To ja skoczę do domu. Poczekasz na mnie kwadrans?

– Daj spokój. Umalujesz się u mnie. Jak chcesz, to dam ci też jakiś sensowniejszy T-shirt. U mnie odwrotnie, matka uważa, że makijaż jest obowiązkowy, ale ojciec jest upierdliwy. Wymusił na niej i na mnie ten beznadziejny strój i zakaz malowania się do szkoły. Rzadko mu się udaje cokolwiek narzucić, bo to mama jest szefem w domu. Ona wniosła całą kasę do interesu. A u ciebie kto rządzi? Matka czy ojciec?

– Nie mam ojca. – Mela zdecydowała się powiedzieć prawdę. Nowa przyjaźń rozwijała się w dobrym kierunku i było jasne, że wszelkie kłamstwa prędzej czy później wyjdą na jaw. – Nigdy nie miałam. Mama jest samotną matką. Była bardzo młoda, jak mnie urodziła.

– O, nieźle. – Sylwia spojrzała na nią z uznaniem. – Moja matka jest w porządku. Tylko ojciec jest wkurzający. Może nawet nie wiesz, jakie masz szczęście. A co robi

twoja mama?

– Szczęście? Może? Nie wiem? Nie wiem, jak to jest mieć ojca. Brak doświadczeń własnych. – Mela się zamyśliła. – Mama jest projektantką mody – zdecydowała się na drobne kłamstwo. Drobne, bo w końcu przecież po pracy w fabryce matka dorabiała sobie szyciem, a tym samym projektowała ubrania dla stałego kręgu klientek. A projektantka brzmi jakoś lepiej niż szwaczka. Trzeba odwrócić uwagę Sylwii od tego tematu. – Miałaś mi wytłumaczyć, co to znaczy, że twoja mama jest Lubuska.

– A właśnie! – Tamta się roześmiała i ruszyła w stronę postojów taksówek na Pereca. – Moja mama nie pracuje. Ona jest z domu Lubuska, z tych Lubuskich. W życiu nie przepracowała ani pół dnia. Rodzina mamy była bardzo bogata, tak bardzo, że mama zawsze miała pomoc domową, kucharkę i tak dalej. Ojciec też ma korzenie gdzieś tam w rodach szlacheckich, dlatego pozwolili jej za niego wyjść. Tylko że on był biedny jak mysz kościelna. Dlatego pozwolili, ale nie dopuścili, żeby miał cokolwiek do powiedzenia w kwestii pieniędzy Lubuskich. Więc to mama rządzi. Jest Lubuską, a to daje jej władzę, sama nie musi nic robić. Mama uważa, że życie jest po to, żeby się dobrze bawić, i ja się z nią całkowicie zgadzam. Poznasz ją za chwilę. Jest świetna.

Taksówka zatrzymała się przed zadbanym białym ogrodzeniem stylowej willi nieopodal parku Południowego. Sylwia niedbale podała taksówkarzowi banknot i nie czekając na wydanie reszty, pociągnęła Melanię za sobą. Otworzyła furtkę i oczom Meli ukazał się barwny ogród. Klasyczne rzeźby, szemrzące fontanny, zadbane trawniki i oryginalnie przycięte krzewy tworzyły przepiękny jesienny krajobraz. Złożyła dłonie w zachwycie.

– Boże! Fantastyczne. Ten ogród po prostu jest wspaniały. Twoja mama go urządziła?

– Ogród? Nie. To znaczy tak. Ona chciała mieć taki ogród, ale zrobiła go firma. Wiesz, teraz takie są modne. Jeszcze dwa lata temu mieliśmy inny, też ładny. Mama lubi mieć ładny widok z tarasu i być na czasie. Chodź, zostaw naturę w spokoju, idziemy się przebrać.

Z obszernego holu dwa korytarze prowadziły do bocznych skrzydeł willi. Schody na piętro wyglądały jak miniatura schodów w domu Scarlett z powieści Margaret Mitchell. Wszędzie były marmury, antyki i szlachetne drewno. Melania milczała, szeroko otwierając oczy. Taki przepych widziała wcześniej jedynie na filmach. Tymczasem usiłowała być na luzie, nie zachwycać się zbyt i traktować to całe bogactwo jak coś normalnego. Pokoje Sylwii mieściły się w prawym skrzydle na parterze. Dziewczyna miała do własnej dyspozycji salonik z zabytkowym fortepianem i olbrzymim telewizorem, a także wielką sypialnię, urządzonej w amerykańskim stylu, z biurkiem, na którym stał monitor jej własnego komputera. Do sypialni przylegała łazienka z wanną i luksusowym prysznicem oraz garderoba, czyli osobny pokój z szafami i małą stylową toaletką pod oknem.

– Tu się możesz umalować. Wszystkie kosmetyki są w szufladach, szukaj sobie, czego

chcesz. – Sylwia wskazała Meli toaletkę. – Ja tymczasem szybko się przebiorę. Jak chcesz jakąś inną bluzkę, to sobie coś wybierz. Wiszą w szafach po lewej. Na razie.

Melania nieśmiało usiadła na wyściełanej pluszem ławeczce przy toalecie. Uchyliła pierwszą szufladę. Bizuteria. Najróżniejsza. Wymieszane ze sobą odpustowe świecidełka, bransoletki z ćwiekami i delikatne złote kolczyki. W panice zamknęła szufladę i otworzyła kolejną. Kosmetyki, fluidy, pudry, róże, cienie do powiek, kredki – jak w ekskluzywnej drogerii. Chanel, Max Factor, Estée Lauder, wszystkie z najwyższej półki. Umalowała się z wprawą, zachwycona, jak łatwo kosmetyki rozprowadzają się na jej twarzy.

Tymczasem Sylwia wróciła do garderoby. Grzeczną szkolną bluzeczkę zastąpiła kolorowa koszulka i džinsy.

– Dobra, teraz ja. – Wcisnęła się obok Melanii i zaczęła nakładać makijaż. – Jak jesteś gotowa, to znajdź sobie jakąś koszulkę, jeśli chcesz. Potem pójdziemy do kuchni. Zgłodniałam, może coś zjemy, zanim pojedziemy do rynku.

– Nie jestem głodna. – Melania posłusznie wstała i otworzyła szafę. Wieszaki ugięły się wręcz od najróżniejszych koszulek, bluzek i tuniczek. Znowu miała wrażenie, że jest w sklepie. Wszystko porządnie wyprasowane, pachnące, jak nowe. – Ależ z ciebie porządnicka. W mojej szafie taki porządek jest tylko dwa tygodnie po generalnym przeglądzie – powiedziała ze śmiechem.

– W mojej pewnie byłby jeszcze krócej, gdyby nie Krysia – odparła Sylwia. – Mama zatrudnia dwie pokojówki, ogrodnika i kucharkę. Uważa, że dama nie powinna zajmować się takimi przyziemnymi rzeczami, i na szczęście twierdzi, że ja jestem damą, bo mam to w genach.

– No to nieźle ci się powodzi. Wychodzi na to, że masz służbę – podsumowała Mela.

– Właściwie tak, ale wiesz, to dla mnie nie ma znaczenia. Zawsze tak było, więc to nic nadzwyczajnego. Palma mi z tego powodu nie odbija. Normalna jestem. Wiem, że większość narodu nie ma wcale pomocy domowych, a jak już, to góra jedną. Jak sobie twoja mama radzi, macie kogoś?

– Nie. Nie mamy pomocy, ale też nie mamy takich powierzchni jak ty. Mieszkamy normalnie, w bloku, w dwóch pokojach. Jeden jej, drugi mój. Nie ma dużo sprzątanina. Mama pracuje, ja się uczę, więc często nie ma nas w domu. Wiesz, takie normalne życie.

– A pracownia?

– Jaka pracownia?

– No, pracownia projektowa. Mówiłaś, że twoja mama projektuje modę?

– A, tak. To tylko praca, to wszystko odbywa się poza domem – odrzekła wymijająco Mela. – Wiesz, raczej nie chcę żadnej bluzki. Zostanę w swojej. Nie wygląda chyba źle?

– Jak chcesz. Wygląda normalnie. Dobra, jestem gotowa. Idziemy?

Wróciły do holu, a stamtąd Sylwia poprowadziła Melanię do kuchni. Schludna starsza kobieta siedziała na krzeselku i czytała gazetę.

– Dzień dobry, pani Jolu – przywitała się Sylwia. – Głodna jestem.

– Witaj, mała. – Kobieta wstała z krzesła i złożyła gazetę. – I jak tam pierwszy dzień w szkole? Widzę, że przyprowadziłaś koleżankę. Na co macie ochotę?

– Dobrze, szkoła jak szkoła. Ja bym zjadła jajecznicę, taką z pieczarkami i pomidorkami – oświadczyła Sylwia. – A ty, Mel, co chcesz?

– Dziękuję, ja chyba nie jestem głodna – spłoszyła się Melania.

– Mel, ciekawe imię – powiedziała pani Jola. – Może jednak się skusisz? To żadna różnica, czy robię jajecznicę dla Sylwii, czy dla was dwóch, a moja jajecznica jest palce lizać. To jak?

– Dziękuję, to się skuszę. Ale malutko poproszę. A Mel to skrót od Melanii.

– Też ładnie. – Pani Jola pokiwała głową, wyciągając składniki z lodówki na blat kuchenny. – Idźcie sobie na taras, tak ciepło dzisiaj. Jak zrobię, to wam przyniosę.

Ogród z tyłu domu był jeszcze piękniejszy niż ten przy wejściu. Na tarasie siedziała elegancka kobieta. Popijała kawę z porcelanowej filiżanki i rozmawiała przez telefon. Sylwia podeszła do matki, objęła ją i pocałowała w policzek. Obie z Melanią usiadły na wiklinowych fotelach przy stoliku i rozmawiały półgłosem. Pani Lubuska zakończyła rozmowę i przywitała się z dziewczętami.

– Czyli uczycie się w tej samej klasie? To dobrze, że Sylwia znalazła sobie koleżankę już pierwszego dnia. Możesz powtórzyć, moja droga – zwróciła się do Meli – bo nie zrozumiałam. Melania jak?

– Melania Robak, proszę pani.

– Ach tak. I twój ojciec jest kim?

– Nie mam ojca.

– Ach tak. Przykro mi, a kiedy zmarł?

– Nie wiem. To znaczy, nie zmarł. To znaczy, nie wiem. Nigdy nie miałam ojca.

– Ach tak. Masz interesujący kolor włosów. Farbujesz?

– Nie, to naturalne, moja mama ma takie same.

– Ach tak. A twoja mama jak się nazywa?

– Robak, tak samo jak ja. – Mela czuła się jak na dziwnym przesłuchaniu. Pytanie, odpowiedź „ach tak”, pytanie. I to wszystko bez jednego uśmiechu, bez żadnego gestu. Dziwne.

– Ach tak. Mam na myśli, jak jej na imię?

– Małgorzata.

– Ach tak.

Niespodziewanie mama Sylwii podniosła się i wyszła bez słowa. W drzwiach minęła panią Jolę z tacą, na której parowała najpyszniejsza jajecznica, jaką Mela kiedykolwiek jadła.

Szybko zjadły i pojechały do klubu taksówką, którą wezwała im pokojówka Krysia. Pani Lubuska nie pojawiła się już w zasięgu wzroku.

Modny wrocławski klub Pod Papugami znajdował się w samym sercu miasta, w rynku. Mela nigdy wcześniej nie była w żadnym klubie. Owszem, czasem zdarzało jej się uczcić jakąś uroczystość z mamą w pobliskiej cukierni. Obie uwielbiały ciastka i lody od Spychały i czasami pozwalały sobie na tę przyjemność. Ale w takim klubie z alkoholem i muzyką Mela nigdy nie była. Lokal nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Zimny, ciemny, zadymiony – wyglądał, jakby był po prostu brudny. Zbyt głośna muzyka zagłuszała rozmowy. W klubie siedzieli głównie młodzi ludzie, zapewne studenci. One obie nie wyróżniały się zbytnio, makijaż dodawał im lat. Sylwia zamówiła sobie piwo, które podano jej bez dyskusji i pytań o dowód osobisty. Mela poprzestała na coli.

Siedziały tam już ponad godzinę, usiłując rozmawiać, przekrzykując decybele, gdy nagle oczy Sylwii rozblęły. Spojrzała ponad głowę Mel w stronę wejścia i zaczęła gorączkowo machać do kogoś. Po chwili zbliżyła się do nich grupka młodzieży. Sylwia wręcz zawisła na szyi przystojnego bruneta. Nowo przybyli ulokowali się wygodnie przy ich stoliku.

– Robal?! – Melania usłyszała znajomy, zdumiony głos nad swoją głową. – Co ty tu robisz, Robal?

Muzyka robiła swoje, istniała więc duża szansa, że jedynie Melania usłyszała znienawidzone przezwisko. Powoli odwróciła się w stronę głosu.

– Regina – powiedziała słodko. – Świat jest mały.

Tamta patrzyła na nią niedowierzająco, wędrując oczami od jej umalowanej twarzy i zgrabnej fryzurki, przez bransoletki i dzinsy, aż po stopy w glanach.

– No, no! – cmoknęła. – Jedne wakacje i z Robala poczwary zrobił się motyl. Co ci się stało?

– O, to wy już się znacie? – zdziwiła się Sylwia. – Gina, czemu nigdy nic nie mówiłaś o Mel?

– Znamy się – przerwała jej stanowczo Melania, nie dopuszczając tamtej do głosu. – Zaraz wracamy, musimy coś załatwić – powiedziała i wyciągnęła zdziwioną dziewczynę na zewnątrz.

– Przestań mnie szarpać, Robal. Co ci odbiło? – zirytowała się Regina.

– Nic mi nie odbiło. Musimy pogadać.

Melania gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji. Parę zdań jej uczennicy i misterny plan zbudowania nowego życia legnie w gruzach. Znowu będzie sama, na obrzeżach życia towarzyskiego, wyśmiewana i odpychana przez wszystkich. Do tego dopuścić nie mogła.

– Proszę, Regina – powiedziała miękko, puszczając łokieć koleżanki. – Porozmawiaj ze mną chwilę.

– Czego chcesz? O co chodzi? Nie mam ochoty z tobą gadać, Robal. Jestem z przyjaciółmi i chcę się dobrze bawić – odparła nadąsana Regina.

– Daj mi tylko pięć minut. – Mela wyciągnęła z kieszeni ledwo napoczętą paczkę dopiero co kupionych papierosów i zapraszającym ruchem podsunęła ją koleżance. – Proszę.

– No dobrze, pięć minut. – Tamta zapaliła papierosa i wpatrywała się z ciekawością w twarz Melanii. – Nieźle wyglądasz – przyznała niechętnie.

– Regina, posłuchaj. Skończyłyśmy podstawówkę, wszystko się zmieniło. Zaczynamy nowy etap. My dwie nigdy nie byłyśmy wrogami. Zrozum, nie chcę być już Robalem. Chcę być normalna, jak ty i Sylwia. Czy możemy zapomnieć o Robalu? Jestem w nowej szkole, tam jestem Mel. Normalna. Ty możesz to zniszczyć...

– Robal, sorry. Ty wiesz, że nie jesteś taka. Jesteś kujon, jesteś grzeczna, nosisz paskudne ciuchy i warkoczyki, nie masz za grosz stylu. Jak możesz być kimś, kim nie jesteś? Jak ty to sobie wyobrażasz? Być jedną z nas? Ty sobie nie zdajesz sprawy, jak wysoko podskakujesz. Sylwia?! Robal, przecież Sylwia jest tu absolutną gwiazdą.

– Robala już nie ma. – Melania położyła dłoń na jej ramieniu. – Kujonem nigdy nie byłam, ty sama wiesz to najlepiej. Daję ci korepetycje od trzech lat, czy kiedykolwiek widziałas, żebym kuła? Nie wiem dlaczego, ale tak już mam. Jak raz coś usłyszę albo zobaczę, to zapamiętam na zawsze. Nie muszę się uczyć, lekcje w szkole mi wystarczą, słucham i już umiem i rozumiem. Zawsze mnie odrzucaliście. Byłam sama, nie miałam z kim chodzić do kina ani nawet poplotkować. Moim jedynym towarzystwem stały się książki. Dlatego dużo czytałam i dlatego więcej wiem. Nie jestem kujonem, Regina, nigdy nie byłam. A cała reszta? Popatrz na mnie. Czy mam paskudne ciuchy, czy wyglądam na grzeczną?

– Powiedziałaś ci już, że nieźle wyglądasz. Czego ty jeszcze ode mnie chcesz, Robal?

– Niewiele, Regina. Chcę tylko, żebyś zapomniała o Robalu. Żebyśmy zaczęły od nowa i żebyś nikomu, absolutnie nikomu nie wspomniała o mojej przeszłości.

– No nie wiem. – Regina wzruszyła ramionami. – Ale coś ty?! Nie, nie zgadzam się! A moje korepetycje? Nie chcę nikogo innego. Już próbowałam ze studentami. Oni zmuszają mnie do kucia! Nie, nie mam ochoty stracić Robala! Ty nie marudzisz, zasuwasz za mnie, a potem tylko mi tłumaczysz, o co w tym chodzi, żeby było, że to ja sama zrobiłam. Jak to się skończy, to na nic nie będę miała czasu. Życia żadnego nie będę miała, bo starzy będą się czepiać i wciskać mi korepetytorów dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przecież oni ci płacą kupę szmalu. Dlaczego chcesz z tego zrezygnować, w totka wygrałaś czy co? Ty sobie budujesz nowe życie, a moje chcesz zrujnować?! Nie, Robal! Jak przerwiesz moje korepetycje, to wszystkim powiem, że jesteś Robal, opowiem, jaka jesteś naprawdę.

– Regina, uspokój się. – Melania zniżyła głos. – Nie zrezygnuję z korepetycji. Nic się

nie zmieni. Niech twój Robal dalej żyje, opowiadaj sobie o nim znajomym, naśmiewaj się z niego. Proszę bardzo. Chcę tylko, żeby nikt nie wiedział, że Robal to ja. Od dziś chcę być dla ciebie Mel. Robal będzie cię uczyć codziennie wieczorem, jak zawsze. Ale Robal będzie istniał tylko przez te dwie godziny dzienne. OK? Poza tym go nie ma. Jestem tylko ja, Mel. Zgoda?

– Chyba tak. No nie wiem, mogę spróbować.

– Cześć. Miło cię poznać, mam na imię Mel. – Melania wyciągnęła rękę do koleżanki.

– Cześć, Mel. – Regina z ociąganiem uścisnęła jej dłoń. – Jestem Gina.

Uśmiechnęły się do siebie i w zgodzie wróciły do sali.

* * *

Sylwia przyszła do domu wcześniej, parę minut po siedemnastej. Ze zdziwieniem zauważyła, że ojciec już jest. Normalnie, w tygodniu, wracał z pracy wieczorem o wpół do ósmej, jedli razem ciepłą kolację, potem były wiadomości, film i do łóżka. Dlatego że ten ich wspólny tryb życia był tak obrzydliwie uregulowany, musiała zawsze być w domu najpóźniej o dziewiętnastej trzydzieści. Od poniedziałku do piątku. Poszła na to ustępstwo tylko i wyłącznie dlatego, że gdyby się zbuntowała, uciąłby jej tak zwane kieszonkowe. Już raz tak było, w siódmej klasie. Kiedy Sylwia próbowała postawić na swoim i mieć legalne „wychodne” wieczorami, ukochany tatuś zmienił się w tyrana i zmusił ją do przeżycia całego miesiąca z jakimiś śmiesznymi groszami, które nawet na fajki nie wystarczyły. Dlatego zmieniła taktykę i dostosowała się do jego wymagań. Reguły były proste:

– Oceny w szkole nie niższe niż cztery. Dawało się zrobić. „Murzyni” za niewielkie pieniądze dostarczali wszystkie prace pisemne. W podstawówce miała nawet jedną taką, która w zamian za regularną miesięczną „pensję”, stanowiącą zaledwie ułamek zasobów Sylwii, nie tylko odwaliała za nią wszystkie prace domowe, lecz także pisała w punktach streszczenia do wypowiedzi ustnych i sprytnie podsyłała ściągę na klasówkach. Wystarczyło.

– Od poniedziałku do piątku obecność w domu od wpół do ósmej wieczorem. Ależ oczywiście, tatusiu. Tatuś zapomniał tylko dodać, do której ta obecność miała trwać. Wszystkie najfajniejsze imprezy zaczynały się o dziesiątej. Dlatego kiedy rodzice padli w ramiona Morfeusza, Sylwia wychodziła, jeśli tylko miała ochotę. I co z tego, że mieli założony alarm? W oknach, na szczęście, ani alarmu, ani krat nie było. A Sylwia już w piątej klasie postarała się, żeby jej królestwo przeniesiono z sypialnianego pierwszego piętra willi na parter. Wystarczyło trochę głośniejszej muzyki, najlepiej ostrego punka, i już mieszkała na dole.

– Trzecia reguła stanowiła, że młode damy nie używają alkoholu i prochów, nie palą papierosów i nie szwendają się po nocach. Jak każdy zakaz, tak i ten dał się świetnie obejść. Pijanej i naćpanej rodzice nigdy jej nie widzieli, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Mama kryła sobotnie imprezowanie Sylwii, stanowczo potwierdzając, że córka nocuje u Reginy albo innej koleżanki. Papierosy to pikuś. Oboje rodzice palili, więc nie czuli od niej zapachu dymu, a pomoce domowe zgodnie milczały, przekupywane hojnymi prezentami. Na prezenty mogła sobie pozwolić, bo jak długo tato był przekonany, że przestrzega zasad, dostawała od niego pieniądze.

Ojciec nie miał pojęcia, jak naprawdę wygląda życie jego jedynaczki, więc płacił. Upierał się, co prawda, że kieszonkowe nastolatki nie powinno się równać dobrej pensji jego pracowników biurowych, ale te wątpliwości rozwiązała skutecznie mama, opowiadając mu o cenach kosmetyków, różnych akcesoriów i drobiazgów niezbędnych młodej damie. Nie mówiąc już o kosztach transportu. Postawiła sprawę jasno: jak długo córka nie ma prawa jazdy i własnego samochodu, albo tato zatrudni dla niej kierowcę z samochodem, albo Sylwia będzie jeździła taksówkami. Oboje zgodnie uznali, że w dzisiejszych czasach kierowca to przesada i klucie ludzi w oczy bogactwem, toteż stanęło na taksówkach.

Tak więc Sylwia przyjechała taksówką do domu i właśnie się zastanawiała, dlaczego ojciec wrócił tak wcześnie. W sumie dobrze, bo zaraz sobie z nim porozmawia na temat potrzeb licealistki i jak dobrze pójdzie, wydusi z niego jakiś bonus na sobotnią dyskotekę w Związkach Twórczych. Michał, Misiek, jej chłopak, właśnie dzisiaj powiedział, że ma zamiar na towar ekstra, a jej własne rezerwy trawki właśnie się kończyły. Ustawili się na sobotę, więc byłoby zajebiście dostać jakąś dodatkową kasę. Starannie zmyła makijaż, przebrała się w domowy dresik i ruszyła na poszukiwanie ojca. Usłyszała jego głos, dochodzący z tarasu.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – Był wyraźnie zirytowany. – Już wtedy załatwiłem sprawę dokładnie tak, jak sobie tego życzyłaś. Nie miałem pojęcia, co dalej się z nią działo. Sama powiedziałaś, żadnych kontaktów, żadnych informacji. Co mam teraz zrobić po czternastu latach, zabić ją?

– Miałaś definitywnie pozbyć się problemu. – Mama mówiła syczącym głosem, którego używała tylko wtedy, kiedy wpadła w złość i nie było szansy na dyskusję, miało być właśnie tak, jak chciała.

Ciekawe, pomyślała z rozbawieniem Sylwia. Kogo ojciec musi teraz zabić, żeby spełnić jej życzenie?

– Nie zrobiłeś tego – syczała dalej mama. – Nie wiem, co zrobisz. Załatw to! Natychmiast.

Sylwia weszła na taras i ze zboląłą miną opadła na wiklinowy fotelik.

– Cześć, tato – odezwała się pogodnym tonem. – Dobrze, że dzisiaj jesteś wcześniej, musimy pogadać.

– Witaj, kochanie. Jak tam pierwszy dzień szkoły?

– Spoko, dostałam listy lektur i różnych pomocy naukowych, i plan lekcji. Muszę ci powiedzieć, że to będzie jeden wielki koszmar. Mocno podejrzewam, że przez tę szkołę spędzę pół życia w bibliotekach i wydam wszystkie pieniądze na książki i takie tam... – Znacząco zawiesiła głos.

– Nie przejmuj się, kochanie. – Normalnie tata powinien się roześmiać, ale teraz jego głos był wyraźnie napięty. – Na szkolne wydatki dostaniesz, ile będzie potrzebne.

– No tak, ale ty mnie w ogóle nie słuchasz. Taksówki do bibliotek będą kosztowały krocie. Muszę się zapisać do uniwersyteckiej, no chyba że mi odpuszczisz i mogę zacząć przynosić tróje.

– Nie, nie możesz – odparł sucho. – Posłuchaj, Sylwio...

Nie dała mu skończyć, postanowiła kuć żelazo, póki gorące, i wyciągnąć, ile się da. W końcu nie wiadomo, ile będzie kosztował nowy „Murzyn”. Trzeba się zabezpieczyć finansowo i nieźle by było wyszarpać więcej czasu dla siebie.

– To bardzo dobrze, że tak uważasz – weszła mu w słowo. – Bo widzisz, tato, liceum to nie to samo, co podstawówka. Trzeba poświęcić dużo więcej czasu na naukę. Normalnie uczyłabym się z Reginą, w podstawówce nieźle nam szło, ale ona poszła do prywatnego liceum, a tam są całkiem inne zajęcia i inne wymagania nauczycieli. Dlatego pomyślałam, że dobrze byłoby od początku znaleźć sobie kogoś we własnej klasie. Taka Mel jest niezła, miała średnią prawie sześć w podstawówce, wyobrażasz sobie? – Ojciec już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Sylwia nie dała mu dojść do głosu. – Gdybym się z nią uczyła, to wyszłoby mi tylko na dobre. Powiedz, no, sam powiedz, zawsze mi tłumaczyłeś, że należy się uczyć od najlepszych i chcesz mnie motywować do lepszych ocen. To co?

– Jak to, co? – zapytał zdezorientowany.

– No, po pierwsze, co dostanę, jak będę przynosiła lepsze oceny, i co ty na to, żebym poświęciła więcej czasu na naukę i nie tylko w soboty, ale i w tygodniu nocowała u Mel, żeby się uczyć?

– Jeśli będziesz przynosiła lepsze oceny, to dostaniesz, co chcesz. Nic się nie zmieni, zawsze tak było i będzie – odparł zrezygnowanym głosem. – Natomiast nocowanie poza domem w tygodniu jest wykluczone.

– I... – wysyczała mama.

– I... – Spojrzał na nią ze złością. – I zabraniam ci utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z tą Mel.

– Co?! – zapytała niebotycznie zdumiona Sylwia.

– Słyszałaś. Zabraniam ci kontaktów z Melanią Robak.

– Ale dlaczego? Przecież ty jej nawet nie znasz?! Mamo? – wyszeptała, szukając jak zawsze sprzymierzeńca w matce.

– Słyszałaś, co powiedział ojciec – odparła matka. – Masz robić to, co każe. Ojciec

jest głową tej rodziny.

– Akurat! – prychnęła Sylwia. – To niesprawiedliwe. Przecież on nawet jej na oczy nie widział.

– Sylwia. – Mama podniosła się władczo z fotela. – To nie jest temat do dyskusji. Sprawa zamknięta. Koniec, kropka – oświadczyła i wyszła z tarasu.

– Tato?! – zwróciła się do ojca. – Co tu jest grane, do cholery? Od kiedy zabraniasz mi przyjaźni z ludźmi, których nawet nie znasz?

– Sylwia, proszę... – wyszeptał udreńczonym głosem. – Zostaw to. Po prostu nie przyjaźnij się z tą jedną, jedyną dziewczyną. Twoja matka... Ona sobie tego nie życzy. Nie zawracaj jej tym głowy. Podporządkuj się po prostu. Proszę.

– Nie! Wyłumacz mi natychmiast dlaczego!

– Nie mogę. Ten jeden jedyny raz nie pytaj. Po prostu zaufaj mi. Proś, o co chcesz, tylko nie o to.

Kamień, studnia, grób. Sylwia myślała gorączkowo, jak wykorzystać tę sytuację. Było już jasne, że ani matka, ani ojciec niczego jej nie wyjaśnią. Znała oboje wystarczająco dobrze, żeby to wiedzieć. Jednak coś musi mieć z tej sytuacji. Tylko co?

– Nie wytłumaczysz mi? – spytała wrogim tonem.

– Nie.

– Dobrze. Nie będę więcej pytać ani ciebie, ani mamy. Nie zapomnij jednak, że jesteś mi coś winien. Wrócimy do tego jeszcze.

– Podporządkujesz się? Zerwiesz tę znajomość?

– Tak, ale i tak będę ją codziennie widywać w klasie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zobaczymy. Może nie będziesz musiała.

* * *

Melania wróciła do domu przed siedemnastą, Sylwia podrzuciła ją taksówką. Świetnie się bawiła, wydała pieniądze jedynie na papierosy. Za całą resztę bez dyskusji zapłacił Misiek, chłopak Sylwii. Misiek był starszy, miał siedemnaście lat, prawo jazdy i własny motor. Odlot. Poznała mnóstwo świetnych ludzi z Sigmy. Spotykali się prawie codziennie po lekcjach w rynku w klubie Pod Papugami albo w Rurze. W soboty imprezowali w Związkach Twórczych. Wszyscy ich znali, wszyscy lubili. Udało jej się, zrealizowała swój plan. Teraz ona też była jedną z równych. Liceum zapowiadało się o wiele bardziej atrakcyjnie niż podstawówka.

Regina przekazała jej swój plan lekcji, w sumie prawie taki sam jak jej własny. Mela jednak miała więcej godzin angielskiego i jako drugi język rosyjski, natomiast dodatkowym językiem Reginy był chiński. Melania już wpadła na pomysł, jak z tego wybrnąć. Umówiły się z Regimą, że ta kupi kasety do nauki chińskiego i skseruje swój

podręcznik z Sigmy. Jakoś to będzie.

Miała lekkie wyrzuty sumienia z powodu porannej utarczki z mamą. Poprasowała pranie, pozmywała po obiedzie, rozścieliła mamie kanapę do spania. Przygotowała parę kanapek i herbatę w termosie. Postawiła je na stole i przykryła plastikowym ochraniaczem. Do ochraniacza przylepiła kartkę z serduszkiem i napisem: „Kocham Cię, przepraszam”.

Kiedy Małgorzata wróciła do domu przed dwudziestą trzecią, córka już spała.

今天

Dzisiaj

Otworzyła ostatnią stronę pierwszego albumu. Znajdowały się tam kolorowe zdjęcia ze studniówki, na których Mel, w objęciach piegowatego dryblasa w smokingu, uśmiechała się do obiektywu. Bartek, najlepszy przyjaciel Miśka, był wtedy jej chłopakiem. Dzisiaj zupełnie inaczej patrzyła na te cztery lata ogólniaka, kiedy jej życie składało się z wiecznych imprez z paczką Sylwii, Miśka i Reginy. Dziś już wiedziała, że to był zły wybór. Wtedy uważała się za szczęściarę. Nie, nie żałowała niczego. Nie należy żałować tego, co się przeżyło. Każde nasze doświadczenie, nawet to najgorsze, prowadzi nas ku lepszemu. Każda rana w końcu się goi, a jednocześnie blizna, która pozostaje, daje nam potężną broń. Wiedzę, czego należy się w życiu wystrzegać, czego nie musimy powtarzać.

Pogładziła palcem wypłowiałe zdjęcie. Gdyby wtedy, w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, sto dni przed maturą, wiedziała, jak będzie wyglądało jej życie już za parę miesięcy, na pewno postępowałyby inaczej...

Nie, nieprawda. Wcale nie postępowałyby inaczej. Są w życiu rzeczy, których nie da się cofnąć. Śmierć jest nieodwołalna. Rodzimy się po to, żeby umrzeć, a mimo to nawet nie próbujemy żyć tak, jakby każdy dzień miał być tym ostatnim. A przecież umrzeć można niespodziewanie w każdej chwili. Przecież tego jednego nie da się zaplanować.

Mela z westchnieniem zamknęła album. Zrobiła sobie kolejnego drinka, opróżniła popielniczkę. Piąta rano. Dobra godzina na powrót do przeszłości. Sięgnęła po kolejny album ze zdjęciami...

Wrocław 1999

Mel wróciła do domu po studniówce następnego dnia około południa, nawet nie skacowana. Jeszcze nie zdążyła dobrze wytrzeźwieć. Urwały się z Sylwią ze szkolnej imprezy i przerzuciły się taksą do Radio-Baru. To było ich miejsce od samego początku. Pierwszego sylwestra poza domem Melania spędziła właśnie tam. Później prawie wszystkie sobotnie wieczory, a także wiele popołudni i wieczorów w tygodniu.

Przyjaźń z Sylwią zaowocowała barwnym i szalonym życiem towarzyskim. Od tego pierwszego wspólnego wypadu w pierwszym dniu szkolnym ogólniaka wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała Melania. Jej paczką, jej przyjaciółmi stała się grupka bogatych nastolatków z Sigmy i oczywiście Sylwia. Wreszcie Mel była jedną z nich.

Nie wiadomo, dlaczego koleżanka skrzętnie ukrywała ich przyjaźń przed własnymi rodzicami. Mela podejrzewała, że to przez jej mamę. Małgorzata nienawidziła Sylwii od pierwszego dnia i usiłowała wymusić na córce zerwanie tej znajomości. Niedoczekanie! Miała zrezygnować z najpiękniejszej rzeczy, jaka się jej w życiu przytrafiła?! Kłóciły się o to na każdym kroku. Melania była prawie pewna, że Sylwia ukrywa ich przyjaźń przed własną rodziną właśnie z powodu matki. Bardzo szybko się wydało, że Małgorzata Robak wcale nie jest projektantką mody, tylko zwykłą krawcową. Już w pierwszym tygodniu ogólniaka Sylwia zobaczyła na własne oczy, jak żyje Mela, poznała jej byle jakie, biedne mieszkanie w bloku na Kłóśnej i nudną, prostą i nieatrakcyjną mamę. Jednak nie robiła jej wyrzutów z powodu tego kłamstwa. Nie odrzuciła jej, nie przejmowała się tym. Wciągnęła Melę do swojej paczki jak równą sobie. Nigdy nie dała jej odczuć, że jest gorsza. To było po prostu cudowne.

Mama na początku próbowała walczyć. Robiła awantury, kiedy oceny Meli zaczęły się pogarszać. Urządzała sceny za każdym razem, kiedy Mela z Sylwią wracały po nocy z imprezy i przyjaciółka odsypiała kaca w ich domu. Jednak z czasem ich kłótnie zmieniły wymiar. Zarzuty, że Mela wdeptuje w bagno, a Sylwia jest małą cwana dziewczynką, która ją demoralizuje, Melania odpieraała twardo tekstem, że Sylwia ma jakąś przyszłość, bo pieniądze i znajomości pomogą jej wylądować wyżej, niż matce się śniło. Nie dla niej, Meli, szycie pościeli albo praca za biurkiem. Ona, dzięki Sylwii i jej znajomym, ma szansę znaleźć się w kręgach, które poprowadzą ją do elit.

Dodatkowym atutem Melanii były pieniądze. Małgorzata usiłowała grozić, że nie będzie finansowała potrzeb córki, wręcz nie da jej ani grosza. Mela roześmiała jej się w nos. Fama Robala niosła się daleko. Regina milczała jak grób, a także załatwiła dodatkowe dochody, chodziło o wypracowania na zlecenie dla masy nieznanym Melanii ludzi. Całe cztery lata Mela rzetelnie dzień w dzień pracowała z Regimą nad jej zadaniami domowymi. Oprócz tego pisała prace dla pięciu różnych licealistów. Jedną z odbiorczyń była również Sylwia, która nie miała pojęcia, że jej wypracowania są dziełem Meli.

Regina pośredniczyła i trzymała buzię na kłódkę. Tak naprawdę to Melania uczyła się za sześć obcych osób, dlatego nie bardzo miała czas na własne prace domowe. Jej oceny drastycznie się pogorszyły, za to miała mnóstwo pieniędzy. Wystarczyło na wszystko, na dyskoteki, ciuchy i fajki. Jedyne, czego nie ruszyła przez te lata, to prochy. Trawka, czemu nie? Nie kosztowała drogo, trzy dychy za lufkę, od czasu do czasu więc można było zaszaleć. Ale twarde narkotyki, jak amfa, mimo wszystko były po prostu za

drogie. Po pierwszym razie, kiedy Sylwia ją poczęstowała, Mela okropnie się pochorowała. To wystarczyło za wymówkę i dziewczyny zaakceptowały, że Mel, choć jest równa, jara, pije, imprezuje, ale twardych prochów nie bierze, bo po nich rzyga.

Po oblewaniu studniówki w Radio-Barze pojechali całą paczką do domu Reginy, skąd wyrzucili ich dopiero około dziewiątej zniesmaczeni rodzice koleżanki. Doszli do wniosku, że pijackie wrzaski, kiedy sąsiedzi wybierają się w niedzielę do kościoła, nie są w dobrym tonie. Mela wepchnęła naćpaną i pijaną Sylwię do taksówki i zaholowała ją do własnego mieszkania. W takim stanie tamta nie mogła się pokazać rodzicom.

Już wielokrotnie udzielała schronienia przyjaciółce. Za parę godzin Sylwia dojdzie do siebie, weźmie szybki prysznic, przebierze się i wróci do domu. Jej rodzice byli przekonani, że nocuje u Reginy. Mela rzuciła półprzytomną Sylwię na własne łóżko i poszła do łazienki. Słyszała, jak mama za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju hałasuje maszyną do szycia. Umyła zęby, zmyła makijaż i postanowiła odespać pijaństwo. Kiedy wyszła z łazienki, stukot ucichł. Mama stała w drzwiach do pokoju, obserwując ją z niepewną miną.

– Cześć. – Mela machnęła jej dłonią. – Nie chcę jeść, idę się jeszcze przespać.

– Mela, musimy porozmawiać – powiedziała poważnie mama.

– Oj, mam, nie teraz. Daj spokój. Studniówkę ma się tylko raz w życiu. Pogadamy, jak odeśpię, OK?

– Nie, nie chcę robić ci wyrzutów. – Mama westchnęła ciężko. – Po prostu jest pewna sprawa i musimy...

– Dobra, wieczorem, OK?

– Dobrze.

Dziewczęta obudziły się około czwartej po południu. Jak zawsze, Sylwia zatelefonowała ze swojej nowiutkiej nokii najpierw do Reginy. Wszystko było OK. Rodzice Sylwii dzwonili z samego rana, ale Regina zdążyła pierwsza odebrać telefon i powiedziała, że tamta jeszcze śpi, a komórkę wyłączyła. Potem Sylwia zadzwoniła do matki, szczebiocząc, że było super i świetnie się bawiły z Giną i za małą godzinę będzie w domu. Wzięła prysznic, ubrała się i pobiegła na postój taksówek. Cały czas, kiedy miotła się między pokoikiem Melanii i łazienką, Małgorzata nie wychylała nosa ze swojego pokoju. Gdy tylko trzasnęły drzwi wejściowe za Sylwią, wyszła, jakby tylko na to czekała.

– Masz teraz czas dla mnie?

– Dobrze, ale króciutko, mama, bo mam jeszcze mnóstwo roboty. Muszę napisać rozprawkę i przesłuchać chińszczyznę Reginy – odpowiedziała Melania.

– Zrobiłam gołąbki. – Mama uśmiechnęła się niemrawo. – Twoje ulubione. Chcesz? Odgrzeję nam. Tak dawno nie jadłyśmy razem.

– Mniem. Super. Chcę. – Mela ucieszyła się, że nie popłynęły, jak zwykle, wyrzuty

czy też komentarze na temat Sylwii i złośliwe uwagi o jej własnych ocenach. – To ja tylko szybko wezmę prysznic, a potem możemy sobie pogadać przy jedzeniu, dobrze?

Mama kiwnęła głową, znikając już w drzwiach kuchni. Kiedy Mela wyszła z łazienki odświeżona i przebrana, parujące talerze z gołąbkami stały już na stole.

– Co u ciebie? Jak studniówka? – zapytała przyjaźnie mama. – Co tam w szkole?

– No oczywiście! – warknęła Melania. – Daj spokój, mam! Wałkowałam temat szkoły milion razy. Odczep się po prostu. Powiedziałam ci, że maturę zdam. Nie musisz mnie kontrolować! Jestem dorosła! To moje życie, nie twoje.

– Nie, Melu – odpowiedziała miękko Małgorzata. – Nie atakuję cię ani nie przesłuchuję. Nie chcę wracać do tego, co było. Od czterech lat prawie wcale ze sobą nie rozmawiamy. Tak, jesteś dorosła, ale to nasze życie, wspólne. Nie chcę, żeby ta rozmowa skończyła się jak ostatnia, w twoje urodziny. Ja po prostu pytam.

– Och, mammo...

Melania przypomniała sobie ostatnią paskudną kłótnię.

Jej urodziny wypadły w Nowy Rok, wróciła wtedy z sylwestrowej imprezy dopiero wieczorem następnego dnia. Mama znowu zaczęła przynudzać o szkole i Sylwii, dlatego Mela się rozżościła. Nie potrzebowała wykładów ani pouczeń od matki. Doskonale radziła sobie bez tego. Sama wie lepiej, jak ma żyć.

– Matura i matura. To, że ty nie masz matury, nie znaczy wcale, że ja jej nie będę miała. Doskonale wszystko zaplanowałam. Zrobię maturę. Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, że dzięki temu, że dawałam korepetycje Ginie, i tym wszystkim pracom, które pisałam na zlecenie przez ostatnie cztery lata, tak naprawdę jestem lepiej przygotowana do matury niż cała moja klasa? Wiem, nic nie mów, daruj sobie. Wiem, co powiesz... Nieważne, że po moich ocenach tego nie widać. Posiedzę sobie parę dni nad matką, a reszta to pryszcz.

– Dobrze – przerwała jej mama. – Wiem, że sobie poradzisz. Nigdy nie pomagałam ci w szkole. Zawsze sama sobie radziłaś. Ja nie o tym chcę... Chciałam ci powiedzieć już wtedy, po Nowym Roku, ale nie wyszło.

W jej oczach zalśniły łzy. Zasłoniła twarz dłońmi, zgarbiła się i wsparła głowę na dłoniach.

Melania przerwała jedzenie i spojrzała badawczo na matkę. Jej ręce wyglądały jak ręce starej kobiety. A przecież wcale nie była taka stara, nie miała nawet czterdziestu lat. Była blada i zaniedbana. Cienka, przezroczysta skóra, paznokcie króciutkie, niepomalowane. Wydawała się taka krucha. Meli zrobiło się głupio i przykro.

– Mammo! – Pogłaskała spracowaną dłoń. – Co się stało?

– Chciałam doczekać do twojej matury... – Małgorzata opuściła głowę. Łzy kapąły na talerz z nietkniętymi gołąbkami.

– Z czym doczekać? O czym ty mówisz? – Melania popatrzyła uważnie w zapłakane oczy mamy. – Powiedz, co się stało. Przecież możesz mi o wszystkim powiedzieć.

– Och, Mela, córeczko... To takie trudne... – Mama potrząsnęła głową. – Jestem chora.

– Chora?! Jak to? Na co? Co ci jest, mamusiu?

– Dowiedziałam się w zeszłym roku. Pamiętasz, na jesieni, ciągle kaszlałam i w końcu poszłam do lekarza. Robili różne badania, okazało się, że to nowotwór.

– Nowotwór?! Rak?! O Boże!

– Spokojnie, Melu. Leczę się cały czas, ale... Teraz już muszę ci powiedzieć. Dostałam w końcu miejsce w szpitalu. Chciałam przesunąć operację na czas po twojej maturze, ale lekarze naciskają. Wiesz, jak trudno o miejsce. Czeka się miesiącami. Doktor Zdanowska powiedziała, że nie można zwlekać dłużej. To się rozwija i rośnie. Jeśli teraz mnie zoperują, to wyzdrowieję. Później może być trudniej. Ja nie wiem... Jak ty sobie poradzisz sama, jeśli ja teraz pójdę do szpitala? Nie wiem, dziecko. Po prostu nie wiem, co robić. Matura...

– Mamo, przestań! – Melania zerwała się z krzesła i przytuliła do matki. – Poradzimy sobie ze wszystkim, razem. Zaopiekuję się tobą! Dlaczego nic nie mówiłaś? Przecież ja mam przyjaciół. Ojciec Giny jest lekarzem, chirurgiem na Bujwida. Porozmawiam z nim, na pewno pomoże...

– Nie, Melu, nie trzeba, kochanie. Ja mam bardzo dobrą opiekę, dobrych lekarzy. Szpital na Grabiszyńskiej specjalizuje się w raku płuc. Wszystko już załatwione, normalnie, bez znajomości. Tylko jak ty dasz radę sama? Przecież my nie mamy nikogo... Jesteśmy tylko we dwie.

– Mamo, nie martw się. Poradzę sobie. Ja nie jestem sama. Mam przyjaciół, Sylwię, Bartka, Ginę. Nic mi nie będzie, teraz jest ważne tylko jedno, żebyś ty wyzdrowiała.

– Melu, ja się właśnie tego boję. Nie gniewaj się, córeczko. Sylwia, Bartek... To nie jest dobre...

– Mamo, nie rozmawiajmy teraz o tym, proszę. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze. Nie sprzecajmy się już o nic. Tak bardzo cię kocham. Proszę, wyzdrowiej. Dobrze?

– Spróbuję. – Małgorzata pogładziła krótką czuprynę córki. – To już za trzy dni. W środę muszę iść do szpitala. Pojedziemy jutro zrobić takie trochę większe zakupy? Mam pieniądze, odłożyłam z sylwestrowych kiecek, miałam dużo klientek.

– Pieniądze nie są ważne. Ja mam, matuś. Boli cię?

– Czasami. – Mama wzruszyła ramionami. – Mam tabletki. Pomagają, ale ostatnio jest gorzej. To co? Chyba pójdę na tę operację?

– Oczywiście, że pójdziesz. A ja codziennie będę cię odwiedzała z rosółkiem, chcesz?

– Chcę.

Melania odprowadziła mamę do szpitala. Pierwsza rozmowa z lekarzem brzmiała groźnie. Operacja miała na celu wycięcie guza i sprawdzenie, czy jest złośliwy. Potem

planowano chemię. Lekarz opowiedział im obu dokładnie o przebiegu terapii. Zanosilo się na to, że mama parę miesięcy będzie na zwolnieniu lekarskim. Mela obiecała sobie samej, że skończy z imprezowaniem. Przez te parę miesięcy będzie się opiekowała mamą, przyjaciół i rozrywki zostawi na później. Jak mama już będzie zdrowa. Termin operacji wyznaczono na piątek, mama miała jednak pozostać te dwa dni w szpitalu, żeby porobić różne badania i przygotować się do zabiegu. Melania zwolniła się ze szkoły na parę dni. Nauczyciele wykazali zrozumienie. Nieco gorzej było z przyjaciółmi.

Regina panikowała, że Mela odwołała parę korepetycji. Zmieniła się w czwartej klasie, uparła się, że samodzielnie zda maturę i już od jesieni Mela była całkowicie zadowolona ze swojej podopiecznej. Gina ucziwie pracowała, choć szło jej to ciężko. Na tę zmianę wpłynął oczywiście nowy chłopak Reginy, który studiował na drugim roku prawa i postawił sprawę jasno. Nie wyobraża sobie partnerki, która będzie „tylko” po maturze. To, co przez całe lata nie udało się rodzicom dziewczyny, załatwiła miłość. Gina wreszcie się uczyła, co prawda nie dla siebie, tylko dla ukochanego. Nieważne. Ważne, że się uczyła. Koniec końców zgodziła się przez jakiś czas radzić sobie sama.

Gorzej było z Sylwią. Wprawdzie gładko przełknęła informację, że Mel na jakiś czas zawiesza wspólne wypadki do Radio-Baru i sobotnie imprezy i nawet się nie przejęła, że koleżanka chwilowo odmawia jej noclegu poimprezowego, bo matka musi mieć spokój. To wszystko spłynęło po niej jak woda po kacze. Gorzej przyjęła inną informację. Melania pisała wypracowania Sylwii, była jej „Murzynem” i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Uważała jednak, że Sylwia nie ma pojęcia, kto jest autorem jej prac do szkoły. Myliła się bardzo, ale dowiedziała się o tym dopiero w sobotnią noc, dzień po operacji mamy.

Operację zaplanowano na dziesiątą rano i miała trwać dwie godziny. Dopiero o drugiej po południu do Meli przyszedł lekarz. Wszystko się pogmatwało; tłumaczył jej długo, że nastąpiły komplikacje, mówił coś o przerzutach. Niewiele z tego zrozumiała. Odesłali ją do domu. Miała wrócić w sobotę rano, dziś mama i tak pozostanie w sali pooperacyjnej. Nie można jej zobaczyć, poza tym śpi. Na proste pytanie – czy mama wyzdrowieje? – właściwie nie odpowiedział nic konkretnego. Mówił zawile o wynikach biopsji, o szansach i żeby mieć nadzieję w Bogu. Wyszła ze szpitala z mętlikiem w głowie. Bóg? Mama była wierząca, co niedzielę chodziła na mszę do kościoła Świętej Elżbiety, tego samego, z którym sąsiadował szpital na Grabiszyńskiej. Dawno temu, jak Mela była mała, chodziły tam razem.

Wracały zawsze przez Pereca i zachodziły na pyszne rurki z kremem do Spychały. Potem to się skończyło. Właściwie dlaczego? No jasne, Mela w liceum zapisała się na etykę, rezygnując tym samym z religii. A na msze przestała chodzić, bo w niedziele

odsypiała sobotnie imprezy. Bezwiednie skierowała się do małej bocznej bramy kościoła. Był otwarty. Weszła i usiadła na ławce przed ołtarzem Matki Boskiej. Zapomniane słowa modlitwy same odnalazły się w głowie. Jej wszystkie myśli wypełniało nieme błaganie. Uratuj ją. Uratuj moją mamę. Przecież mam tylko ją.

Wróciła do domu. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. W telewizji nie było nic; bezmyślnie przekładała podręczniki szkolne, zaczęła coś czytać, a po godzinie zorientowała się, że nie ma pojęcia, o co tam chodzi. Poszła do kuchni, ale nie była głodna. Posprzątała trochę. Popatrzyła na stertę ubrań do prasowania. Rozłożyła deskę i włączyła żelazko. O siódmej całe mieszkanie było wysprzątane i Mela nie miała już nic do roboty. Chwyciła klucze od domu i pobiegła do szpitala. Gburowata baba w dyżurce nie wpuściła jej za bramę. Odwiedziny są od dziesiątej rano, nie udziela żadnych informacji. Mela stała bezradnie przed wejściem.

Na przystanek zajechała dwudziestka. Dziewczyna odruchowo wsiadła do tramwaju. Gdyby pojechała parę przystanków, trafiłaby na Krzyki, do Sylwii. Wiedziała jednak, że przyjaciółki o tej porze i tak na pewno nie ma w domu. Do rynku, do Radio-Baru nie chciała jechać. Miała mgliste wrażenie, że jeśli teraz pójdzie do jakiegokolwiek knajpy, zaszkodzi tym mamie. Wysiadła na Grabiszynku, niedaleko nowego domu rodziców Reginy. Znaną drogą dotarła do domu koleżanki i zadzwoniła do furtki. Otworzył ojciec Giny.

– Aaa, Melania. – Uśmiechnął się szeroko. – Byłyście na dzisiaj umówione? Przecież dziś piątek. Reginka wyszła z przyjaciółmi. Zapomniała o spotkaniu z tobą?

– Nie. – Mela potrząsnęła głową. – To ja zapomniałam, że dziś piątek. Przepraszam. Do widzenia. – Odwróciła się do wyjścia.

– A nie, czekaj. Jak już jesteś, to ureguluję ci od ręki należność za lekcje z Reginką. Wejdz, Melu. Bardzo ci jesteśmy wdzięczni, że tyle czasu jej poświęcasz. Ona naprawdę zrobiła postępy. Masz na nią dobry wpływ.

Weszła za nim do przedpokoju, a potem do wesołego saloniku połączonego z kuchnią. Mama Reginy gotowała gołąbki. Zapach kapusty podrażnił nozdrza Melanii. Nagle opanował ją głód i poczuła się taka strasznie samotna i słaba. Nie chciała, ale łzy popłynęły same. Doktor Korycki podniósł wzrok znad portfela i spojrzał na nią z troską.

– Mela, dziecko, co z tobą? Ty płaczesz? – Ujął ją za łokieć. – Chodź, usiądź. Co się dzieje?

– Mama jest w szpitalu – wychlipała przez łzy. – Nie wpuszczają mnie do niej. A ona też mi zrobiła gołąbki i teraz... Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Masz chusteczkę. – Podał jej starannie złożoną bawełnianą chustkę do nosa. – Nie płacz. Opowiedz po kolei, co się stało. Wypadek?

– Nie. – Mela przecząco pokręciła głową. – Nowotwór. Dzisiaj była operowana, na Grabiszyńskiej.

– Och. – Poklepał ją po ręce.

Doktor Korycki znał Melę od podstawówki. To on ją poprosił, gdy były w piątej klasie, żeby odrabiała lekcje z Reginą. Wtedy mieszkali jeszcze na Stalowej, w starej kamienicy niedaleko bunkra. Koryccy wiedzieli, że Mela ma tylko mamę. Od szóstej klasy sami zaproponowali, że Mela będzie dostawała uczciwe pieniądze za korepetycje dla ich córki. Mama się zgodziła. Bardzo szanowała doktora Koryckiego.

Mama Reginy przykręciła gaz pod garnkiem i usiadła obok nich na kanapie.

– Mela, kochanie. – Przytuliła dziewczynę. – A ty w ogóle jadłaś coś dzisiaj?

Melania pokręciła przecząco głową.

– To zjesz. Bez gadania – zarządziła. – Idź, umyj ręce i twarz. Zjemy razem, a potem się zastanowimy, co dalej.

Z łazienki słyszała cichy szmer ich głosów. Kiedy wróciła do saloniku, na stole stały już trzy nakrycia. Podziękowała, usiadła i niemrawo dziubiła widelcem w gołąbkach.

– Melu, a czy ty masz jakąś ciotkę albo kuzynkę? – spytała pani Korycka. – Kogokolwiek, kto teraz będzie z tobą w domu.

– Nie. Mama była jedynaczką, jej rodzice zginęli w wypadku na długo przed moim urodzeniem. Nie mamy żadnej rodziny.

– A twój ojciec? Wiesz coś o nim? – drążyła temat. – W takiej sytuacji, niezależnie od tego, co było powodem rozstania twoich rodziców, powinien chyba poczuć się w obowiązku, żeby ci pomóc?

– Nie. – Mela wzruszyła ramionami. – Ja naprawdę nie mam ojca. Mama nigdy nie chciała o nim mówić. Powiedziała, że to był wypadek i ojciec nawet nie wie, że istnieje. Urodziła mnie i nigdy nie chciała mieć nic wspólnego z moim ojcem. Ja mam tylko ją.

– Jeśli chcesz, możesz zostać dzisiaj u nas – zaproponowała mama Reginy.

– Nie, dziękuję. Już się uspokoiłam, zaraz wrócę do domu. To było tylko takie chwilowe załamanie. Wie pani, te gołąbki mnie rozwaliły. Mama w niedzielę zrobiła dla mnie gołąbki. Wtedy powiedziała mi o wszystkim. A teraz leży sama w szpitalu i nikt mi nie chce nic konkretnego powiedzieć, co dalej. Już dobrze, już mi przeszło. Wrócę do domu, a rano pójdę do szpitala.

– Melu. – Doktor Korycki spoważniał. – Jeśli chcesz, pójdę z tobą. Nie mam jutro dyżuru, a wiem, że rozmowy z lekarzami są trudne. Mama jest po operacji, nie nadaje się jeszcze, by udzielać jej zbyt wielu informacji. Wszystko spadnie na twoje barki. Mam jutro czas. Chcesz?

– Będę bardzo wdzięczna, panie doktorze. – Melania spoważniała. – Jest dużo rzeczy, których nie rozumiem. Nikt nie potrafił mi zwyczajnie powiedzieć, co dalej. Jestem gotowa zrobić wszystko, co będzie trzeba, żeby mama wyzdrowiała, ale muszę wiedzieć, co z nią jest. Co mogę zrobić? Pomoże mi pan?

– Pomogę, Melu – obiecał. – Jesteśmy ci to winni, dziecko. Już późno, jeśli

naprawdę nie chcesz zostać u nas na noc, to po kolacji zawiozę cię do domu. Nie będziesz sama tak późno tłukła się tramwajami. A jutro razem pójdziemy do twojej mamy. Tak?

Melania z wdzięcznością przyjęła jego pomoc. Umówiła się z doktorem w szpitalu na dziesiątą rano. Była pewna, że nie uśnie, ale zaledwie przyłożyła głowę do poduszki, sen przyszedł sam. Obudziła się wcześniej. Z niecierpliwością poganiała wzrokiem wskazówki zegarka. Przygotowała małe kanapeczki dla mamy i spakowała je do torby. Obrala warzywa na rosół, żeby ugotować wielki gar wieczorem i zanieść jutro do szpitala. O dziesiątej czekała przed pokojem lekarza dyżurnego. Nikt nie chciał jej powiedzieć, w której sali leży mama, skierowano ją bezpośrednio do gabinetu lekarza. Czekiła zaledwie parę minut, kiedy drzwi się uchyliły i dostrzegła w nich znajomą, kojącą twarz doktora Koryckiego.

– Witaj, Melu. Wejdz, proszę. – Szeroko otworzył drzwi pokoju, a potem wskazał jej krzeselko. – To doktor Zieliński – przedstawił szpakowatego lekarza, z którym Melania rozmawiała po operacji mamy. – Mamy szczęście, że dzisiaj jest na dyżurze. Dostajemy informacje z samego źródła, doktor Zieliński asystował doktorowi Gałęckiemu. Przyszedłem trochę wcześniej, a doktor był tak miły, że udostępnił mi kartę twojej mamy. Melu, musisz być silna. Nie mam dla ciebie dobrych wieści.

– Ale mama wyzdrowieje, prawda? – przerwała mu niegrzecznie, bojąc się tego, co za chwilę usłyszy.

W duchu błagała jedynie o tę jedyną wiadomość. Tak. Mama wyzdrowieje. Będzie jeszcze długo chorowała, ale wyzdrowieje. Tak. Błagam, powiedz tak!

– Nie. – Położył rękę na jej ramieniu i spojrzał głęboko w oczy. – Nie, Melu, nie wyzdrowieje. Nie będę cię oszukiwał. Medycyna już nic nie może dla niej zrobić. Ten nowotwór jest szczególnie złośliwy. Zaatakował nie tylko płuca, rozprzestrzenił się w ciągu paru miesięcy na wątrobę i inne narządy wewnętrzne. Nie można go powstrzymać. Mama jest bardzo osłabiona po operacji, lekarze usunęli dużą część płuc, będzie miała teraz trudności z oddychaniem. Jedyne, co możemy dla niej zrobić, to oszczędzić jej bólu. Nie będzie mogła normalnie jeść, trzeba ją odżywiać dożylnie. Oczywiście pozostanie w szpitalu, tu będzie miała odpowiednią opiekę. Załatwiłem już z doktorem Zielińskim, że w poniedziałek będzie przeniesiona do innego pokoju, dostanie pielęgniarkę, która będzie o nią dbała. Nie musisz się niczym zajmować. Wszystko zorganizowałem.

– Panie doktorze... – Mela nie wierzyła w to, co usłyszała. Nie chciała wierzyć. – Ale przecież ona może jeszcze wyzdrowieć, prawda? Może kolejna operacja? Może jakieś zagraniczne leki? Przecież ona nie umrze? Prawda?

– Melu, dziecko. – Ukucnął przed krzeselkiem, na którym siedziała, i przycisnął do piersi zwinięte w pięści dłonie. – Mogę cię okłamywać, dać ci fałszywą nadzieję, lecz prawda jest taka, że na to nie ma leku, nie ma żadnej terapii – ani w Polsce, ani za

granicą. Nie w tym stadium. Jedyne, co możemy zrobić, to zadbać, żeby nie cierpiała. Żeby odeszła w spokoju i bez bólu. Rozumiesz?

– Co ja mam teraz zrobić? – wyszeptała z przerażeniem.

– Nie możesz nic zrobić, dziecko. Bądź przy niej, spraw, żeby odeszła spokojna o ciebie. To wszystko. Dostaniesz specjalną przepustkę, będziesz mogła być przy mamie poza godzinami odwiedzin. To załatwione.

– Jak długo...? – Melania z wysiłkiem artykułowała poszczególne słowa. – Moja matura. W maju. Czy mama będzie...? Mogę... Jeśli zdam dobrze maturę, ja potrafię, poradzę sobie... Czy jeśli zobaczy, że sobie poradziłam, czy to może pomóc? No, wie pan, czy będzie wtedy walczyła z chorobą?

– Kochanie, jeśli mama dotrwa do twojej matury, to będzie cud. Ale cuda się zdarzają. Bądźmy dobrej myśli.

– Ile czasu, panie doktorze? – Mela wpatrywała się tępo w papiery leżące na biurku.

– Ile czasu jej pan daje?

– Parę tygodni, może miesiąc. Nie wiem, Melu. Nad tym nie mamy żadnej władzy. Musisz być bardzo silna. Dla niej, Melu.

– Mogę teraz iść do mamy?

– Sam cię zaprowadzę – powiedział doktor Korycki. – Chodź, Melu. Nie potrzebujesz jeszcze chwili? Jeśli chcesz, możesz sobie tutaj spokojnie popłakać. Poczekał.

– Nie będę płakać, panie doktorze. Muszę być silna. Dla mojej mamy.

A jednak płakała, ale dopiero w domu, późnym wieczorem. Łzy płynęły nieprzerwanie, szlochała głośno, zanosila się płaczem. Winiła siebie za to wszystko. Była wredna dla mamy, przez te wszystkie lata ogólniaka zachowywała się po prostu wrednie. A teraz mama umrze. Tak zwyczajnie, nie będzie jej. Usnęła wyczerpana płaczem po drugiej w nocy. O czwartej obudził ją dzwonek do drzwi. Nieprzytomna ze zmęczenia, otworzyła. Na progu stała Sylwia, pijana, naćpana, agresywna.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz, gnido?! – bełkotała. – Jak było dobrze, jak ci stawiałam, to byłaś słodziutka jak miód. A teraz, jak przyszło co do czego, to spierdalasz?! Co ty sobie myślisz?! Regina mi wszystko powiedziała. Że niby ja mam sobie radzić inaczej?! Zawsze odwalaaś moje referaty i będziesz dalej odwalaa! Nie wymigasz się, jesteś mi to winna. Wiedziałam, że jesteś nikim. To ja zrobiłam z ciebie człowieka! A ty sobie myślisz, że tak z dnia na dzień się wyślizgasz, szcurze?! Gówno! Masz wobec mnie dług i mi go spłacisz! – krzyczała, wymachując rękami.

Na klatce schodowej zapaliło się światło. Sylwia pobudziła sąsiadów, za chwilę zaczną otwierać drzwi i patrzeć, co się dzieje. Kazowska z dołu pewnie już dzwoni po policję. Melania wciągnęła zataczającą się koleżankę do mieszkania i zatrzasnęła zamek. Nagle tamta zgięła się w pół i gwałtownie zwymiotowała. Potem opadła na

podłogę w przedpokoju i usnęła.

Melania patrzyła na swoją najlepszą przyjaciółkę. Naćpana, zarzygana, z rozmazanym makijażem, chrapała w kącie przedpokoju. Co ja zrobiłam ze swoim życiem? – pomyślała. Poszła do łazienki, umyła się i zmieniła zabrudzoną piżamę. Potem zawlokła Sylwię do swojego pokoju i z trudem wepchnęła na łóżko. Nie próbowała jej rozbierać ani myć. Zostawiła ją tam jak nic nieznaczącą kupkę brudów. Bo dopiero teraz zrozumiała, czym tak naprawdę jest Sylwia. Nic nieznaczącą kupką brudów.

Nie chciało jej się spać. Wczoraj, kiedy wróciła do domu, zdała sobie sprawę, że nie ugotuje już rosółu dla mamy. Mama już nigdy nie zje nic, co Mela ugotuje. Będą ją karmić dożylnie. Poszła do kuchni i postawiła przygotowany wczoraj rosół na gazie. Przeniosła do pokoju mamy swoje podręczniki i duży blok do notatek. Otworzyła książkę do matematyki. O ósmej obudziła Sylwię.

– Wstawaj i jedź do domu. – Szarpnęła ją. – Muszę iść do mamy do szpitala.

– Odwal się! Jest za wcześnie – wymamrotała tamta. – Wstanę, jak dojrzeję. Idź sobie, gdzie chcesz.

– Nie! Nie możesz tutaj zostać. – Ściągnęła z niej zabrudzony koc. – Musisz iść. Masz piętnaście minut. Wstawaj!

– Odpierdol się, Robalu!!!

– Sylwia, jeśli natychmiast nie wstaniesz, zadzwonię do twojego ojca – powiedziała cicho Melania.

Ona wiedziała od początku, to wszystko było udane, na pokaz, ona wiedziała o mnie, myślała w panice.

Sylwia usiadła na łóżku.

– Mel, nie świruj – powiedziała w miarę przytomnym głosem. – Przyszłam, bo chciałam z tobą pogadać. Przecież między nami może być wszystko spoko. Wyśpię się, to pojedę na chatę, jak zawsze. O co ci biega?

– Czy ty w ogóle pamiętasz, jak się tu znalazłaś?

– Normalnie, luzik, jak zawsze. Wzięłam taksę po imprezie i wylądowałam u ciebie. Spoko.

– Nie spoko, Sylwia. – Głos Meli był zimny jak kostki lodu. – Wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że życzysz sobie jedynie, abym nadal odwaliała twoje prace do szkoły. Nic innego nigdy cię nie interesowało, prawda?

– Przestań się czepiać i świrować. – Sylwia wzruszyła ramionami. – O co ci biega? Przecież i tak zawsze odwaliałaś. I to nie zapomnijmy, za ciężką kasę.

– Wiedziałaś od początku, że ja to dla ciebie piszę?

– No pewnie. Regina nie jest idiotką, wie, z której strony wiatr wieje.

– Przecież płaciłaś za te prace. Po co jeszcze udawałaś, że się ze mną przyjaźnisz?

– E! Uważaj ze słowami. Ja tam nigdy nic nie musiałam udawać. Jaka przyjaźń! Przyczepiłaś się, to cię nie odganiałam. Nie jestem twoją przyjaciółką. Jako kumpela

wygodna byłaś, zawsze miałam gdzie się przekimać. Starzy Giny marudzili, u Miśka też nietoperze nieprzychylne, a u ciebie nigdy nikt wstrętów nie robił. Starą sobie ustawiaś w kąciku i gitara. Ktoś ci kiedyś mówił o jakiejś przyjaźni? Wygodna byłaś, a za robotę do szkoły, przyznaj, że hojnie ci płaciłam. To interes, złotko. I mam nadzieję, że dla swojego dobra nie zerwiesz teraz zniecka umowy.

– Nie miałyśmy nigdy żadnej umowy – powiedziała cicho Melania. – Zabieraj swoje manatki i po prostu idź.

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz! Mogę cię zniszczyć!

– Za późno, Sylwia. Już zniszczyłaś. Idź stąd!

– Jak sobie chcesz, Robalu. Pożalujesz.

Zabrała torebkę i poszła do łazienki. Po paru minutach trzasnęła drzwiami od mieszkania, wyszła. Zostawiła na podłodze łazienki brudny, zarzygany T-shirt.

* * *

Kolejne dni wyglądały identycznie. Mela wstawiała o szóstej rano i przed siódmą biegła do szpitala. Mama budziła się o siódmej. Pół godzinki rozmawiały, a potem jedna z dwóch pielęgniarek, które opiekowały się Małgorzatą, przychodziła, żeby przygotować ją do wizyty lekarzy. Wtedy Mela wychodziła do szkoły. Po lekcjach wracała do szpitala.

Wszyscy przyzwyczaili się do niej i ją polubili. Już po paru dniach salowe zostawiały jej zawsze porcję szpitalnego obiadu. Mama nie mogła nic jeść. Kroplówki, które na stałe zagościły przy jej łóżku, odżywiały ją i sprawiały, że nie odczuwała bólu. Doktor Korycki zaglądał do niej prawie codziennie, wracając z pracy.

Było różnie. Przez pierwsze dni po operacji Małgorzata prawie wcale nie mogła mówić. Potem czuła się raz lepiej, raz gorzej. Mela rozkładała książki i zeszyty na małym stoliku i uczyła się, jak mama spała. Kiedy się budziła, dziewczyna opowiadała jej o szkole, o swoich planach, postępach Reginy i przygotowaniach do matury. Jakby to wszystko było ważne. Tak naprawdę nie było, tylko mama była ważna. Ale dopiero teraz, po raz pierwszy od lat, Melania wpuściła mamę do swojego świata. Opowiadała jej o wszystkim, dzieliła się z nią każdą myślą. Każdą dobrą myślą. Nie wspominała o kłopotach. Nie mówiła o szykanach i złośliwościach ze strony Sylwii. Ani o tym, że Bartek z nią zerwał, nie opowiadała o pękniętej rurze w łazience. O wielu rzeczach nie mówiła. Czasami mama czuła się lepiej. Wtedy rozmawiały.

– To dobrze, córcia, że będziesz miała maturę – powiedziała któregoś dnia urywanym głosem. Miała trudności z oddychaniem i mówiła powoli, krótkimi zdaniami, robiąc długie przerwy na oddech. – Ja nie mam. Sama nawaliłam.

– Mamuś, nie gadaj tyle. Nie męcz się.

– Chcę ci powiedzieć. Pozwól mi. Dzisiaj jest trochę lepiej. Nie wiem, jak będzie jutro. Pozwól mi mówić, Melu.

– Dobrze, to mów. Ale jak się zmęczysz, to przestań. Mamy jeszcze dużo dni na rozmowy.

– Wiesz, że twoi dziadkowie zginęli w wypadku samochodowym. Jechali z przyjaciółmi do Kalisza, na groby swoich rodziców. Ja nie pojechałam, bo byłam głupia i zbuntowana. – Mama mówiła powolutku, co chwila robiąc nawet minutowe przerwy na oddech. – Miałam szesnaście lat i pragnęłam żyć po swojemu. Oni byli bardzo prostymi ludźmi. Chcieli, żebym została krawcową, bo to solidny fach. Ja byłam głupia, wolałam chodzić na potańcówki i używać życia. Jak zginęli, zostałam sama, bez żadnych środków. Rzuciłam szkołę i rzuciłam się w wir życia. A on wciągnął mnie na samo dno. Wylądowałam na ulicy, córcia. Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale teraz chcę, żebyś wiedziała. – Przymknęła oczy i usnęła.

Melania przetrwała otrzymaną informację. Na ulicy? Co to znaczy? Jej matka była prostytutką? Jej mama?! Taka bogobojna, skromna, przyzwoita i uczciwa? To niemożliwe, chyba coś źle zrozumiała. Myśli tłukły jej się w głowie jak oszalałe. Siedziała bez ruchu prawie kwadrans. Wreszcie mama się obudziła. Otworzyła oczy i popatrzyła na Melę z miłością.

– Chcę ci powiedzieć. Już czas – jęknęła.

– Mamo, boli cię? – Mela pochyliła się nad łóżkiem. – Nie musisz nic mówić. Czekać, pójdę po pielęgniarkę, da ci lekarstwo.

– Nie chcę lekarstwa, Melu. Po lekarstwie znowu będę tylko spała. Pozwól mi mówić. Proszę.

– Mamuś, przecież ja ci nigdzie nie ucieknę. Jeszcze zdążysz mi wszystko powiedzieć. Jeśli boli, to trzeba...

– Nie, Melu. Nie wiem, czy zdążę. Chcę ci to powiedzieć teraz. Proszę.

– Dobrze. – Melania posłusznie usiadła na krzesełku przy łóżku.

– Dwa lata oddawałam się różnym mężczyznom za pieniądze. To prawda. Mój grzech, moja wina. Ale potem poznałam kogoś i dla niego rzuciłam to wszystko. To był twój ojciec. On był dobry, tylko słaby. Pogubił się, dał się omotać. Melu, nie wiem, co będzie dalej. Proszę cię tylko o jedno, zrób maturę, zostań kimś. Tańce, towarzystwo i alkohol to kłamstwo. To nie jest dobre życie. Dobre życie to uczciwa praca i człowiek, którego pokochasz, dla którego warto żyć.

Jęknęła głośniej, powieki jej opadły; oddychała ciężko.

– Mamo, zawołam pielęgniarkę.

– Nie – wyszeptała mama, przytrzymując ją za rękę. – Już mi lepiej, nie odchodź.

Po kilkunastu minutach podjęła swoją opowieść.

– Obserwowałam cię przez ostatnie lata. Martwiłam się. Myślałam, niedaleko padło jabłko od jabłoni. Ale to nieprawda. Ty nie jesteś taka jak ja. Jesteś mądrzejsza,

silniejsza. Masz dar od Boga, dziecko, nie zmarnuj go. Sylwia Korab Lubuska nie jest dla ciebie dobra... To córka swojej matki... Ona...

– Mamuś, nie męcz się. Nie martw się, Sylwia już odeszła. Skończyłam z tym samym życiem. Masz rację. Masz rację ze wszystkim. Zobaczysz. Zrobię maturę, pójdę na studia. Jeszcze będziesz ze mnie dumna. – Całowała wiotką dłoń mamy.

Małgorzata znowu usnęła. Fale bólu wykrzywiały jej twarz. Melania pobiegła do dyżurki pielęgniarek. Po chwili z kroplówki skapywał rurką prosto do żył mamy środek przeciwbólowy. Teraz będzie spała. Melania pocałowała ją delikatnie w czoło i wyszła.

Wróciła jak zwykle następnego dnia o siódmej rano. Mama spała. Pielęgniarka z poważną miną zaprowadziła Melanię do pokoju lekarskiego. Doktor Zieliński przywitał ją życzliwie, jak starą znajomą, ale oczy miał smutne.

– Sytuacja jest bardzo niedobra – rzekł przygnębiony. – Myślę, że powinnaś dziś zostać z mamą. Jej wyniki pogarszają się z godziny na godzinę, wiesz o tym. Od wczoraj się nie obudziła. Serce słabnie. To już nie potrwa długo.

Mela nic nie powiedziała. Siedziała jeszcze ponad kwadrans przed pokojem lekarskim i płakała bezgłośnie. Potem umyła twarz i poszła do pokoju mamy. Małgorzata spała. Godziny mijały, a Mela siedziała tak na krzeselku obok jej łóżka i patrzyła, jak mama śpi. Od czasu do czasu przychodziła pielęgniarka i zmieniała woreczki z kroplówką. Kap, kap, kap – wolno spływały krople. Pik, pik, pik – pikał równomiernie monitor, kontrolujący pracę serca chorej. Już dawno zrobiło się ciemno. Szmer na korytarzach ucichł, minął cały dzień. Mama spała. Pielęgniarka z nocnej zmiany zajrzała do pokoju. Kiwnęła Meli głową na powitanie.

– Chcesz coś do jedzenia? – spytała.

– Nie, dziękuję – wyszeptała Melania.

Odwróciła głowę w stronę mamy. Mama miała szeroko otwarte oczy. Patrzyła na nią.

– Twój ojciec to Roman Korab. Sylwia jest twoją siostrą – wyszeptała.

– Mamuś, mamuś, obudziłaś się! – Mela przypadła do niej szybko. Tamte słowa wcale do niej nie dotarły.

– Kocham cię – wyszeptała mama.

Monitor przy jej łóżku zamigotał, zachłysnął się i zamiast równomiernego: „pik, pik, pik”, wydał z siebie przeciągłe „piiiiii”. W sali zaroiło się od szpitalnego personelu. Wyproszono Melanię na korytarz. Stała tam bez ruchu i czekała. Nie wiedziała, ile to trwało. Potem pielęgniarka przytuliła ją mocno.

To koniec, pomyślała dziewczyna. Usiadła na podłodze przed drzwiami pokoju mamy.

Doktor Korycki przyjechał godzinę później. Zabrał Melę do swojego domu, a potem siedział przy niej całą noc. Rano mama Reginy zrobiła im śniadanie. Regina wcale

z nią nie rozmawiała, unikała jej. Tak było lepiej. Melania nie miała ochoty na rozmowy. Koryccy cały czas coś do niej mówili. Zgadzała się na wszystko jak bezwolna lalka. Potem jeździła z panią Korycką po całym mieście i podpisywała różne dokumenty. Po południu matka Reginy zawiozła dziewczynę do mieszkania. Kazała jej spakować parę drobiazgów i znów zabrała Melę do siebie. Wieczorem przy kolacji doktor zapytał:

– Melu, musisz podjąć decyzję. Który cmentarz?

Dziewczyna milczała.

– Melania, proszę, odezwij się. Powiedz cokolwiek. Ja wiem, to straszne, ale musisz żyć dalej. Mama nie chciałaby, żebyś się załamała. Życzyłaby sobie, żebyś normalnie żyła, uczyła się, zrobiła maturę. Melania, dziecko, porozmawiaj ze mną.

– Obiecałam jej – wyszeptwała. – Obiecałam, że pójdę na studia.

– Pójdiesz.

Łzy popłynęły. Znowu, tak jak tamtego dnia po operacji mamy. Mela płakała, zawodziła, szlochała, aż wylała wszystkie łzy, jakie miała. Potem usnęła na kanapie. Rano wstała wcześniej. Pani Korycka cichutko krzątała się po kuchni, szykując śniadanie dla męża i córki.

– Dzień dobry, Melu. Obudziłam cię?

– Nie. Już jakiś czas nie śpię – odpowiedziała dziewczyna. – Chciałam pani i panu doktorowi bardzo podziękować za opiekę i pomoc. Dzisiaj już wrócę do siebie, do domu.

– Na pewno, dziecko? – Matka Reginy pogładziła ją po głowie. – Pewna jesteś?

– Tak. Już mi lepiej. Pan doktor ma rację, muszę żyć dalej – odparła stanowczo. – Grabiszynek.

– Słucham? – spytała zdezorientowana matka Reginy.

– Grabiszynek – powtórzyła Melania. – Cmentarz Grabiszyński. Moi dziadkowie są tam pochowani. Załatwię wszystko sama. Mama jest, to znaczy była wierząca, na pewno chciałaby mieć pogrzeb z księdzem.

– Ach tak. Cmentarz. Prawda. – Pani Korycka usiadła obok Meli. – Jeśli chcesz, pojedę dzisiaj z tobą. Pomogę ci wszystko pozałatwiać. Ksiądz będzie kosztował. Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, dziękuję, mam. – Mela była opanowana i spokojna. – Państwo zrobili już dla mnie wystarczająco dużo. Teraz poradzę sobie sama. Gdybym tylko mogła prosić o adres tego zakładu pogrzebowego, w którym wczoraj byliśmy...

– Oczywiście. Dam ci wszystkie papiery. – Pani Korycka, lekko urażona jej suchym tonem, zajęła się na powrót szykowaniem śniadania.

Mela załatwiała formalności kolejne dwa dni. Kościół, ZUS, praca mamy, szkoła, cmentarz, zakład pogrzebowy. Papiery, dokumenty, papiery.

Pogrzeb był w czwartek. Siedem – dokładnie tyle osób brało udział w uroczystości. Siedem osób. Mela, doktor Korycki z żoną i córką, koleżanka mamy z pracy, nauczyciel historii Melanii i ksiądz.

W piątek Melania posegregowała dokumenty domowe. Policzyła swoje stałe dochody. Będzie renta po mamie i pieniądze za korepetycje Reginy. Oszczędności zarówno mamy, jak i swoje wydała na pogrzeb, księdza i no, po prostu wydała. Oszczędności więc nie było. Tamtego razem wystarczy na czynsz, prąd i telefon. Zostanie sto pięćdziesiąt złotych. Za mało. Nawet jeśli będzie oszczędna, za mało na jedzenie. Od poniedziałku wraca do szkoły. Musi zdać maturę najlepiej. I jeszcze wybrać kierunek studiów. Zastanowić się, co będzie najlepsze. Filologia, anglistyka? Pewnie tak. Tam ma największe szanse zdać egzaminy. Angielski, polski i historia, jej ulubione przedmioty. Trzeba nadrobić stracony czas, poprawić oceny. Dobra średnia da jej większe szanse. Trzeba się pouczyć – dla siebie, dla mamy. Nie ma teraz czasu na zarabianie pieniędzy. W wakacje popracuje, odłoży sobie odpowiednią sumę, żeby przeżyć rok akademicki. Ale teraz to niemożliwe. Trzeba się uczyć.

Sięgnęła po stare albumy ze zdjęciami. Przeglądała fotografie młodej mamy. Była taka śliczna, taka radosna. Zadumała się przez chwilę.

Podjęła decyzję. Spojrzała na zegarek; prawie siódma, za godzinę zacznie się zmierzchać. Powinien już być. Wyjęła jedno ze zdjęć z albumu, chwyciła kurtkę, torebkę i wyszła z domu.

Ogród willi Lubuskich nadal był imponujący, mimo że brak bogatych jesiennych barw nieco go zubożył. Jeszcze za wcześnie, żeby wiosna mogła w pełni pokazać swoją urodę. Melania nacisnęła guzik dzwonka. Do furtki wyszła znajoma pokojówka Krysia.

– Do kogo? – spytała obojętnie.

– Do pana Koraba-Lubuskiego.

– Nie ma w domu. Umówiona pani jest?

– Nie, dziękuję. Ja poczekam.

Drzwi od domu otworzyły się gwałtownie i Sylwia wypadła przez nie jak burza.

– Co ty tutaj robisz? – krzyknęła oburzona, mijając pokojówkę. – Wynoś się! Jak śmiesz tutaj przychodzić, ty idiotko?!

– Nie przyszłam do ciebie – wyjaśniła spokojnie Melania. – Czekam na twojego ojca.

– Chyba sobie żartujesz?! Nie wolno ci tu przychodzić. Wynoś się stąd, bo wezwę policję!

– Wzywaj. Nie włamałam się i nie mam zamiaru tego robić, a stać mi wolno wszędzie.

– No idź, on i tak ci nie uwierzy. Nie wystarczy ci, że jesteś Robalem, chcesz jeszcze być donosicielem, szpiclem?

– Sylwia, uspokój się, to nie ma nic wspólnego z tobą...

Pokojówka z zainteresowaniem przysłuchiwała się kłótni. Drzwi willi po raz kolejny się otworzyły i do grupki przed furtką dołączyła matka Sylwii.

– Przestańcie krzyczeć! – wysyczała. – Pani Krysiu, proszę do domu. Nie ma pani nic do roboty? – spytała ostro. – Sylwia, natychmiast wracaj do siebie!

– Mamo, nie wierz w ani jedno jej słowo. – Sylwia mówiła szybko, nerwowo. – Jest zazdrosna. Zawsze próbowała mi się podlizywać, bo jest zazdrosna o wszystko. Ona kłamie, bezczelnie łąże. Mści się za to, że nie chciałam się z nią zadawać. Mamo...

– Sylwia – powiedziała pani Lubuska suchym, kategorycznym tonem. – Natychmiast wracaj do siebie!

Tamta opuściła głowę, zagryzła wargi i bez dalszych dyskusji poszła do domu, po drodze rzucając przybyłej wściekłe spojrzenie.

Pani Lubuska popatrzyła na Melanię z niesmakiem jak na coś wyjątkowo obrzydliwego.

– A ty nie jesteś tu mile widziana. Nie jesteś tolerowana w moim domu, nie masz tu po co przychodzić. Nie zostaniesz wpuszczona. Rozumiesz?

– Rozumiem – spokojnie odpowiedziała półgłosem Mela. – Nie zamierzam państwa odwiedzać. Czekam jedynie na pani męża. Muszę z nim o czymś porozmawiać.

– Ciekawe, o czym. – Znowu zabrzmiał ten syczący ton.

– To prywatna sprawa.

– Zobaczymy – mruknęła ze złością pani Lubuska, obróciła się na pięcie i zniknęła w drzwiach willi.

Melania spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Jeśli zwyczaje w tym domu się nie zmieniły, ojciec Sylwii powinien lada chwila nadjechać. Minęło parę minut. Ścisnęła kurczowo w palcach zdjęcie matki, bezpiecznie ukryte w kieszeni kurtki. Nie spodziewała się takiej sceny. Nie zamierzała nikomu zaszkodzić. Nie chciała żadnych awantur. Ale musiała to wyjaśnić. Jeżeli przedśmiertne wyznanie mamy było prawdą, to nie jest sama. Ma rodzinę, ojca i przyrodną siostrę. Nie wiedziała, czego oczekuje. Na razie tylko pragnęła to sprawdzić. Chciała wiedzieć.

Drogi samochód Koraba wjechał w uliczkę i ustawił się zgrabnie przy wjeździe na posesję. Ojciec Sylwii wysiadł z auta i zaczął otwierać bramę. Melania z drżącym sercem podążyła w jego stronę. Jednocześnie z domu wyszła pośpiesznie pani Lubuska i wewnętrzną alejką ruszyła w stronę męża. Roman Korab obracał klucz w zamku bramy i nie dostrzegł ani jednej, ani drugiej.

– Roman! – W dystyngowanym głosie pani Lubuskiej zabrzmiały histeryczne nutki. – Jak widzisz, jest problem!

Podniósł głowę i spojrzał w kierunku żony. W tej samej chwili stanęła za nim Melania.

– Dobry wieczór – powiedziała grzecznie.

– Dobry wieczór – odparł automatycznie, odwracając się ze zdziwieniem w jej kierunku.

– Zrób coś! Natychmiast! – wysyczała matka Sylwii.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zignorowała ją Mela. – Ja tylko chciałam z panem chwilę porozmawiać. Nie zabiorę dużo czasu.

Roman Korab stał na ulicy przed własnym domem i patrzył z przerażeniem na dziewczynę, która się przed nim pojawiła. Po drugiej stronie eleganckiego ogrodzenia miotła się z furią jego małżonka. Bezmyślnie ścisnął w dłoni klucze od bramy i spoglądał niepewnie to na jedną, to na drugą.

– Ale ja... – urwał raptownie.

– Dosyć tego! – warknęła jego żona. – Natychmiast wchodź do domu. A ty... – Spojrzała z nienawiścią na Melanię. – Wynoś się! Idź stąd!

Mela wyciągnęła z kieszeni stare, czarno-białe, wyblakłe zdjęcie i pokazała je mężczyźnie, ignorując kobietę.

– Ja chcę tylko wiedzieć, czy znał pan moją mamę – powiedziała cicho.

Odruchowo spojrział na zdjęcie.

– Małgorzata... – wyszeptał udreńczonym głosem.

– Powiedziałam, dosyć tego! Nie będziesz nas tu nachodziła! – Pani Lubuska podniosła głos. Teraz już nie syczała, tylko wrzeszczała histerycznie. – Won stąd, gówniaro!

– Barbaro, uspokój się. – Korab przeniósł wzrok z fotografii trzymanej przez Melanię na żonę. – Sąsiedzi patrzą. Może wejdźmy wszyscy do domu.

– Po moim trupie! – Lubuska co prawda zniżyła głos do syku, ale widać było, że emocje wręcz ją rozsadzają. – Nie do domu! Służba, Sylwia. Nie! Wcale nie będziemy z nią rozmawiać. Niech się wynosi i zniknie na zawsze. Załatw to! – Spojrzała ze złością na męża.

– Ja nie odejdę – powiedziała stanowczo Mela. – Będę tu stała, dopóki nie usłyszę odpowiedzi. Proszę tylko o wyjaśnienie. Nie odejdę. Będę tu stała i czekała. I pytała za każdym razem, kiedy pan otworzy drzwi. Pan jest moim ojcem, prawda?

– Nie! – krzyknęła matka Sylwii.

– Nie – niepewnie powtórzył jej mąż.

– Do garażu! Natychmiast! – Barbara otworzyła bramę wjazdową i wskazała palcem drzwi garażowe.

Roman Korab ze spuszczoną głową wykonał polecenie. Jego żona czekała z uchylonymi drzwiami i wyciągniętym palcem, patrząc wymownie na Melanię. Weszli we trójkę do garażu. Jarzeniowe światło żarówki wyraźnie pokazywało białą twarz ojca Sylwii i panikę w jego oczach. A także czerwone policzki Barbary Lubuskiej i jej oczy, miotające wściekłe iskry. I Melanię. Spokojną, wyczekującą.

– Nie jesteś jego córką! – wysyczała ze wzburzeniem matka Sylwii. – Twoja matka

jest zwykłą kurwą. Sypiała z każdym, kto jej zapłacił. Wyłudziła od mojego naiwnego męża mnóstwo pieniędzy tą bajeczką. Moich pieniędzy. Zobowiązała się usunąć tę absurdalną ciężę i nigdy więcej nie pojawiać się w naszym życiu. A potem nagle ty przychodzisz do mojego domu! Wkradasz się w życie mojej córki. Nie! Nie jesteś jego córką! Jesteś wyłudzaczką i kurwą jak twoja matka. Nie jesteś jego córką! Roman, powiedz jej!

– Nie jesteś moją córką – posłusznie powtórzył jej mąż. – Znałem kiedyś twoją matkę, ale nie jesteś moją córką.

– Co, pewnie jest już za stara na kurewstwo i forsy brakuje?! – prychnęła złośliwie Barbara Lubuska. – Wysłała cię do znajomego źródła po pieniądze?! Nie ze mną takie sztuczki! Nie dostaniecie ani grosza! Zapłaciłam jej już raz. Teraz nie będzie powtórek. Koniec. Nikt nie uwierzy w tę bajkę. Masz raz na zawsze zniknąć z naszego życia. Ty i twoja matka kurwa! Możesz jej to ode mnie powtórzyć.

– Nie mogę – powiedziała spokojnie Melania.

Wyjęła fotografię z kurczowo zaciśniętych dłoni mężczyzny, schowała ją do kieszeni. Podniosła wysoko głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie mogę. Moja mama nie żyje. Pogrzeb był wczoraj. Nie miałam ojca przez całe moje życie, miałam tylko wspaniałą mamę. – Nie płakała, mówiła spokojnie, wyraźnie i cicho. – Wspomniała pana jeden, jedyny raz, na chwilę przed śmiercią. Chciałam tylko wiedzieć, czy to prawda, czy jednak mam ojca. Nic więcej. Teraz widzę, że nie mam i nigdy nie miałam. Mama bredziła z bólu. Myliła się.

Odwróciła się i zrobiła dwa kroki w stronę drzwi od garażu. Potem zatrzymała się i zwróciła w kierunku Lubuskiej.

– Nie potrzebuję pani pieniędzy. Mama mnie zabezpieczyła. Była krawcową, bardzo zdolną i cenioną. Dobrze zarabiała.

Otworzyła drzwi i wyszła, starannie i cicho zamykając je za sobą.

Z drugiej strony domu, z uchem przytulonym do futryny garażowego okna, podsłuchiwała ich rozmowę Sylwia.

* * *

W poniedziałek Melania wróciła do szkoły. Sylwii nie było. Na dwa miesiące przed maturą rodzice przenieśli ją do Sigmy. Tak było lepiej; Melania zamknęła ten rozdział swojego życia, nie potrzebowała przyjaciół.

Uczyła się pilnie do matury. Zebrała kilkoro bogatych czwartoklasistów, których rodzice obudzili się w ostatniej chwili i mieli nadzieje, że te dwa miesiące intensywnej nauki pomogą im pociechom przebrnąć przez egzaminy kończące czteroletnią naukę w szkole średniej. Mela zorganizowała zajęcia pozalekcyjne u siebie w domu. Trójka

uczniów z Sigmy uczyła się codziennie pod jej okiem. Mela nie dopuszczała do plotkowania ani pogawędek. Stała nad nimi jak poganiacz niewolników, pilnując, by nie tracili czasu. Dzień w dzień, od poniedziałku do piątku, cztery godziny każdego popołudnia. Lubiła tę pracę i nie pozwalała sobie na chwilę oddechu. Nauka tłumiała tęsknotę za matką, a także wszelkie złe myśli. Jedną z trzech podopiecznych była Regina, jednak Mela nie szukała w niej przyjaciółki. Teraz Gina to była tylko praca.

W soboty i niedziele znalazła sobie dodatkowe płatne zajęcie w niewielkiej restauracji przy ulicy Grabiszyńskiej. Pieniądzy wystarczało. Ledwo, ledwo, ale wystarczało.

Maj nadszedł szybciej, niż się spodziewała. Zakwitły kasztany, rozpoczęły się matury. Melania wszystkie egzaminy zdała doskonale. Z matematyki czwórka, z reszty – polski, angielski i historia – otrzymała najwyższe oceny. Jej podopieczni również sobie poradzili. Może nie tak spektakularnie jak ona, ale nie stopnie były ważne. Ważne, że uzyskali świadectwa dojrzałości.

Melania odebrała z sekretariatu swoje świadectwo. Miała je dołączyć do przygotowanej już teczki, jako ostatni dokument na uczelnię. Zamierzała złożyć papiery na Uniwersytet Wrocławski, na Wydział Filologii Angielskiej. Egzaminy zaczynały się w lipcu. Nie miała żadnych wątpliwości, że zda. Najpierw jednak chciała pojechać ze świadectwem do mamy.

Zagłędała na cmentarz bardzo często. Jechała tam zawsze, kiedy tylko miała wolną godzinkę. Opowiadała mamie półgłosem o swoich planach, o spokojnym, statecznym życiu, wypełnionym nauką i pracą. To samo zrobiła dzisiaj. Mama na pewno byłaby z niej dumna. Poszłyby razem do Spychały na lody. Mela nie chciała tam iść sama. Posiedziała na cmentarzu parę godzin. Nie miała nic innego do roboty, korepetycje się skończyły. Jutro rano złoży dokumenty na uczelnię, a po południu wyjedzie na miesiąc do Międzyzdrojów.

Udało jej się załatwić na całe lato posadę pokojówki w hotelu. Zarobek był przyzwoity. W lipcu przyjedzie na tydzień do Wrocławia, zda egzaminy i wróci do pracy. To, co zarobi do października, wystarczy na jakiś czas. A potem poszuka jakichś dzieciaków, które potrzebują korepetycji, i może jakiejś dodatkowej pracy na soboty. Radziła sobie całkiem nieźle. Renta po mamie była niska, lecz Mela liczyła, że od początku roku akademickiego dostanie stypendium socjalne, a jak się postara, to może i naukowe na drugim roku. Wystarczy mieć dobre wyniki, a pieniądze przyjdą same. Jakoś da sobie radę. Wieczorem spakowała torbę na wyjazd i sprzątnęła mieszkanie. Potem usnęła z książką w ręce, w łóżku mamy.

O wpół do czwartej obudziło ją łomotanie do drzwi. Spojrzała przez wizjer. Na korytarzu stała Sylwia. Tłukła pięściami w drzwi i wykrzykiwała coś bezładnie. Déjà vu. Melania pokręciła głową. Otworzyła i wciągnęła słaniającą się na nogach, pijaną i naćpaną dziewczynę do przedpokoju.

– Nie przychodź tu, Sylwia. Zapomnij o mnie. Nie chcę z tobą rozmawiać, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Odejdź.

– Nie masz ze mną nic wspólnego – bełkotała tamta. – Ty chcesz być mi równa?! Nigdy! To mój ojciec, a ty jesteś głupią kurwą, jak twoja głupia matka kurwa. Nie masz nic, jesteś zerem!

– Sylwia, idź do domu. Jesteś pijana. Zaprowadzę cię do taksówki.

Melania nawet nie próbowała już nic tłumaczyć. Chciała się tylko pozbyć tamtej ze swojego domu.

– Ty nie masz pojęcia, durny Robalu... – Sylwia czknęła. – On jest kimś. Jest najlepszym antykwariuszem w Polsce. Ma wiedzę i władzę. Nigdy do nas nie dołączysz. Zawsze będziesz żebraczką, biednym Robalem. Robał, robal, robal... – mamrotała coraz ciszej, a potem głowa jej opadła na piersi.

Melania zastanowiła się chwilę. Oddech Sylwii był jakiś inny. To nie było pijackie chrapanie, oddychała płytko i urywanie. Mela znalazła puls na nadgarstku dziewczyny. Był słaby. Potrząsnęła nią.

– Sylwia, coś ty brała?

Żadnej reakcji, tylko pod półprzymkniętymi powiekami źrenice dygotały jak oszalałe. Melania nie zastanawiała się dłużej, położyła nieprzytomną Sylwię na podłodze i zadzwoniła na pogotowie. Ubrała się. Karetka przyjechała w ciągu kwadransa. Zabrali Sylwię na nosze. Mela pojechała także. W szpitalnej poczekalni wygrzebała w kieszeni monetę i wykręciła z publicznego aparatu numer telefonu Lubuskich. Odebrał Roman Korab. Nie była zainteresowana wymianą grzeczności.

– Sylwia ma zapaść. Przedawkowała jakieś narkotyki. Jest w izbie przyjęć na Bujwida.

Czekała pół godziny. Pielęgniarka wyszła z gabinetu i zwróciła się do niej ze złością.

– Przeżyje. Zrobili jej płukanie żołądka. Wiesz, co ona brała? Trzeba wypełnić formularz i proszę o dowód osobisty. Pewnie będziesz musiała złożyć zeznania.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odparła sucho Melania. – Przyjechała do mnie nad ranem w takim stanie. Nie wiem, gdzie, z kim i co brała. Jej rodzina zaraz tu będzie, niech oni składają zeznania. Prawie jej nie znam, ja tylko udzieliłam pomocy. Wezwałam pogotowie, a teraz jadę do domu. Ona jest dla mnie obca.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami, patrząc gdzieś za nią. Mela się odwróciła. Stał za nią Roman Korab. Nieogolony, rozchełstany, przerażony. Skinęła mu głową i wyminęła go, kierując się do wyjścia.

– Poczekaj, proszę. – Chwycił ją za rękę. – Co się stało?

– To, co zawsze. Tym razem przeholowała. Ale przeżyje. Ta pani powie panu więcej. – Strząsnęła jego dłoń ze swojego rękawa, wskazując na pielęgniarkę.

– Jak to, co zawsze? To nie pierwszy raz? – spytał.

– To nie moja sprawa.

– Melania, proszę, porozmawiaj ze mną. To przecież moje dziecko.

– No właśnie. Niech pan więc zadba o to, żeby pana dziecko już nigdy mnie nie nachodziło. To w końcu pana dziecko. Do widzenia.

– Mela, to absurd. Chcesz się na mnie mścić za błędy swojej matki?! Ona się myliła. Wiesz, jaka była Małgorzata, z kwiatka na kwiatek, byle się zabawić. Naopowiadała ci kłamstw, a ty teraz próbujesz mnie wplątać w to wszystko. Popatrz na siebie, popatrz na nas. Mam nazwisko, sławę, pieniądze. Jestem najlepszy, jestem kimś. A ty, a ona... Trzeba znać swoje miejsce – tłumaczył się zawile.

– Moja mama, proszę pana, nigdy nie kłamała. Była najuczciwszą i najprzystojniejszą osobą, jaką znałam. Była kimś! A pan?! Kim pan jest? Nie znam pana. I nie znam pańskiego dziecka. Żegnam. – Odwróciła się i wyszła.

今天

Dzisiaj

Zapaliła kolejnego papierosa. Za oknem zaczynało świtać. Jakaż była wtedy dziecinna, jaka naiwna. A jeszcze na dodatek niedojrzała, impulsywna i głupio ambitna. Ale czy dzisiaj jest inna? Upór i ambicja zostały, niedojrzałość i naiwność skorygowało życie. Wtedy ta jedna noc, urażona duma i głupia ambicja wytyczyły jej drogę.

Nie złożyła dokumentów na anglistykę. Chciała im coś udowodnić, chciała mu pokazać, że jest lepsza, że go przebije. Poszła w ślady ojca, rozpoczęła studia na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego. Zdała egzaminy i zaczęła nowe życie. Już na pierwszym roku zaprzyjaźniła się z Romą. Romana Mazurek była góralką z Rabki. Dostała się na studia na Uniwersytecie Wrocławskim, ale niestety, nie przyznano jej miejsca w akademiku. Dlatego szukała stancji. Dogadały się, Mela wynajęła jej swój dawny pokój, a sama urządziła się w większym, tym mamy. Warunek był jeden: żadnych imprez, gości, gorzały i prochów.

Romie to jak najbardziej odpowiadało. Jej rodzice byli rolnikami, nie wiodło im się za dobrze. Przyzwyczajona od dzieciństwa do ciężkiej pracy, wyjątkowo uzdolniona i zafascynowana sztuką Roma uparła się, że zostanie kimś więcej. Nie mogła jednak liczyć na pomoc finansową z domu, więc tryb życia Melanii jej nie odstraszał. Pasowały do siebie.

Wakacje obie spędzały na saksach. Już po pierwszym roku znalazły na całe lato pracę w Londynie, na zmywaku w dużej restauracji. Potem ich wakacyjne drogi się rozeszły. Mela zaprzyjaźniła się z trzpiotowatą Mulatką, która poleciła ją do pracy w nocnym klubie Platinum. Zarabiała tam naprawdę dużo. W Platinum poznała Haralda, swojego mentora, swój los na loterii. Parę ulic dalej, w małej chińskiej knajpce, nieopodal King Street, spotkała Tana. Tana, który mógł być największym szczęściem jej życia. Jednak tak się nie stało. Ten niespodziewany telefon sprawił, że zdjęła zakurzone albumy z regału. Głos Tana przywołał nie tylko wspomnienia. Przypomniał także cały ten ból, który przeżyła po ich rozstaniu. Gong Tan Ling. Tan...

Londyn 2003

Melania zdecydowała się wziąć roczny urlop dziekański nie ze względu na duże pieniądze, jakie mogła zarobić w Londynie. Wręcz przeciwnie, tym razem już z góry wiedziała, że wszystko, co uda jej się odłożyć przez pierwsze pół roku, wyda w ciągu kolejnych sześciu miesięcy. Ale było warto. Teraz jest czerwiec, od nowego roku zaczyna swoją praktykę.

Pracowała w Platinum jako kelnerka podczas każdych wakacji od trzech lat. W zeszłym roku poznała Haralda. W zasadzie zabawianie klientów nie należało do jej obowiązków. Była tylko kelnerką, miała seksownie wyglądać, uśmiechać się i sprawnie roznosić drinki.

Od początku szef klubu próbował ją przekonać do zmiany stanowiska. Lubił Melanię i chciał, żeby więcej zarabiała. Dziewczyny, które miały dobre ciało i umiały się poruszać, tańczyły na scenie, a czasami na prywatnych pokazach w *separee*. Kiedy nie występowały, szły na salę i wraz z pozostałymi hostessami zabawiały klientów. To właśnie te dziewczyny zarabiały najlepiej. Mężczyźni, którzy odwiedzali klub, tak naprawdę wcale nie szukali seksu. Przychodzili tu, żeby się odprężyć, popatrzeć na ładne, młode kobiece ciała, czasem poflirtować.

Byli gotowi dużo zapłacić za tę rozrywkę. Najtańszy drink dla hostessy, pikolo, malutka buteleczka musującego wina, kosztował czterdzieści funtów. Dziewczyny, te najbardziej popularne, lubiane przez gości, potrafiły w jedną noc opróżnić z klientem trzy, cztery butelki szampana. Jeden szampan kosztował minimum trzysta funtów, ale były takie, za które płacono trzy tysiące. Czasami klub zarabiał na pracy jednej dziewczyny nawet kilkanaście tysięcy funtów przez noc. Dla lokalu zostawało siedemdziesiąt procent, resztę otrzymywały hostessy. To były naprawdę duże pieniądze.

Mela, jako kelnerka, po sezonie wracała do Wrocławia z prawie pięcioma tysiącami. Gdyby dała się przekonać i została jedną z dziewczyn z sali, mogłaby zarabiać pięć razy tyle. Miała wszelkie predyspozycje do tej pracy, była zgrabna, ładna i elokwentna. To zajęcie wymagało inteligencji, umiejętności słuchania i prowadzenia rozmowy. Angielski Melanii był perfekcyjny, miała wiele zainteresowań, była więc dobrą partnerką do pogawędki. Trudno uwierzyć, że bogaci faceci gotowi byli zapłacić tyle pieniędzy jedynie za rozmowę. Potrzebowali jednak kogoś, kto ich wysłucha. Bo ta praca, wbrew pozorom, wcale nie wymagała od dziewcząt uprawiania seksu z klientami. Wręcz przeciwnie, oficjalnie było to zabronione. Jasne, że część dziewczyn po cichu umawiała się po pracy na dodatkowo płatne usługi, co stanowiło tajemnicę poliszynela. Właśnie ów fakt jakoś odstręczał Melę od zostania hostessą. Jako kelnerka i tak mogła zarobić wystarczająco dużo, aby utrzymać się przez kolejny rok studiów.

Praca jak praca, miała swoje dobre i złe strony jak każda. Dla Melanii największym minusem były jej godziny. Zaczynała o dwudziestej, a kończyła o szóstej rano. Co oznaczało, że większą część dnia przesyiała. A przecież chciała jeszcze coś zobaczyć, w Londynie jest tyle fascynujących galerii, muzeów i antykwariatów. To wszystko jej umykało, bo spać jednak musiała. Takie funkcjonowanie wykluczało również normalne życie towarzyskie. Owszem, Mela mogła się włóczyć po knajpach ze znajomymi z klubu, ale to jej nie odpowiadało. Nie żeby była święta, chodziła czasami na dyskoteki, ale takie chlania dla chlania i wieczne imprezy jej nie odpowiadały. Wynajmowała malutki pokój w Soho, na piętrze nad chińską knajpką, w której najczęściej też jadała. Kelnerki w lokalu mówiły kiepsko po angielsku, ale za to świetnie po chińsku. Wreszcie na coś się przydały korepetycje dawane w liceum Reginie. Okazało się, że Mela podstawy języka miała opanowane. Wakacyjne pobyty w Londynie pozwoliły jej szlifować nie tylko angielski, ale również chiński.

Historia sztuki to obszar szalenie rozległy. Nie sposób być historykiem sztuki i wiedzieć wszystko. Ważna jest wąska specjalizacja. Już na trzecim roku studiów Melania zrozumiała, czym chce się zajmować. Była zafascynowana sztuką Azji, a przede wszystkim Chin. Wiedziała, że to będzie jej dziedzina. Teraz tylko musiała się zdecydować, wybrać dziewiętnastowieczną sztukę użytkową, architekturę, meble, porcelanę, lub pozostać wierną malarstwu.

Uwielbiała malarstwo dynastii Qing. A zwłaszcza tych mistrzów, którzy wbrew nasilającym się w tamtych czasach wpływom europejskim pozostali wierni tradycji chińskiej sztuki. Jej praca magisterska była już zaplanowana. Chciała pisać o Yun Shoupingu, który zasłynął z fenomenalnej techniki malowania płamą. Meble jednak też ją interesowały. Nie wiedziała, na co się zdecydować.

I jak tu uwierzyć w przypadek? Niby przypadkiem, jako czternastolatka, zaczęła się uczyć chińskiego. Nigdy nie sądziła, że ten język do czegokolwiek jej się przyda. A tu, no proszę, okazał się bardzo cenny na studiach. Niby przypadkiem, głupim zrywem, wybrała taki, a nie inny wydział. A tu się okazało, że historia sztuki to jej pasja, jej fascynacja, jej życie. I niby przypadkiem w wakacje jeździła pracować do Londynu. A to właśnie tutaj, w Londynie, mają swoją siedzibę największe domy aukcyjne w Europie, Christie's i Sotheby's. Marzyła o praktyce w jednym z nich. Nierealne, niestety. Przyjmowali tylko najlepszych, tych z najlepszych uczelni świata. Uniwersytetu Wrocławskiego na tej liście nie było.

Potem jednak zdarzył się kolejny przypadek, ten jeden szalony wieczór, jedna decyzja, która znów miała wpływ na całą drogę życiową Melanii.

To było w ubiegłym roku, na początku września. Poszła jak co wieczór do pracy, oczekując zwyczajnej męczącej nocy. Krótco po północy podszedł do niej podekscytowany menedżer Platinum. Nic nowego, był podekscytowany każdego wieczoru, kiedy udawało mu się wynająć na całą noc największy prywatny gabinet. To

nie zdarzało się zbyt często, a już bardzo rzadko tak nagle, bez wcześniejszej rezerwacji. Dziś był ten wieczór.

Melania obserwowała, jak za pluszową kotarę wchodziły coraz to nowe dziewczyny. Po jakimś czasie jednak z kwaśnymi minami wracały do baru. Dłużej zostały w środku jedynie dwie tancerki oraz Kity, upiornie blada, rudowłosa studentka, dorabiająca sobie w klubie do stypendium, i jej koleżanka, Tweetie, Mulatka, która załatwiła Melanii pracę tutaj. Mela już parę razy przynosiła drinki do tego pokoju. Tweetie flirtowała z wysokim szpakowatym facetem, który był chyba inicjatorem imprezy. Sprzedawała mu swój stary numer, zakładała się, że wypije duszkiem całą butelkę Dom Pérignon. I rzeczywiście wypijała. Ten numer miała opanowany do perfekcji. Potrafiła wypić prawie półtora litra płynu bez nabierania oddechu. Potem opuszczała towarzystwo i szła do toalety poprawić make-up, czyli błyskawicznie zwrócić całą zawartość żołądka do toalety. Czasami powtarzała ten wyczyn parę razy w ciągu nocy, nadal pozostając trzeźwa. Każda z dziewczyn miała swoje sposoby na zabawienie gości. Tweetie była poza tym sympatyczna, zawsze roześmiana i rozflirtowana. Nic dziwnego, że miała powodzenie.

Dwaj pozostali mężczyźni z pokoju za kotarą byli Azjatami, a konkretnie Chińczykami. Mela słyszała ich rozmowę, kiedy podawała drinki. Wymieniali między sobą w rodzimym języku szalenie wulgarne uwagi na temat dziewcząt. Nie wytrzymała i wychodząc, ze słodkim uśmiechem życzyła im po chińsku udanej zabawy. Ale mieli miny!

Teraz menedżer klubu, Bob, stał przed nią z dziwną miną wyraźnie sfrustrowany. Pewnie chce jej dać porządny opieprz za niewłaściwe traktowanie gości. Przecież nic złego nie zrobiła. W końcu życzyła im dobrej zabawy.

– *Melanie, please, I need your help.* – Ton głosu Boba był podejrzanie uległy. – Potrzebuję twojej pomocy.

– *Sure, oczywiście* – odpowiedziała, oddychając z ulgą. – Co mogę dla ciebie zrobić, Bob?

– Wiem, że nigdy się nie zgadzasz, ale błagam cię, zrób dziś wyjątek. Ten jeden jedyny raz, proszę. Ten facet w dużym *separee* to Harald Fitz-James. On jest naprawdę bardzo, bardzo grubą rybą. To bogaty i wpływowy gość, ma nawet jakieś tam miejsce w kolejce do tronu. Jeśli mu się u nas spodoba, będzie przychodził częściej. Proszę, idź do nich.

– Oszalałeś? Nie! – odparła oburzona Mela. – Ja nie piję z klientami. Nie chcę.

– Melanie, błagam cię. Nie musisz pić, tylko idź tam, posiedź trochę i pogadaj. On się nudzi. Posyłałem mu już wszystkie dziewczyny. Mela, proszę, idź tam, bo on zaraz wyjdzie.

– To niech sobie idzie. Nie, Bob. Ja tylko roznoszę drinki. Nie płacisz mi za rozmowy z gośćmi.

– To ci zapłacę. *Melanie, please...*

– Ile? – zapytała z ciekawością.

– Ile chcesz.

Zarabiała czterysta funtów tygodniowo.

– Tysiąc funtów – zaryzykowała.

– Dobra, tysiąc. Idź tam już. – Bob się ucieszył.

– Ale nie będę z nimi piła.

– Nie pij, rób, co chcesz, tylko wymyśl coś, żeby on jeszcze został.

– No dobra. – Melania wzruszyła ramionami. – Tańczyć mu nie będę, lizać ucha też nie. Mogę tylko pogadać, bez żadnych gwarancji. Tysiąc funtów, tak? Dzisiaj?

– Tak, tak. Dzisiaj. – Popychał ją w kierunku gabinetu, kiwając gorączkowo głową.

Melania odchyliła pluszową zasłonę.

– *Hello*. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nie potrzebujecie przypadkiem dodatkowego towarzystwa?

Szpakowaty spojrział na nią bez większego zainteresowania. Milczał. Spróbowała więc z innej beczki. Odezwała się po mandaryńsku:

– Witam, panowie. – Skłoniła się uprzejmie. – Z przyjemnością umilę wam czas rozmową, jeśli sobie tego życzyacie.

Obaj Chińczycy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Z trudem oderwali oczy od wyginającej się na stoliku przed nimi dziewczyny, z jeszcze większym trudem podnieśli się z pluszowej kanapy i skłonili niepewnie. Musieli być już nieźle pijani.

– Zapraszamy, dziękujemy – mamrotali.

No tak. Na chińską uprzejmość zawsze można liczyć, pomyślała Melania. Cała ta wymiana grzeczności przyciągnęła uwagę szpakowatego. Spojrział na Melę z błyskiem zainteresowania w oku, szerokim gestem wskazał jej kanapę naprzeciwko siebie i powiedział:

– Siadaj. Co chcesz pić?

– Dziękuję, nic. Przyszedłam zapytać, czy jesteście zadowoleni i czy niczego wam nie brakuje.

– I wysłali cię, żebyś zapytała o to po chińsku?

– Och, nie. – Mela się roześmiała. – To już moja własna inicjatywa.

– Hmm, pożyteczna umiejętność. Znajomość języków sprzyja inicjatywom. Jak masz na imię?

– Melania – odpowiedziała z uśmiechem. – A ty?

– Jak to? Nie wiesz? – Spojrział na nią z udawanym przerażeniem. – Przecież wszyscy wiedzą, jak mam na imię i nazwisko, z kim sypiam i gdzie jadam. Jak możesz nie wiedzieć?

– Och, ja nieszczęsna! – Podjęła jego grę i chwyciła się dłońmi za głowę w geście rozpacz.

– Harry albo Harald. – Teraz już śmiał się z całego serca. – Jak wolisz. Rozgość się, Melania. Zamów sobie, co chcesz, i opowiadaj, skąd znasz chiński. To nietypowe.

– Naprawdę nie chcę nic pić. A chiński, nie uwierzysz, znam z Polski.

– Skąd?!

– Z Polski. No wiesz, to taki kraj w Europie, zaraz na wschód za Niemcami.

– *Poland*, no pewnie, że wiem – obruszył się. – To ciekawe, a jak to zrobiłaś, że wyjechałaś do Polski uczyć się chińskiego? Normalni ludzie jadą do Chin.

– Ja jestem normalna i nigdzie nie wyjeżdżałam. Po prostu tam się urodziłam i tam nauczyłam się angielskiego, chińskiego i rosyjskiego. Ale chiński to był przypadek, przyznaję.

– Co?! To ty nie jesteś Angielką? Wcale nie słyhać. Interesująca z ciebie osóbką. Chodź tu bliżej. Nie będziemy krzyczeć przez stół. Pogadamy.

Jednym ruchem odesłał Tweetie i wskazał Melanii miejsce obok siebie. Podniosła się niechętnie i usiadła obok niego. Zaczęli rozmawiać. Harald okazał się szalenie interesującym rozmówcą, był inteligentny, błyskotliwy i zabawny. Gawędzili parę godzin, nie dostrzegając upływu czasu. Tuż przed piątą mężczyzna obrzucił trzeźwym spojrzeniem swoich chińskich towarzyszy. Jeden pochrapywał z głową zwieszoną na piersi, drugi nieprzytomnym wzrokiem wodził za podskakującym biustem tancerki, wyginającej się przed nim leniwie.

– Trzeba kończyć ten uroczy wieczór – mruknął. – To co, pójdziemy do mnie?

– Sorry, Harry. – Mel uśmiechnęła się do niego uroczo. – Cudowny wieczór, urocza rozmowa, ale ja jeszcze muszę trochę popracować.

– Nie ma sprawy, załatwimy ci wolne!

– Nie, wybaczone. Nie chcę. Jesteś świetnym facetem, ale nie jestem zainteresowana.

– Nic? Ani trochę? – Popatrzył na nią zawiedziony. – Jak chcesz, to ja poczekam.

– Nie, nie czekaj...

– To jutro? Umówimy się na jutro, chcesz?

– Harald, ja jutro też tu pracuję, pojutrze też i tak do końca września. Przecież ci mówiłam, jak wygląda moje życie. Nie ma w nim miejsca na uroczego Haralda, tak jak w twoim życiu nie ma miejsca na kelnerkę z Polski. Oboje jesteśmy rozsądni. Dajmy sobie spokój i zostaniemy przyjaciółmi.

– Dobrze – odparł z przemyślnym uśmiechem. – Zostaniemy przyjaciółmi. Przyjaciele spotykają się na plotki. To kiedy?

– Nigdy, Harry. – Pocałowała go w policzek i wstała. – To nie ma sensu. Bywaj.

– To się jeszcze okaże – mruknął.

Przez kolejny tydzień przychodził codziennie. Pojawiał się wcześniej, zaraz po otwarciu klubu, i siedział do północy, kiedy zaczynał się robić większy ruch. Nie wynajmował już gabinetu. Siadali przy zwykłym stoliku, z dala od sceny i wibrującej

muzyki. Harald zamawiał butelkę szampana, którą wypijał sam. Rozmawiali. Każdego wieczoru. W końcu Mela dała się przekonać. Umówiła się z nim na przyjacielskie spotkanie na mieście. Mimo że się bronila, Harald Fitz-James wkroczył w jej życie.

Któregoś późnego popołudnia siedzieli w małej kafejce nad Tamizą i dyskutowali o sztuce. Już wiedział, że Melania studiuje historię sztuki. Okazało się, że to ich wspólna pasja, że mają to samo hobby. Harald Fitz-James był kolekcjonerem, stałym klientem domu aukcyjnego Christie's. Co prawda jego zainteresowania obracały się bardziej w kręgu nowoczesnego malarstwa niż ulubionego osiemnastego wieku Melanii, ale za to nie znały granic, jeśli chodzi o przestrzeń. Z zapalem zbierał dzieła twórców europejskich, azjatyckich i amerykańskich, bez różnicy.

Pewnego dnia opowiedział Meli o swoim pomysle, by wyeksponować własne zbiory w formie pawilonów tematycznych w jego rezydencjach. Miał ich kilka, rozsianych po całej Europie. Zastanawiał się nad zatrudnieniem dekoratora wnetrz do swojego podlondyńskiego domu, gdzie zamierzał stworzyć tak zwany pawilon chiński. Niedawno kupił parę obrazów tajwańskiego malarza; ich tematyka, technika i klimat go zafascynowały. Dlatego chciał wyeksponować swoje nabytki w otoczeniu, które podkreśliłoby ich egzotyczne piękno.

– Taki na przykład Liu Ping Hen – opowiadał. – Przecież ten facet jest po prostu genialny. Widziałas kiedyś jego obrazy? Maluje tuszem, wiesz? Ta technika, ten nieskomplikowany przekaz jest po prostu fascynujący. Jak można niewielkimi pociągnięciami pędzla w tak banalny sposób wyrazić perfekcję! Jego obrazy są niby to takie proste, a potrafią wzbudzić tyle emocji.

– Wiem, widziałam jego prace – odparła. – W sumie jest tradycjonalistą. Malowanie tuszem to jedna z najstarszych chińskich tradycyjnych szkół malarstwa.

– Jakich chińskich, co ty opowiadasz, dziewczyno! – Harald się obruszył. – Liu Ping Hen pochodzi z Tajwanu. O Chinach to ty zapomnij. Wszystko, co mieli cennego, czego nie wywieziono na Tajwan, sami zniszczyli tą cholerną rewolucją kulturalną.

– Uwierz mi, mój drogi, że znam historię. To, że facet tworzy na Tajwanie, wcale nie oznacza, że jest jakimś genialnym tajwańskim prekursorem. Chińscy artyści od tysiąca dwustu lat malują pejzaże w ten sam sposób. Już za dynastii Sung malarz King Hao stworzył teoretyczną wykładnię do malarstwa pejzażowego. Nie wiem dokładnie, kiedy to było, gdzieś w okolicy dziewięćset czterdziestego roku. A Wang Wei? Zapomniałeś o nim? Malował swoje monochromatyczne pejzaże tylko tuszem. To był ósmy wiek, mój drogi. Ameryki to ten twój Liu Ping nie odkrył. Na pewno jest kreatywny, ale nie mów mi, że nie powielił techniki starych mistrzów.

– Nie mówię. O Wang Weia kłócić się z tobą nie będę. Ale swoje wiem.

– Mylisz się, udowodnię ci. Masz czas jutro?

– Nie, jutro muszę popracować.

– Wow, nie wiedziałam, że milionerzy muszą pracować.

- Nie bądź złośliwa, mam czas pojutrze.
- Dobrze, spotkajmy się pojutrze w bibliotece Peckham. Niech ci będzie, przez ciebie się nie wyśpię. W południe, w holu głównym. Zgoda?
- Zgoda. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Wiesz, gdybyś chciała się nie wyspać z bardziej interesujących powodów niż biblioteka, to służę pomocą.
- Daj spokój, zbereźniku. – Mela roześmiała się i pocałowała go w policzek. – Przyjaciele, pamiętasz? Tylko przyjaciele.

Zgodnie z umową dwa dni później spotkali się w bibliotece. Melania pokazała zachwyconemu Haraldowi reprodukcje dzieł starych chińskich mistrzów. Potem wrócili do Soho i zjedli razem późny obiad, zanim musiała iść do pracy. Właśnie wtedy Harald sprawił, że jej marzenie się spełniło.

– Wiesz co, mała – odezwał się przy kawie. – Nawet niezła jesteś w tym, co robisz. To był kolejny wspaniały dzień w twoim towarzystwie, a zarazem duża niespodzianka. Nie wiedziałem, że masz taką potężną wiedzę.

– Harry. – Z politowaniem pokiwała głową. – Przecież po to kelneruję cztery miesiące w roku w Platinum, żeby przez pozostałe osiem móc spokojnie studiować. Co ty myślałeś, że mam w głowie tylko sieczkę? Ja lubię się uczyć i uwielbiam swój kierunek. Wiesz, jaka jest różnica między nami?

– Wiem. – Mrugnął porozumiewawczo. – Ty masz większe cycki.

– Nie wygłupiaj się – prychnęła. – Różnica jest taka, że ty zbierasz dzieła sztuki i je sobie masz, niektóre w sejfie, a inne na ścianie. Ja ich nie zbieram, tylko je studiuję. Ich historię. To fascynujące.

– Dobra jesteś. Zaimponowałaś mi. Nie chcesz sponsora? – spytał od niechcena.

– Co? – Mela prawie zakrztusiła się frytką.

– Sponsora – powtórzył uprzejmie. – Wiesz, taki facet albo instytucja, która finansuje studia. A potem z reguły cię zatrudnia.

– Wiem, co to sponsor – mruknęła ponuro Melania. – Dziękuję za ofertę, Haraldzie, ale nie, nie chcę.

– Melania, dziewczyno, co z tobą jest nie tak? Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz? Przecież wiesz, że mnie stać.

– Harald, to nie o to chodzi. – Mela westchnęła ciężko. – Jesteśmy przyjaciółmi. Ja mam niewielu przyjaciół. Jeżeli zaczniesz mnie finansować, to będę od ciebie zależna. Wtedy przyjaźń się skończy. Widzisz, przyjaźń jest możliwa tylko wtedy, jeśli obie strony są ze sobą na poziomie oczu, mają swoje wolne wybory. Jesteś dobrym przyjacielem, nie chcę, żeby nas łączyły pieniądze.

– Rozumiem. Ale ja chcę ci jakoś pomóc. Dziewczyno, ty naprawdę jesteś bardzo zdolna. Nie ma lepszej inwestycji dla moich pieniędzy niż utalentowany młody człowiek. Naprawdę nie chcesz?

– Naprawdę.

– To już wiem, zostań moją kochanką. Wtedy będę miał moralny obowiązek cię utrzymywać.

– Jasne, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – odparła ze śmiechem Mela. – Nie prześpię się z tobą. Seks niszczy przyjaźń jeszcze skuteczniej niż pieniądze. Poza tym nie jesteś w moim typie. Na utrzymanie zresztą, jak już zauważyłeś, absolutnie się nie nadaję.

– To już wiem. Zatem nie kochanką. Żoną! Zostań moją żoną.

– No tak, teraz to już ci naprawdę odbiło. – Pokręciła głową. – Chcesz, żeby połowa londyńskich panien na wydaniu popełniła samobójstwo? Tylko myśl o tym, że jeszcze jesteś wolny, trzyma je przy życiu.

– Mela, ja nie żartuję – oświadczył. – Wyjdź za mnie. Właśnie proszę cię o rękę. Pomyśl sama, żadna z kobiet, które znam, nigdy tak mnie nie zafascynowała jak ty. Żadna ani przez sekundę mi nie imponowała. Przyjaźnimy się, rozumiemy się, mamy podobne poczucie humoru. Dlaczego nie?

– A miłość? Harry, ja cię nie kocham. – Mela spoważniała. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem, moim mądrym i bogatym przyjacielem, ale cię nie kocham. Szanuję cię, lubię, jednak nie kocham. Wybacz. Ty też mnie nie kochasz. Ty nawet w coś takiego jak miłość nie wierzysz.

– Ehhh! – Ze świstem wypuścił powietrze. – No dobra, masz rację, ale miłość jest przereklamowana. Zresztą małżeństwo to instytucja, nie ma nic wspólnego z uczuciami.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Wrześnie słońce starało się, jak mogło, ale zaczynało się robić chłodno. Za parę minut Melania musiała iść do klubu. Nagle Harald z rozmachem uderzył się dłonią w czoło.

– Jestem idiotą! – wykrzyknął. – Oficjalnie oświadczam, że jestem idiotą. Melania, zgoda, jak nie chcesz moich pieniędzy, to nie, ale myślę, że jest coś, co mogę ci dać. Tylko, proszę, obiecaj, że przyjmiesz.

– Nie wiem, Harry, daj spokój. Ja naprawdę nic od ciebie nie chcę.

– Milcz, nierozsądna kobieto, i słuchaj!

– No dobra, milczę i słucham.

– Jak ty to ładnie określiłaś, tłumacząc, czym się różnimy? Powiedziałaś, że ja sztukę kolekcjonuję i ją mam. Tak?

– Tak.

– A żeby ją mieć, muszę ją kupić. Tak?

– Tak.

– A żeby ją sobie kupić, to nie idę do sklepiku, tylko gdzie? Tak?

– Tak. Gdzie?

– I tu cię mam! – zawołał triumfalnie. – Idę do antykwariuszy i do domów aukcyjnych. Najwięcej kupiłem przez Christie's. Jestem, można powiedzieć, ich bardzo

dobrym stałym klientem. Zgadza się?

– Tak – wyszeptała z nabożeństwem Melania.

– Melania, nie wiem, czy to się uda. Opowiadałaś, że nie masz szansy na praktykę w Sotheby's albo Christie's. Ale ja mocno wierzę w znajomości i protekcję. Pozwól mi spróbować, co masz do stracenia? Przysięgam, że nie będę próbował nikogo przekupić. Po prostu zapytam, jako stały klient, czy to możliwe. Co ty na to?

Mela nie zastanawiała się ani chwili. Rzuciła mu się na szyję.

– Próbuj, Harald! Próbuj!

Udało się. Dlatego, po zaliczonej sesji czwartego roku studiów, Melania wzięła roczny urlop dziekański, żeby do sylwestra zarabiać pieniądze, a potem zamierzała rozpocząć praktykę w domu aukcyjnym Christie's.

W czerwcu zamieszkała jak zwykle w Soho, w tym samym małym pokoiku nad chińską knajpką. Lubiła to miejsce. Z domu miała parę minut na piechotę do Platinum, gdzie – jak co roku – pracowała, a trochę dalej, bo już na King Street, od nowego roku rozpoczęła swoje wymarzone, wyśnione życie.

Praktykantce oczywiście nie powierzano żadnych odpowiedzialnych zajęć. Melania parzyła kawę, segregowała akta, przygotowywała opisy do katalogów, czasem łączyła rozmowy telefoniczne. Chociaż to akurat zdarzało się rzadko, bo sekretarki i asystentki z Christie's zazdrośnie strzegły swojej pracy. Ale i tak obserwowanie, jak przygotowują aukcję, czy też rozpakowywanie cennej porcelany albo jadeitowych figurek stanowiło dla dziewczyny nie lada atrakcję. Miała szansę pracować w jednym z najbardziej prestiżowych domów aukcyjnych świata, ocierała się o prawdziwe sławy, poznawała znanych rzeczoznawców, firmy, historyków sztuki. Własnymi rękami, w specjalnych rękawiczkach, dotykała dzieł wspaniałych artystów. Historia tak wielu eksponatów sięgała kilka wieków wstecz.

Przerwy obiadowe z reguły spędzała w pracy. Czasami, kiedy była naprawdę głodna, pozwalała sobie na wypad do znajomej chińskiej knajpki. Z jednej strony nie musiała iść daleko, bo było to zaledwie dziesięć minut drogi od Christie's, z drugiej zaś dziesięć tam i dziesięć z powrotem – czyli na posiłek zostawało zaledwie dwadzieścia minut.

Praktykantka nie mogła sobie pozwalać na godzinne lub dłuższe przerwy jak zatrudnieni na etatach aukcjonerzy, rzeczoznawcy czy opiekunowie klientów. Dlatego takie wypadki nie miały dużo sensu, bo jeśli tak się pechowo złożyło, że w restauracyjce było dużo gości, po prostu mogła się nie doczekać realizacji zamówienia. Właśnie któregoś z takich dni poznała Tana.

Był początek marca. Lekko zdyszana szybkim krokiem weszła do restauracji i bez większej nadziei przesunęła wzrokiem po zapełnionej sali. Niestety, nie było ani jednego wolnego stolika. Już chciała się odwrócić i wyjść, kiedy zauważyła drobnego

Azjatę w eleganckim garniturze, machającego gwałtownie ręką w jej kierunku. Jego twarz wydawała się znajoma. Melania podeszła bliżej.

– Dzień dobry – powiedziała. – Przepraszam, pewnie się pomyliłam, pan chyba nie do mnie machał... – zawiesiła głos.

– Ależ tak, oczywiście, że do pani. – Podniósł się z krzeselka i uklonił w typowo grzecznym azjatyckim stylu. – Proszę mi wybaczyć, że w tak nieodpowiedni sposób pozwoliłem sobie zwrócić pani uwagę, ale widziałem panią parę razy w Christie's, gdzie obecnie odbywam praktykę studencką. Zapewne niesłusznie doszedłem do wniosku, że przyszła tu pani na posiłek. Dlatego właśnie tak nieprzystojnie i spontanicznie zareagowałem – zakończył.

Uklonił się ponownie i stał przed nią lekko pochylony, milcząc. Melania jakoś nigdy nie zdołała się przyzwyczaić do zawiłych grzecznościowych form konwersacji, które dla narodów azjatyckich były jak druga skóra. Dlatego z odrobiną zdumienia i oczarowania słuchała złożonej wypowiedzi mężczyzny. Mówił świetnie po angielsku, wyczuwało się jednak u niego ów akcent typowy dla mieszkańców Chin. Był młody, zapewne w jej wieku, nie potrafiła tego ocenić. Według Melanii większość Azjatów zawsze wyglądała na około trzydziestki, niezależnie od tego, czy mieli dwadzieścia, czy pięćdziesiąt lat. Dopiero później jakoś niezauważalnie i błyskawicznie się starzeli, i od razu wyglądali na setkę.

Mimo zapewne młodego wieku jej rozmówca robił wrażenie człowieka interesu. Przyzwoity, dopasowany garnitur w stonowanym szarym kolorze, nieskazitelnie biała koszula, krawat i wyglansowane skórzane buty. Ludzie w naszym wieku noszą adidasy, pomyślała. No tak, ale ja też latam w garsonce i szpilkach, może to strój służbowy. Stali tak, ona się na niego gapiała, on milczał. Głupio jakoś.

– Oj, to ja przepraszam – ocknęła się Melania. – Ma pan całkowitą rację, myślałam, że tu szybko coś zjem. Chyba jednak nie dziś. Coś podobnego, jest pan na praktyce studenckiej w Christie's, to tak jak ja. Dziwne, że do tej pory na siebie nie wpadliśmy.

– Nic dziwnego – skłonił się ponownie. – Jestem tam dopiero od tygodnia. Proszę mi wybaczyć mój brak dobrych manier, nawet się nie przedstawiłem. Jestem Gong Tan Ling, student z Pekinu, obecnie słuchacz rocznego kursu Christie's Education. – Tu nastąpił kolejny ukłon.

– Bardzo mi miło. – Melania odruchowo ukloniła się również. – Jestem Melania Robak. Studiuję historię sztuki w Polsce, we Wrocławiu. Obecnie cudem udało mi się uzyskać możliwość półrocznej praktyki w Christie's, więc korzystam.

– To zaszczyt panią poznać, pani Melania Robak. Mam nadzieję, że nie zabieram pani cennego czasu?

Cała ta rozmowa była co najmniej śmieszna, Mela jednak wcale się nie śmiała, nawet w duchu. Wiedziała już, że tak wyglądają pierwsze spotkania z Chińczykami. Wymiana grzeczności. Później z reguły okazywali się miłymi, otwartymi i inteligentnymi

rozmówcami, ale ten nietypowy dla Europejczyka początek mógł niektórych zniechęcić. Tym bardziej że owe wersalskie uprzejmości mogły trwać godzinami. Ten element w konwersacji z Azjatami pojawiał się zawsze, jednak osoba, która była do niego przyzwyczajona, szybko potrafiła znaleźć moment, kiedy już można było, bez ryzykowania, że zyska się opinię gburą, przejść do normalnej rozmowy. Mela nie знаła tego młodzieńca, nie miała punktu zaczepienia, a nie wydawało jej się właściwe już w pierwszych słowach wypytywać nowego znajomego, jak udało mu się dostać do tak renomowanej i ekskluzywnej szkoły jak Christie's Education. To była prywatna uczelnia pod patronatem uniwersytetu w Glasgow i konsorcjum domów aukcyjnych Christie's. Studia właśnie tam gwarantowały uznanie na całym świecie. Stamtąd wywodzili się najlepsi rzeczoznawcy.

Z jednej strony ciekawość wręcz wypalała jej dziurę w mózgu, z drugiej zaś dziewczyna nie miała pojęcia, jak przerwać ów menuet grzeczności. Na szczęście z kłopotliwej sytuacji wybawiła ją kelnerka, która podeszła do stolika z okazałym półmiskiem wołowiny w grzybach i wielką michą ryżu.

– Pani Melania Robak, błagam o wybaczenie. – Tan skłonił się po raz kolejny. – Zamówiłem przypadkiem o wiele większą ilość pożywienia, niż mógłbym sam zjeść. Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i pozwoli, bym podzielił się z panią moim posiłkiem? Stokrotnie przepraszam. Nie chciałbym pani urazić. – Giął się w ukłonach.

Melania przerwała wreszcie ten grzecznościowy trans.

– Ależ skąd, nie ma pan za co mnie przepraszać. – Uśmiechnęła się szeroko do swojego towarzysza, z ulgą prostując niewygodnie wygięty tułów. – Z przyjemnością skorzystam z pańskiej propozycji, jeśli oczywiście podzielimy się rachunkiem. Życie mi pan uratuje, gdyż umieram z głodu. Dziękuję z całego serca.

Tak poznała Tana. Jeszcze w tym samym tygodniu umówiła się z nim na randkę. A niecały miesiąc później zostali parą.

Gong Tan Ling urodził się w Pekinie, w przeciętnej rodzinie robotniczej. Na szczęście w latach jego dzieciństwa koszmarna rewolucja kulturalna oraz rządy Mao i jego popleczników stały się już historią i to ostro krytykowaną. Ta odwilż stworzyła szansę, aby mały Tan, syn jak najbardziej politycznie poprawnej klasy społecznej, otrzymał staranne wykształcenie, odpowiadające jego zdolnościom. Tan bowiem był szalenie utalentowanym młodym człowiekiem. Jego predyspozycje do nauki języków obcych ujawniły się już w szkole podstawowej, a nauczyciele wspierali tę pasję.

Dwunastoletni Tan nie tylko opanował biegle parę dialektów chińskich, ale również języki rosyjski, angielski i francuski. Wtedy też ujawniły się jego prawdziwe zainteresowania i największy talent. Chłopiec był zafascynowany historią własnego kraju, a zwłaszcza historią niemal legendarną, aż po schyłek dynastii Qing. Bardzo wcześnie rozpoczął studia na Uniwersytecie Pekijskim, specjalizując się w historii

sztuki.

Jego rocznemu wyjazdowi na studia do Londynu patronował rząd chiński, współpracujący z szanghajskim oddziałem domu aukcyjnego Christie's. Gong Tan Ling był wschodzącą gwiazdą pekińskiej nowej elity. Wydawało się przesądzone, że po uzyskaniu doskonałego wykształcenia zajmie jakieś wysokie stanowisko w Ministerstwie Kultury Chińskiej Republiki Ludowej.

Jego błyskotliwa kariera rozpoczęła się już w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy jako nastolatek opublikował serię artykułów o zaginionym dziedzictwie kulturalnym Chin. To zwróciło na niego uwagę władz partyjnych i otworzyło mu szeroko drzwi nie tylko na uczelnię, ale również na zaplecza wszystkich muzeów w Pekinie, Szanghaju i Xian.

Pomysł studiów w Londynie wyszedł od szanghajskiego oddziału Christie's. Tan był dla nich dobrą inwestycją. Władze chińskie stopniowo zmieniały kurs, dzieła dawnej sztuki, traktowane wcześniej po macoszemu, nabierały coraz większej rangi. Chiny zaczęły zdawać sobie sprawę ze znaczenia pojęcia „dorobek kultury narodowej”. Wcześniej było stosunkowo łatwo uzyskać na dokumentach przewozowych okrągłą czerwoną pieczętkę, upoważniającą do wywozu za granicę liczącej sobie kilkaset lat zabytkowej porcelany. Rynek kolekcjonerów bardzo sobie cenił chińskie antyki. Z czasem jednak zdobywanie ich stało się coraz trudniejsze. Gong Tan Ling był prawdziwym patriotą. Szanował i kochał kulturę i sztukę swojego kraju. Jednak jego fascynacja odległymi epokami sprawiła, że lakowy parawan z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku traktował prawie jak nowoczesną sztukę użytkową, nie uważał go za dzieło warte szczególnej ochrony. Tak, Gong Tan Ling stanowił dobrą inwestycję dla Christie's. W końcu za parę lat to właśnie od niego zapewne będzie zależało, kto dostanie małą, okrągłą, czerwoną pieczętkę na dokumentach ekspertyzy przedmiotów przeznaczonych do wywozu na aukcje.

Tan był dla Melanii idealnym partnerem. Zakochała się w nim jak wariatka, w jego pasji, zaangażowaniu, błyskotliwym intelekcie i w jego ciele. Grzeczny, układny i poprawny Tan w łóżku zamieniał się w wolnego od wszelkich uprzedzeń, czułego i zmysłowego kochanka. Kiedy ją całował, Meli brakło tchu. Uwielbiała go. Nie był jej pierwszym mężczyzną, ale z pewnością pierwszym, w którym była zakochana. Zakochana tak mocno, że niewiele brakowało, a spaliłaby siebie samą na ołtarzu tej miłości.

Wiosna tego roku była najpiękniejszą wiosną w życiu Meli. Wieczory spędzała w towarzystwie Tana i jego przyjaciół, noc w jego ramionach, w swoim przytulnym pokoiku w Soho. Tan co prawda nalegał, aby przeprowadziła się do niego, ale Mela nie chciała. Stąd miała niedaleko zarówno do Christie's, jak i do Platinum, gdzie nadal pracowała w sobotnie noce. Od Tana musiałyby tam jechać metrem prawie pół godziny. Poza tym absolutnie nie zgadzała się porzucić pracy w klubie. Tan był

cudowny, ale Mela nie chciała być niczyją utrzymanką. Teraz wszystko wydawało się piękne, ale za niespełna rok on wróci do Chin, a ona do Wrocławia.

Tan nienawidził jej pracy w Platinum. Błagał Melanię, żeby wyjechała z nim do Chin i została jego żoną. Chciała, oczywiście, że chciała. Ale jeszcze nie teraz. Dopiero kiedy skończy studia, jak już coś osiągnie. Gdzieś w zakamarkach jej podświadomości błąkały się słowa Romana Koraba: „Trzeba znać swoje miejsce”. Marzyła o życiu z Tanem. Pragnęła zostać jego żoną, ale to nie wszystko. Chciała też osiągnąć coś wyjątkowego w swoim fachu. Po to, żeby udowodnić temu swojemu „nie-ojcu”, że jest kimś. Że doszła do czegoś całkiem samodzielnie. Bez pieniędzy bogatej żony, kochanka czy przyjaciela. Całkiem sama. Jeszcze nie wiedziała, co to będzie. Wiedziała tylko, że nie może sobie pozwolić na żadną słabość, dopóki nie udowodni sobie samej, Korabowi i Tanowi, że jest kimś.

Przez pięć dni w tygodniu pracowała sumiennie jako praktykantka w domu aukcyjnym. Można powiedzieć, że awansowała. To nie był, co prawda, tak do końca zasłużony i wypracowany awans. W dużej mierze zawdzięczała go staraniom Haralda i protekcji cudownej kobiety Moniki Merlow.

Doktor Merlow, niezależny rzeczoznawca, specjalistka od dynastii Ming, była wykładowczynią Christie's Education. Mela poznała ją przez Tana. Po miesięcznej praktyce Tan wrócił na studia i ugrzązł po uszy w projekcie badawczym doktor Merlow. Monica uparła się, by udowodnić, że kurtyzana Ma Shouzheng, konkubina cesarza z późnej dynastii Ming, była nie tylko autorką obrazów w stylu klasycznych malowideł Zhao Mengjian, ale również wspaniałą poetką. Co prawda historia uznała jej rangę jako malarki i przyjaciółki wielkiego poety Wang Zhidenga, ale doktor Merlow miała jeszcze jedną tezę. Uważała bowiem, że Ma była również autorką, lub chociaż współautorką, wielu poematów przypisywanych Zhidengowi. Wspólne zainteresowania sprawiły, że między Monicą i Melanią zawiązała się przyjaźń. Dlatego kiedy Harald uparł się, by zrealizować swój najnowszy, szalony pomysł, Monica Merlow, wezwana przez dom aukcyjny jako konsultantka, z całą mocą swojego autorytetu poparła udział Melanii w projekcie.

To było w maju. Wtedy Harald wyskoczył z tą swoją niespodzianką. Mela widywała się z nim regularnie w każdą sobotę na obiedzie. W piątki, po zajęciach w Christie's, jeździła na noc do Tana i wracała w sobotę po południu, żeby się przygotować do pracy w klubie. O piątej spotykała się z Harrym na przyjacielskie plotki, a potem szła do Platinum.

– Wcale cię nie widuję – narzekał Harald, jak tradycyjnie co sobotę, od czasu, gdy Mel poznała Tana. – Dziewczyno, nie można tak się wypinać na starych przyjaciół.

– Wcale się nie wypinam, głupolu. – Uśmiechała się do niego słodko. – Wiesz przecież, że jestem kobietą pracującą. Nie wszyscy, mój drogi, są milionerami.

– Bzdury gadasz, to wcale nie chodzi o pieniądze czy o pracę. Nie masz już dla mnie

czasu. Wcześniej zawsze znalazłaś dla mnie godzinę w tygodniu. A teraz traktujesz mnie jak jakąś wysuszoną, starą ciotkę, którą z obowiązku odwiedza się w sobotnie popołudnie.

– No taki młody to ty już nie jesteś, *darling*. – Poglądziła go po policzku.

– Zraniłaś mnie właśnie okrutnie. – Teatralnym gestem przycisnęła dłoń do czoła. – Nie wypieraj się, nieszczęsna. I tak wiem, że miłość w tobie płonie, i to wysokim płomieniem. Co prawda, ten płomień jest taki bardziej żółty i tylko dlatego rzucasz mnie na pastwę tęsknoty i rozterek. A tak à propos żółty, co tam u twojego chłopczyka?

– Przestań nazywać go chłopczykiem. Tan jest w porządku, kocham go.

– To fajnie. Mnie nie kochasz, wiem.

– Wiesz, Harry, robisz się upierdliwy. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze gdy rozmawiamy o Tanie, stajesz się zwyczajnie wredny. Zazdrosny jesteś czy co?

– Jaki tam zazdrosny! – prychnął. – Wkurza mnie, że taka mądra dziewczyna jak ty nagle zapomina o całym świecie. Jeszcze trochę, a się za niego wydasz, obiadki mu będziesz gotować i cała moja inwestycja pójdzie na marne.

– Jaka twoja inwestycja, co ty bredzisz?

– Moja droga, oprócz pieniędzy mam jeszcze do stracenia dobre imię. Poleciałem cię w Christie's, bo uznałem, że masz potencjał. Jeśli teraz rzucisz karierę dla faceta, to ja stracę respekt do siebie samego.

– Nie obawiaj się tak bardzo o swoje dobre imię. Nie zamierzam rezygnować ze studiów i z kariery. Tan mi się oświadczył.

– I co? – Harald z wrażenia podniósł się z fotela. – Wyjdiesz za niego?

– Tak. – Pokiwała głową. – Nie. To znaczy, wyjdę, ale jeszcze nie teraz. Pewnie kiedyś tak, na razie jeszcze nie. Skończę praktykę i jadę do Polski po tytuł magistra. A potem zobaczymy. Tak czy siak, pewnie tu wrócę. Złożę papiery do Christie's, chociaż wolałabym stworzyć coś swojego, własnego, we Wrocławiu. Zresztą nie wiem, może wyjdę za Tana i wyjadę do Chin? Nie mam pojęcia, co będzie kiedyś. Na razie dociągnę do końca praktykę, która zresztą dzięki tobie przedłużyła się o pół roku, a potem jadę do Wrocławia, żeby skończyć studia. Planować będę później.

– Dobrze mówisz! – ucieszył się Harald. – Mądra dziewczynka, dostaniesz cukierka – wrócił do swojego zwykłego kpiącego tonu. – Jest interes do zrobienia – dodał tajemniczo.

– Jaki interes, Harry? – spytała z nikłym zainteresowaniem. – Ty nie robisz interesów, ty trwonisz rodzinną fortunę na pierdoły.

– Nie masz pojęcia o życiu, dziewczyno. Oczywiście, że robię interesy, podpisuję masę różnych papierów raz w miesiącu. Ciężko pracuję na rodzinną fortunę. A poza tym, najważniejszym moim zadaniem jest niesienie wysoko sztandaru rodu. Muszę dbać o nasz wizerunek, jako ten ostatni męski potomek. I muszę się rozmnożyć, szlag by to trafił.

– No dobra, kawa na ławę. Jaki to interes, mam ci pomóc wybrać narzeczoną z katalogu szlachetnie urodzonych panien Królestwa Wielkiej Brytanii, żebyś mógł się rozmnożyć?

– E tam, nie. Sam już coś tak jakby wybrałem. Są naciski, żebym skonsumował jakiś tam związek przed pięćdziesiątką. Chętnych aż nadto, więc niech będzie. Żenię się w przyszłym roku, tak jakoś.

– Poważnie? – Parsknęła śmiechem. – A z kim?

– A jest jedna taka, nawet wcale, wcale. Nie znasz jej. – Westchnął ciężko. – Niegłupia, niebrzydka, nie za młoda i niebogata. Nada się. Parę razy z nią towarzysko spółkowałem. Nikt się nie spodziewa, że ona jeszcze się z kimś zwiąże, ale to powinno wypalić. Dziesięć lat młodsza i jak mówię, niegłupia.

– A jaką ty masz gwarancję, słodziaczkę, że ona będzie ciebie chciała?

– Spokojnie. Będzie.

– A jak cię nie pokocha? Ja na przykład ciebie nie chciałam – podpuszczała go.

– Bo ty jesteś z plebsu i nie masz o niczym pojęcia, dziecko. – Poklepał ją protekcyjnie po policzku. – Wierzysz w miłość, Świętego Mikołaja i Bóg wie co jeszcze. Małżeństwo, słoneczko ty moje, to inwestycja, połączenie interesów dwojga ludzi, lub jak kto woli, dwóch rodów. W moim przypadku chodzi o rody, więc nie ma obaw. Będzie chciała. A w ogóle to nie odwracaj mojej uwagi. O amorach mi tu będzie rozprawiać, kiedy interes stygnie!

– A właśnie. Jaki interes, Haraldzie?

– Coś z twojej półki. A właściwie to nawet... to wszystko twoja wina. Dlatego masz moralny obowiązek mnie wesprzeć z całych sił swoich historyczno-niewieścich.

– Nie buduj napięcia, tylko gadaj, o co chodzi.

– Chodzi właśnie o to moje planowane zamążpójście. Chociaż właściwie nie, zamążpójście to będzie dla lady Agathy, a dla mnie co? Zażonopójście?

– Ożenek, Harry, ożenek.

– No tak. Ożenek – podjął wątek. – Jak już będę statecznym ożenionym dżentelmenem, to mocno podejrzewam, że moja szczęśliwa małżonka, jak wszystkie inne szczęśliwe małżonki, które znam, skoncentruje się na wydawaniu moich pieniędzy i przemeblowywaniu moich domów. Niech jej będzie. Ale przedtem chciałbym jeden z nich urządzić po swojemu i sam powyrzucać trochę swoich pieniędzy. Mam zamiar kupić trochę chińskich antyków i dzieł sztuki, by urządzić nimi dom w Hampton.

– Chińskich? – ucieszyła się Mela. – O, czyżby to znaczyło, że ulegasz wpływom pewnej naiwnej panienci z plebsu?

– Ulegam. – Zrobił głupkowatą minę. – Uległem już rok temu. Zaraziłaś mnie, spryculo. Dużo czytałem, dużo oglądałem, trochę już nawet nakupowałem, a teraz dokładnie wiem, czego chcę.

– A czego chcesz, Harry?

– Chcę Wang Weia – oświadczył.

– Wang Weia? Tego z dynastii Tang? Może coś pomyliłeś? Chyba Wu Weia, ten jest jak najbardziej do załatwienia. Czasami pojawia się na aukcjach.

– Nie! Powiedziałem, że wiem dokładnie, czego chcę. Chcę pejzaż Wang Weia, na zwoju, na papierze. Na własność.

– No, ambicje to ty masz, nie powiem. – Mela z podziwem pokiwała głową. – A Morny Lizy nie chcesz przypadkiem?

– Przepadkiem nie, nie pasuje mi do wystroju. Zresztą jednego Leonarda i tak mam. Wystarczy. Teraz chcę Wang Weia.

– No to się włam do jakiegoś muzeum – odparła ze śmiechem.

– O widzisz. – Harald się nabzdyczył. – I to właśnie jest najlepszy przykład twoich ograniczeń. Z góry zakładasz, że coś jest niemożliwe, a jako historyk sztuki nie powinnaś. Powinnaś wiedzieć, że nie ma rzeczy niemożliwych. Zdajesz sobie sprawę z tego, ile chińskich dzieł sztuki wywieźli do domu Europejczycy po wojnach opiumowych? Albo ile opylili na boku bonzowie partyjni w czasie rewolucji kulturalnej? Dlaczego zakładasz, że na wolnym rynku nie ma jakiegoś zwoju Wang Weia?

– Nie zakładam, Harry, ale to mało prawdopodobne. Gdyby gdzieś był, na pewno już byłoby o tym wiadomo.

– Posłuchaj, Melania – oświadczył uroczyście. – Chcę, żebyś się tym zajęła. Znajdź mi Wang Weia. Zaczynam systematyzować i zbierać eksponaty do mojego chińskiego pawilonu. Architekci już swoje zrobili, teraz pora na ścisłą współpracę dekoratora i was, historyków sztuki. Już wstępnie rozmawiałem z Larrym w Christie's. Pomogą mi oczywiście. Sklecają zespół konsultantów. Zasugerowałem, żebyś ty w nim się znalazła. Zainteresowana?

– Naprawdę?! Poważnie?! Super! – Rzuciła mu się na szyję. – A to ci cukierek! Znowu mnie zaprotegowałeś? Dzięki! Ale wiesz, może się tak zdarzyć, że się nie uda. Że cię zawiodę...

– Melania, nie zakładaj z góry, że będzie źle. Pracuj, szukaj wytrwale, dziewczyno, a na pewno wszystko ci się uda. Nawet jeśli to nie będzie Wang Wei, to ja wierzę w ciebie. Po prostu pracuj.

– Powiedział ten, który nie przepracował w swoim życiu ani jednego dnia. – Melania wróciła do kpiącego tonu, lecz jej oczy nadal błyszczały radością.

– Tak ci się tylko wydaje, mała – odparł z uśmiechem Harald.

Dwa dni później dostała awans. Grupa konsultantów zdecydowała się utworzyć trzyosobowy zespół, którego zadaniem było zdobycie dla Haralda Fitz-Jamesa ciekawych eksponatów chińskiej sztuki użytkowej. Z wyraźnym poparciem doktor Moniki Merlow Melania weszła w skład owej trójki. To zajęcie popchnęło jej karierę o lata świetlne naprzód, ale cena, jaką jej przyszło za to zapłacić, była wysoka. Bardzo

wysoka.

Gong Tan Ling był pierwszy raz w życiu zakochany. Melania, dziewczyna z egzotyczną białą skórą i bystrym, otwartym umysłem, podbiła jego serce. Pierwszy raz w swoim życiu, dotąd wypełnionym jedynie nauką i pracą, zwrócił uwagę na kobietę. Wcześniej zdawał sobie mglście sprawę z tego, że kiedyś się ożeni, spłodzi syna i będzie kontynuował linię rodziny Gong, ale te wszystkie sprawy były nieważne, odległe i nierealne. Od wczesnego dzieciństwa koncentrował się jedynie na nauce. To był przecież jego największy obowiązek względem rodziny.

Rodzice Tana pracowali jako robotnicy, należeli do partii, a czasy, w których żyli, ukształtowały ich sposób myślenia. Matka i ojciec byli aktywistami, oddanymi partii i idei komunizmu. Ich młodość przypadła na okres Mao; intensywna indoktrynacja, rewolucja kulturalna i zerwanie z przeszłością dawnych Chin spowodowały, że obydwójce wierzyli całym sercem w komunistyczne ideały.

Ojca wychowywały dwie kobiety, matka i prababka.

Historia rodziny Gong była zagmatwana i tak naprawdę Tanowi, mimo wielu starań, nie udało jej się dotąd rozwikłać. Wszystko, co wiedział na temat swoich przodków, wiedział od swojej babci Tian Lai. Dużo tego nie było, bo niewiele o nich mówiła, a nawet jeśli snuła jakieś opowieści, to pojawiała się w nich mało faktów, a za to wiele legend. O własnej rodzinie wspominała niechętnie, półgłosem, tak jakby to była wielka tajemnica. Z jej opowieści Tanowi udało się wyłuskać jedynie podstawowe informacje.

Babcię Tian Lai wychowała jej babka, bo reszta rodziny zginęła w niejasnych okolicznościach. Na pytania o praprababkę Tana Tian Lai nie reagowała i błyskawicznie zmieniała temat. O swoim własnym życiu niechętnie, ale mówiła. Urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku; w dzieciństwie, kiedy kraj był zajęty przez Japończyków, odebrała domowe wychowanie i wykształcenie. Babka i dziadek bardzo ją kochali. W czasach, gdy kolektywizowano rolnictwo, jako dwudziestoczterolatka została skierowana do pracy na wieś. Tam spędziła rok, tam urodziła syna, ojca Tana. Potem wróciła do Pekinu i zaczęła pracować jako krawcowa, tak samo jak jej babcia. Dziadek zmarł, kiedy przebywała na wsi. Babka Tian Lai zmarła w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, w tym samym co Mao. Nie doczekała narodzin prawnuka. Po prababce nie zachowały się żadne pamiątki. Tian Lai – co oznacza „Przyszłość” – niechętnie o niej opowiadała, w ogóle niechętnie wracała do przeszłości.

Ojciec zbywał wszelkie pytania o historię rodziny wykładami na temat wielkości idei komunizmu i opowieściami o czasach, kiedy nad ojczyznę świeciło Słońce Chin, towarzysz Mao Tse-tung. Z rozmów z rodzicami młody Tan dowiedział się jedynie, że poznali się na wiecu i pokochali, bo połączyło ich wspólne uwielbienie dla wodza.

Wcześniej wydawało mu się to dziwne. Teraz, kiedy poznał Melanię, częściowo zgadzał się z takim podejściem do kwestii uczuć.

Czyż bowiem nie było tak, że to wspólna pasja i zainteresowania zbliżyły go do tej cudownej dziewczyny? Trochę się obawiał reakcji rodziców, gdy oznajmił im, że postanowił poślubić Melanię. W końcu to obca, w dodatku Europejka, a ojciec życzył sobie dla niego posłusznej i dobrej chińskiej żony. Poślubienie kobiety, której nie zaakceptowałyby rodzina, było nie do pomyślenia. Wszak jego pierwszy obowiązek to szacunek i posłuszeństwo wobec ojca i matki.

Ale czasy, kiedy to rodzice wybierali synowi żonę, minęły bezpowrotnie. Już nawet ojciec nie przywiązywał wagi do tej starej tradycji. Sam sobie wybrał kobietę i przyprowadził ją do domu matki. No tak, dla niego było to nieco prostsze, miał w domu same kobiety, matkę i babkę. Był ich jedyną nadzieją, żrenicą oka, opieką na starość. Uwielbiały go obie i nie potrafiłyby mu się przeciwstawić, a nawet chyba by nie chciały.

Może nie będzie tak źle, pocieszał się Tan. W końcu Melania urodziła się w kraju, który całe lata należał do bloku komunistycznego pod przewodnictwem wielkiej Rosji. Nikt nie będzie wytykał jej palcami jako zgniłej kapitalistki. Jest wykształcona, a nowe Chiny potrzebują wykształconych kobiet i je cenią. A co najważniejsze, płynnie mówi po chińsku. Rodzice na pewno ją zaakceptują. Musi jeszcze tylko ją przekonać, żeby nie była taka harda. Przecież nawet nowoczesne chińskie żony znają swoje miejsce w rodzinie. Mela stanowczo powinna bardziej go wspierać, no i musi wreszcie zrezygnować z tej wstydlivej pracy w Platinum.

No bo jak Tan miałyby wytłumaczyć rodzicom, że chce się ożenić z dziewczyną, która zarabiała na życie w domu kwiatów? Co prawda Platinum to nie burdel, tylko nocny klub, ale różnica właściwie jest niewielka. Kobiety, które pracują w takich miejscach, mają złą opinię. Nadają się do rozrywki, na konkubiny, kochanki, ale przecież nie na żony. Ten niepożądany szczegół życia Meli trzeba będzie ukrywać. Studia, jak się uprze, może skończyć w Pekinie. Wykształcona żona to nie powód do wstydu.

Nadszedł grudzień dwa tysiące czwartego roku. Melania żyła jak w bajce, była przeszcześliwa. Roczna praktyka w Christie's dobiegała końca. Plany zawodowe dziewczyny były już w pełni skryształizowane, jej życie prywatne nie mogło układać się lepiej. Gorączkowo przygotowywała przyjęcie sylwestrowe w domu Haralda. Tego wieczoru w bajecznym chińskim pawilonie w swojej rezydencji jej przyjaciel zamierzał ogłosić swoje zaręczyny z lady Agathą Brandon.

Święta spędziła z Tanem w jego mieszkaniu. Wzięła wolne w Platinum i ostatnie dni przed jego wyjazdem mieli tylko dla siebie. Tak bardzo się kochali. Mela wiedziała, że chce z nim spędzić całe życie. To było prawdziwe szczęście; rozumieli się, kochali i byli naprawdę partnerami. Zawsze udawało im się znaleźć kompromis, nawet

w sytuacjach, wydawałoby się, bez wyjścia. To nie był łatwy związek; różnica kultur, inne oczekiwania od życia – wszystko to zdawało się stać na drodze ich miłości, ale pomimo przeszkód trwali razem.

Melania zgodziła się zostać żoną Tana i zamieszkać z nim w Pekinie. Tu nie było miejsca na kompromisy, cała jego przyszłość to Chiny. Gdyby je opuścił, zniszczyłby nie tylko swoją już szczegółowo zaplanowaną karierę zawodową – gdyby porzucił Chiny, odciąłby się od własnych korzeni, a także od rodziny, którą uwielbiał i czcił. To było nie do pomyślenia. Mela nie miała rodziny, nie miała nikogo, miała tylko Tana. Dlatego wspólnie postanowili, że zamieszkają w Chinach. Ustępstwem z jego strony było, że w końcu, po niezliczonych dyskusjach, zgodził się poczekać te półtora roku.

Tan po świętach wracał do Pekinu, Melania miała zostać w Londynie do rozpoczęcia następnego roku akademickiego. Wiosną zamierzała go odwiedzić w Chinach. Złożyli już w ambasadzie zaproszenie i wnioski wizowe. W ciągu tej trzytygodniowej wizyty miała poznać jego rodzinę, ustalić wszelkie szczegóły dotyczące ich małżeństwa, mieszkania i tak dalej, no i oczywiście dokładnie obejrzyć Pekin.

Mela była już w Chinach latem tego roku. Przez krótkie trzy dni nadzorowała tam przygotowanie do transportu mebli chińskich z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, drobnego ułamka z listy wielu przedmiotów, które zespół z Christie's wybrał dla Haralda Fitz-Jamesa. Nie zobaczyła wtedy kompletnie nic. Z lotniska zawieziono ją klimatyzowanym busikiem do siedziby Christie's w Szanghaju, gdzie z mozołem porównywała przedmioty z długiej listy zakupów z tymi, które jej tam zaprezentowano. Z lupą, centymetr po centymetrze, oglądała blaty z laki i rzeźbione parawany. Trzeba było rzetelnie sprawdzić stan ponadstuletnich mebli, w miarę możliwości podać ich pochodzenie, poprzednich właścicieli i całą historię. Te wszystkie informacje miały później wpływ na cenę każdego przedmiotu. Dom aukcyjny Christie's zarabiał na prowizjach, a tym samym było szalenie ważne, żeby licytowane dzieła sztuki użytkowej osiągnęły jak najwyższą cenę. Tym razem jednak pracowali na zlecenie jednego nabywcy, Haralda. Dlatego należało ustalić jak najwyższą możliwą cenę i dokładnie ją uzasadnić. Szans na to, że podczas licytacji zostanie uzyskana wyższa kwota niż początkowa, nie było przecież żadnych.

Z Szanghaju i Chin jako takich Mela nie zapamiętała nic, bo niczego innego poza pomieszczeniami domu aukcyjnego nie udało jej się zobaczyć. Po osiemnastogodzinnym dniu pracy odwożono ją do hotelu, gdzie padała na łóżko i usypiała natychmiast, po to jedynie, aby po czterech godzinach snu wrócić do chłodnego pokoju w magazynach Christie's i pracować dalej. Jedyne wrażenie, jakie jej z tego wyjazdu pozostało, to jasność. Nie pamiętała nawet, czy było tam bardzo gorąco. Nie odczuwała upału, jednak powietrze było po prostu inne, tak samo jak światło. Zawsze uważała, że nad Szanghajem wisi gęsty smog, i dlatego oczekiwała wszechobecnej szarości, mgły, sama nie wiedziała czego. Tymczasem ta intensywna

jasność ją zaskoczyła. Światło słoneczne zdawało się przenikać wszystko wokół, łącznie z nią samą.

Cieszyła się więc teraz na przyszłoroczny wyjazd z całego serca.

Po powrocie z Chin chciała jeszcze do końca wakacji popracować w Londynie, potem zamierzała wrócić do Wrocławia, skończyć studia, obronić pracę magisterską i zamknąć polski rozdział swojego życia. Tan starał się o możliwość przyjazdu do Polski na przyszłe święta Bożego Narodzenia. Mela, jako świeżo upieczony magister historii sztuki, miała wyjechać na stałe do Pekinu latem dwa tysiące piątego roku.

Wigilia wypadła w niedzielę. W piątek po pracy w Christie's Melania pojechała bezpośrednio do mieszkania Tana. Krzątała się po kuchni, nucąc świąteczną piosenkę. Uparła się, by samodzielnie przygotować prawdziwą tradycyjną polską Wigilię. Tan przeszkadzał jej, jak mógł.

– Na pewno potrzebujesz pomocy – szeptał jej namiętnie do ucha, obejmując ją w pasie. – Pomogę ci się uwolnić od tych zajęć, no chodź, Mel Lan. Gotowanie ci nie ucieknie – mruczał, całując jej szyję.

– Tan, nie szalej – broniła się słabo. – Samo się nie zrobi.

– To pójdziemy na kolację do chińskiej knajpki – nalegał. – Jedzenie to piękna rzecz, ale ja tu widzę coś o wiele piękniejszego. – Jego dłonie wędrowały po jej ramionach w kierunku piersi. – No chodź! – kusił.

Odwróciła się i przytuliła do niego całym ciałem. Oddała namiętny pocałunek, potem drugi, trzeci... W rezultacie wylądowali w sypialni, gdzie pozostali do wigilijnego poranka. Do południa Meli udało się upiec sernik i przygotować śledzie. Na szczęście zrobili zakupy już w piątek, dlatego wszystkie produkty do wieczery były na miejscu. Zrezygnowała z gotowania makiełek i pieczenia makowca. Postanowiła, że zamiast dwunastu potraw wystarczy im sześć.

Zrobienie zupy grzybowej i tak w Londynie było nierealne, odpowiednie suszone grzyby należałoby ściągać z Polski, a że idea tradycyjnej polskiej Wigilii wypłynęła niedawno, Mela nie zdążyła się zaopatrzyć w niezbędne składniki. Barszczyk z uszkami musiał zostać zastąpiony rosołem, bo w piątek nie zakisiła buraków. W rezultacie kolacja wigilijna składała się ze śledzi na przystawkę, rosołu z chińskim makaronem z paczki, smażonego karpia, ryżu, surówek i pysznego sernika.

Gdyby się nie uparła, że chce ten wieczór spędzić uroczyście, pewnie pozostaliby przez kolejny dzień w łóżku. Wczesnym popołudniem wyciągnęła Tana na spacer. Trzymając się za rękę, wędrowali alejkami przyprószonego śniegiem parku.

– Kocham cię, Mel Lan. – Tan przytulił ją mocno. – Kocham cię tak bardzo, że najchętniej już nigdy nie wypuściłbym cię z objęć. Proszę cię, nie każ mi tak długo czekać. Jedź ze mną.

– Kochany, wiesz przecież, że to niemożliwe. – Melania całowała jego zimne

policzki. – Już niedługo będziemy znowu razem. Dostanę wizę i za parę miesięcy będę u ciebie.

– Wiem, tylko ta myśl trzyma mnie przy życiu. Kiedy sobie pomyślę, że zostajesz tu sama, w tym cholernym klubie... Nie rozmyślisz się? Wyjdiesz za mnie, prawda?

– Nie rozmyślę się. Dałam ci słowo. Kocham cię, Gong Tan Ling, przecież wiesz. Możesz być pewny, że się nie rozmyślę.

– Pewny będę dopiero wtedy, kiedy będziesz się nazywała Gong Mel Lan. – Uśmiechnął się smutno.

Wrócili do jego mieszkania. Razem nakryli do stołu. Słuchali przy dobrym winie muzyki. Potem zjedli uroczystą kolację i kochali się długo i leniwie. Poniedziałek był smutny. Melania sprzątała mieszkanie, Tan pakował swoje rzeczy w kartony, gdyż nazajutrz wracał po rocznych studiach do domu. Jego dobytek miał już dziś wieczorem odebrać posłaniec z ambasady Chin, której pracownicy zajmą się dostarczeniem wszystkiego do Pekinu. Wcześniej rano Melania chciała odwiedzić Tana na lotnisko, a potem miała zamiar wrócić do swojego pokoiku w Soho.

Wieczorem zamówili sobie pizzę do domu, przez telefon. Potem kochali się ostatni raz i usnęli przytuleni do siebie, z uśmiechami na twarzy. Przed północą wyrwał ich z pierwszego snu sygnał telefonu. Komórka Melanii brzęczała na nocnym stoliku.

– Halo? – spytała zasnym głosem dziewczyna.

– Melania, Bogu dzięki! – Bob, menedżer Platinum, wydawał się zdenerwowany do szaleństwa. – Melania, dziewczyno, pomocy! Wiem, że masz wolne, ale błagam, przyjdź. Ja tu mam horror. Ratuj!

– Bob, uspokój się. Co się stało? Nie mogę przyjść, jestem na drugim końcu miasta!

– To i tak szczęście! W Londynie jesteś, nie w Paryżu albo w Dublinie, albo pijana w trupa. Musisz mi pomóc, weź taksówkę i przyjeżdżaj. Zapłacę za wszystko, a tobie zapłacę podwójnie, zrobię, co chcesz, tylko przyjeżdż.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Grypa się stała. Wszystkie dziewczyny chore albo na urlopiach. Jesteś moją ostatnią nadzieją. Mam trzy tancerki, jedną kelnerkę, żadnej barmanki i oprócz normalnych gości dwudziestoosobową wycieczkę japońskich biznesmenów oraz dwa prywatne przyjęcia w *separee*. Dwie kompletnie zalane dziewczyny do towarzystwa dojadą, ale fachowców brak. Panienki tłuką szklanki i rozlewają drinki na kanapy. Nikt nie potrafi nawet piwa porządnie nalać. Horror, dziewczyno. Błagam, przyjeżdż. Zapłacę ci, ile chcesz. Wynagrodzę ci to.

Tan obudził się i wsparty na łokciu obserwował ją uważnie. Zdenerwowany Bob tak głośno krzyczał do słuchawki, że słycać go było w całym mieszkaniu. „Co mam robić?” – Melania zrobiła pytającą minę w kierunku ukochanego. „Nie jedź” – wyszeptał bezgłośnie. Wzruszyła ramionami.

– Bob, nie mogę – odpowiedziała. – Jestem ponad godzinę jazdy od Soho, a mój

narzeczony jutro wyjeżdża. Nie mogę. Zresztą zanim dojadę, to pewnie ci się ten młyn skończy i będzie po problemie.

– Melania, nic się nie skończy. Oni dopiero przyszli. Błagam, nie zostawiaj mnie z tym samego. Jesteś moją ostatnią szansą. Tyle lat pracujemy razem, pamiętasz, że zawsze byłem fair. Zawsze dopasowywałem grafik do twoich zajęć. Teraz ja potrzebuję pomocy. – Zamilkł.

Melania też milczała, siedząc wyprostowana na łóżku. Tan, już całkiem przebudzony, leniwie gładził jej nagie udo, pewny, że Melania zaraz skończy rozmowę. Westchnęła ciężko.

– Będę za godzinę – powiedziała. – Nie panikuj.

Odłożyła słuchawkę i przytuliła się do Tana.

– Muszę. Rozumiesz?

– Wszystko jest ważniejsze, Mel Lan. Praca, klub, Christie's, studia. Wszystko, czego ty chcesz, tylko nie ja. Czy ty naprawdę mnie kochasz?

– Kocham cię najbardziej na świecie – szepnęła miękko. – I ty o tym wiesz. Pojadę na parę godzin i wrócę na czas. Odwiozę cię na lotnisko, a na wiosnę przyjadę do Pekinu na oficjalne zaręczyny. Kocham cię, Tan, i zostanę twoją żoną. Daj mi tylko jeszcze te półtora roku. Obiecuję.

Wyślizgnęła się z jego objęć. Ubrała się szybko i rezygnując z makijażu, chwyciła torebkę. Podeszła jeszcze raz do łóżka i schyliła się, aby pocałować Tana. Nie oddał pocałunku. Patrzył za nią z wyrzutem, gdy zamykała drzwi mieszkania.

W błyskawicznym tempie dojechała do klubu taksówką. Przed północą, z marszu, w prywatnych ciuchach i nieumalowana, stanęła za barem. Spocony, półprzytomny Bob z jedną kelnerką zbierali zamówienia i roznosili drinki. Mela rozlewała napoje jak robot. Dwie tancerki posłali do *separee*, a trzecia, kompletnie wyczerpana, wyginała się na głównej scenie. Pijane dziewczyny do towarzystwa spontanicznie robiły striptiz przy stolikach gości, zataczając się na przechodzących.

Mela z grubsza opanowała sytuację i wysłała Boba do sąsiadującego z nimi klubu. Miała nosa, na szczęście było tam pustawo. Bob dogadał się z właścicielką, że za słoną opłatą wypożyczy im parę dziewczyn. Przed drugą kryzys został zażegnany. Jedna z pijanych dziewczyn wylała na angorowy sweterek Melanii Krwawą Mary. Chcąc nie chcąc, Mela musiała się przebrać. Pożyczyła sobie z garderoby wydekoltowaną sukienkę jednej z tancerek, poprawiła włosy, przejechała szminką po wargach i wróciła za bar. Po drugiej do klubu przyszedł Harald.

– Cześć, mała. No popatrz, ale miałem nosa! – ucieszył się na jej widok. – Od piątku cię szukam. Chodź, usiądź ze mną. Mamy do pogadania.

– O, Harry! – Uśmiechnęła się do niego szeroko. – Wesołych świąt, *darling*. Nie ma mowy, kocioł mamy okropny, nie wyrwę się zza baru.

– A, to nie szkodzi. Usiądę tutaj koło ciebie. Ty sobie pracuj, a ja ci opowiem

nowinki. Otwieraj szampana, dziewczyno, bo się przyda. Gdzie ty się podziewałaś całymi dniami?

– Tan jutro wyjeżdża. – Westchnęła ciężko, z wprawą otwierając butelkę, i postawiła przed Haraldem kieliszek. – Byłam u niego, właściwie to mam dziś wolne, ale... Nagła sytuacja, sam rozumiesz.

– A czemu telefonów nie odbierasz?

– Miałam wyłączony, od piątku. Żeby nam nikt nie przeszkadzał. – Zarumieniła się. – Włączyłam dopiero dzisiaj, bo zamawiałam żarcie. I cholera ciężka, zapomniałam wyłączyć. A ty? – spytała. – Czemu się szwendasz po knajpach po nocy? Co na to lady Agatha?

– Moja droga, jak się ma reputację, to trzeba o nią dbać. Jak mnie Agatha zaobrączkuje, to pewnie się szwendać nie będę. A na razie korzystam.

Roześmieli się oboje.

– Nieprawda. – Harald spoważniał. – Nalej no, dziewczyno, tego szlachetnego trunku do dwóch kieliszków. Przyda się. Mamy co oblewać.

– Kupiłeś? – spytała z ciekawością. – Co? Wybór był niezły, prawda? – dodała z prawie matczyną dumą.

Harald w piątek finalizował zakup, w którym pośredniczyło Christie's. Meble, malowidła, ceramika i rzeźby miały być dostarczone po świętach do chińskiego pawilonu. Wcześniej Melania obiecała, że po wyjeździe Tana pomoże w przygotowaniu wszystkich detali przed uroczystym otwarciem pawilonu w sylwestra. Od tygodni omawiała z Haraldem poszczególne pozycje z oferty, kradnąc czas, który właściwie powinna poświęcić Tanowi. Nawet raz prawie się o to pokłócili. Tan od początku był zazdrosny o jej przyjaźń z Haraldem. Zawsze dyskretny i opanowany, starał się utrzymywać dystans i nie robić scen, ale przez ostatnie parę tygodni jego cierpliwość już prawie się wyczerpała.

– Kupiłem – oświadczył Harald z dumą – wszystko, co mi zaznaczyłaś na liście.

– Wow, Harry, naprawdę?! – ucieszyła się. – To przecież prawie trzy miliony funtów. To oni chyba podskakiwali ze szczęścia. Duży upust wytargowałeś?

– Wcale. Żadnego upustu. Zapłaciłem wszystko co do grosza, jak było w ofercie.

– Haraldzie Fitz-James, uroczyście oświadczam, że jesteś idiotą. Masz więcej pieniędzy niż rozumu. Za to się napiję. Brawo, Christie's! Zrobili niezły interes, ale nie przejmuj się, ty też. – Nalała sobie lampkę szampana i podniosła kieliszek.

– Nie tak szybko, niewiasto – powiedział Harald, puszczając oko. – Utargowałem więcej, niż ci się wydaje. Koniec końców okazałaś się jednak dobrą inwestycją, dziewczyno, chociaż Wang Weia mi nie znalazłaś. Wszyscy w Christie's wysoko sobie cenią twoją pracę, dlatego nietrudno im było przystać na mój warunek.

– Jaki warunek, Harry? – spytała ostrożnie. – Co ty znowu wymyśliłeś?

– Otóż, moja droga – zaczął radośnie i zrobił melodramatyczną pauzę. – Twoja

praktyka w Christie's oficjalnie zakończyła się w dniu, gdy weszłaś do zespołu pracującego nad moim zleceniem. Wszyscy byli zdania, że twoje zajęcia mocno wykraczały poza obowiązki praktykantki. Jednakże nie byłaś zatrudniona jako etatowy pracownik Christie's, prawda?

– Tak – wyszeptała niepewnie.

– Nie jesteś również licencjonowanym rzeczoznawcą, który mógłby wystawić rachunek za konsultację, tak?

– Tak – powtórzyła automatycznie.

– Jesteś natomiast certyfikowanym konsultantem domu aukcyjnego Christie's z zakresu osiemnastowiecznego meblarstwa chińskiego – oświadczył z triumfem Harald.

– Co? Nie? – Mela otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Nie jestem. Dostałam normalny certyfikat odbycia praktyki.

– Nieprawda, moja droga. Dostałaś to, co mówię. Gdybyś zamiast się gzić z pewnym żółtoskórym dżentelmenem, odbierała telefony, wiedziałabyś o tym już w piątek wieczorem. Christie's Education przygotowało papiery, Monica Merlow podpisała jako wykładowca. Możesz odebrać po Nowym Roku.

– Żartujesz...

– Nie żartuję. – Wyciągnął do niej ramiona. – No, wyłaż z za tego baru, uściskaj mnie chociaż za dobre wieści.

Melania pisała z radości. Odstawiła szklanekę, którą odruchowo polerowała, wybiegła z za lady i rzuciła się Haraldowi w objęcia.

– Zaraz mnie udusisz! – zawołał ze śmiechem. Podał jej kieliszek z szampanem, stuknął szkłem w szkło. – To nie moja zasługa. Oni sami do tego doszli. Zasłużyłaś sobie, dziewczyno, gratuluję. Mnie możesz jeszcze raz uściskać, ale za co innego.

– Za co, Harry? – Mela podskakiwała jak mała dziewczynka. – Co może być piękniejszego?

– Uparłem się, żeby Christie's wypłaciło z zarobionej prowizji premię konsultantom, którzy pracowali nad moim zleceniem – odparł z chłopięcym uśmiechem na ustach. – Dlatego się nie targowałem o cenę. Każde z waszej trójki otrzyma jeden procent od łącznej ceny zakupu. Christie's i tak zainkasuje sporo kasy. Ale ten procent jest pewny. Będziesz musiała wystawić rachunek, dziewczyno.

– Iiiiiii! – Mela piszczała uszczęśliwiona.

Rzuciła się na szyję Haraldowi i ucałowała go z całego serca w oba policzki.

Porwał ją w ramiona i zakręcił się z nią w kółko. Jej minisukienka powędrowała w górę, prawie odsłaniając pośladki. Kiedy się obracał, trzymając ją na rękach, kątem oka dostrzegła w drzwiach klubu poszarzałą z gniewu twarz Tana.

Stał nieruchomo w drzwiach, trzymając w wyciągniętej dłoni jej telefon komórkowy. Jego usta wykrzywiały grymas złości i nienawiści. Spojrzał jej prosto w oczy. Melania

wyrwała się z ramion Haralda i ruszyła w kierunku narzeczonego.

– Tan... ja... nie uwierzysz...

Wyciągnął przed siebie jedną dłoń, jakby zasłaniając się przed dziewczyną. Drugą rzucił w nią trzymaną nokią.

– Nie uwierzę! – krzyknął z wściekłością, obrócił się na pięcie i wybiegł wzburzony z klubu.

Melania odruchowo kucnęła, zbierając z podłogi porzucane części telefonu. Po sekundzie podniosła się i ruszyła za Tanem. Nie było go nigdzie. Pobiegła parę kroków za róg budynku. Ani śladu. Zawróciła w drugą stronę. Nie ma go. Jakby się zapadł pod ziemię. Grudniowy mróz sprawił, że zadrżała. Kusa, prowokująca sukienka przyciągała spojrzenia nielicznych podchmielonych przechodniów. Dziewczyna wróciła do klubu.

– Harald – podeszła do przyjaciela – przepraszam. To są wspaniałe wieści, ale muszę natychmiast wyjść. Wybacz mi. Muszę wytłumaczyć Tanowi, muszę jechać do niego.

– Jedź. – Spojrzał na nią z powagą. – Rozumiem.

Przebrała się w garderobie w swoje poplamione rzeczy, zabrała torebkę, do której wrzuciła pozbierane z podłogi części noki. Znalazła Boba.

– Bob, muszę iść. Daj mi stówę, jestem splukana, rozliczymy się jutro – poprosiła.

– Melania, kochanie. Jeszcze pół godzinki. Proszę, potem już sobie poradzimy bez ciebie. – Wyciągnął z portfela trzy banknoty pięćdziesięciofuntowe. – Pięć dych to bonus. Jestem ci naprawdę cholernie wdzięczny. To co, pół godzinki?

Spojrzała nerwowo na zegarek. Dochodziła czwarta. Zanim dojedzie do mieszkania Tana, minie godzina. Dobrze, może lepiej zostać tu jeszcze te pół godziny. Niech on się uspokoi. Niech ma trochę czasu, żeby pomyśleć. Niech zrozumie. Jak będzie u niego o szóstej, to wystarczy. Pogodzą się, porozmawiają, a o siódmej zawiezie go na lotnisko. Tymczasem sama sobie wszystko łoży w głowie. Cała ta sytuacja musiała naprawdę wyglądać dwuznacznie.

Po pierwsze, ta idiotyczna sukienka tancerki. Tyle czasu zajęło jej przekonanie Tana, że ona w klubie jedynie roznosi drinki. A w tej kiece wyglądała przecież jak jedna z panienek do towarzystwa. I jeszcze Harald. Musiała wisieć akurat na szyi jednego, jedyne go faceta na świecie, o którego Tan jest zazdrosny? Wróciła za bar. Haralda już nie było. Pożegnała się z nim wcześniej, zanim poszła się przebrać. Przez te pół godziny zrealizowała jeszcze parę zamówień kelnerki, potem wymyła shakery i puste szklanki, poznoszone z sali przez zmęczoną dziewczynę. Imprezy w *separee* powoli dobiegały końca. Mela sprzątnęła swoje stanowisko pracy, wzięła taksówkę i pojechała do Tana. Po drodze złożyła telefon do kupy. Nokia działała, ale nie było żadnych wiadomości. Nie próbowała do niego dzwonić. To głupie nieporozumienie mogła jedynie wyjaśnić, patrząc mu w twarz. Miała klucze od jego mieszkania, otworzyła sobie drzwi i cicho weszła do środka. Tana nie było. Mieszkanie było puste,

pościel leżała schludnie złożona na brzegu łóżka, walizki zniknęły. Już pojechał? Sam, na lotnisko? Dlaczego tak wcześniej?

Wybrała numer jego telefonu na komórce. Ciągły sygnał, a potem zajęte. Odrzucił połączenie. Powtórzyła. Znowu odrzucone i tak raz po raz. Wystukała na klawiaturze SMS: „Jadę na lotnisko, będę za godzinę. Spotkajmy się w holu głównym przy wejściu. Kocham Cię. Mel”.

Taksówkę udało jej się złapać po dwudziestu minutach. Miała czas, jego samolot odlatywał dopiero o dziewiątej.

Dotarła na Heathrow po siódmej. Tana nie było w umówionym miejscu. Pobiegła do informacji. Samolot do Pekinu odlatywał planowo o dziewiątej pięć z terminalu piątego, pasażerowie rozpoczęli już odprawę. Pobiegła. Usiłowała dostać się do poczekalni. Bez biletu i karty pokładowej nie miała jednak szansy. Nikt nie chciał jej pomóc. Jak szalona wydzwaniała na komórkę Tana, lecz aparat był wyłączony. Przyciskała twarz do szyby oddzielającej hol główny od hali odpraw, aż zwróciła na siebie uwagę strażników. Poprosiła o pomoc pracowników lotniska, przez głośniki wezwano Tana do kontaktu.

W końcu przemiła kobieta z okienka poinformowała ją, że pan Gong Tan Ling jest już po odprawie i nie opuści poczekalni przed odlotem.

Potem tylko patrzyła bezradnie, jak samolot British Airways do Pekinu zniknął wysoko w chmurach. Odleciał. Bez pożegnania. Nie dał jej żadnej szansy wyjaśnienia.

Próbowała skontaktować się z nim przez kolejny miesiąc. Uruchomiła wszelkie kontakty, wszelkie znajomości. Starła się nawet znaleźć go przez szanghajski oddział Christie's i chińskie Ministerstwo Kultury. W końcu ktoś powiedział jej otwarcie, że pan Gong Tan Ling nie życzy sobie żadnego kontaktu z Melanią Robak. „Proszę go nie molestować”, usłyszała. Ambasada Chin przysłała jej oficjalną odmowę wydania wizy. Prywatne zaproszenie, które było podstawą do jej otrzymania, zostało cofnięte. Tan pozamykał za sobą wszystkie drzwi.

Melania rzuciła pracę w Platinum. Pozostała w Londynie do wiosny, pracując na zlecenie Christie's przy katalogowaniu osiemnastowiecznej sztuki użytkowej Chin i Japonii. Jednocześnie z pomocą Moniki Merlow zbierała materiały do pracy magisterskiej. Pieniądze z prowizji złożyła na lokacie bankowej. Wiosną wróciła do Wrocławia.

W roku dwa tysiące piątym Melania została magistrem historii sztuki. Doktoryzowała się trzy lata później. Potem założyła własną firmę handlu chińskimi dziełami sztuki, którą już po roku przekształciła ze zwykłego antykwariatu w prężne przedsiębiorstwo, działające przez Internet, z magazynami i salonami wystawowymi w każdym z większych miast Polski. Można powiedzieć, że zmonopolizowała rynek. Zdobyła liczne nagrody i ukończyła dodatkowe studia oraz programy badawcze w swojej dziedzinie. Zyskała poważanie jako specjalista z zakresu osiemnasto- i dziewiętnasto-

wiecznego meblarstwa azjatyckiego. Jeździła jako konsultantka po całym świecie. Była najlepsza w swojej dziedzinie. Była kimś.

Często chodziła na cmentarz, by podzielić się z mamą swoimi sukcesami. Nigdy, ale to przenigdy nie zdecydowała się odwiedzić rodziny Lubuskich. Parę razy spotkała Romana Koraba na aukcjach i sympozjach, lecz nigdy do niego nie podeszła, nigdy nie podała mu ręki. Udowadnianie mu czegokolwiek przestało mieć dla niej znaczenie.

Spotykała się z kilkoma mężczyznami. Żaden z jej romansów nie trwał dłużej niż miesiąc.

Harald wielokrotnie ściągał ją do Londynu jako rzeczoznawcę dla siebie bądź swoich znajomych. Lady Agatha dzieliła jego zainteresowanie sztuką Wschodu i uwielbiała Melanię, którą oboje traktowali jak córkę. Ich synek urodził się dokładnie w czterdzieste urodziny mamusi. Byli bardzo szczęśliwi.

今天

Dzisiaj

Harry zginął w wypadku samochodowym miesiąc temu. Melania pojechała na jego pogrzeb. Odwiedziła starych przyjaciół, a potem wróciła do domu, do Wrocławia. Tu było jej życie.

Popatrzyła na ostatnie zdjęcie w starym albumie. Sylwester dwa tysiące cztery. Zdjęcie zrobiono w chińskim pawilonie domu Haralda. Wywlekli ją wtedy siłą z pokoiku w Soho. Harry, lady Agatha i Monica Merlow. Zabawa była szampańska, ale Melania siedziała w kącie za pięknym lakowym parawanem z czasów dynastii Qing i myślała jedynie o Tanie.

Na tym zdjęciu nie widać jej myśli, a jedynie głupawy uśmiech do obiektywu. Mela jednak pamiętała dokładnie, co wtedy czuła. Ból, zwykły uporczywy ból. Nie opuszczał jej przez wiele lat. Próbowwała go uśmierzyć pracą, nauką. Nie pomagało. Rzuciła się w objęcia mężczyzn, którzy przypominali jej Tana, ale żaden nie był nim. Uciekała po dwóch, trzech randkach. Wiele wysiłku kosztowało ją stworzenie sobie małej, własnej normalności. Od tamtego sylwestra minęło ponad dziesięć lat, a ból cały czas jej nie opuszczał.

Nie można tak żyć. Pojedzie do Pekinu. Spotka się z nim. Nie po to, by go odzyskać, lecz po to, żeby się od niego uwolnić. Musi w końcu zacząć własne życie, a z cieniem Tana w sercu nie było to możliwe.

Zamknęła album. Słońce stało już wysoko na niebie. Pora się ubrać i jechać do pracy. Musi przygotować biuro na swoją nieobecność i zacząć załatwiać formalności wizowe. Jak dobrze pójdzie, za sześć tygodni będzie w Chinach. A za siedem stanie się wolna.

今天

Dzisiaj, Pekin, maj 2015

Pomimo osiemnastogodzinnego lotu Melania nie była zmęczona. Nauczona wcześniejszymi doświadczeniami już od ponad tygodnia stopniowo przygotowywała swój organizm na zmianę czasu. Dlatego bez problemów przespała w samolocie ostatnie parę godzin i teraz, o siódmej rano czasu pekińskiego, była rześka jak skowronek. Długimi ruchomymi chodnikami Beijing Capital International Airport dotarła do bramek kontroli paszportowej, a stamtąd bezpośrednio do stacji metra. Wygodną klimatyzowaną kolejką przewieziono pasażerów do hali głównej lotniska, oddalonej prawie dwadzieścia kilometrów od terminalu międzynarodowego, na który przyleciała. Odebrała swój bagaż i ruszyła w kierunku wyjścia. Zamierzała dojechać autobusem do hotelu, który zarezerwował dla niej Tan, odświeżyć się i spotkać z nim w lobby w południe, tak jak się wstępnie umówili przez telefon.

Przed wyjściem kłębił się tłumek pracowników biur podróży, którzy trzymali w podniesionych dłoniach tabliczki z kolorowymi logo i nazwami firm. Profesjonalni kierowcy, w nieskazitelnych białych koszulach i garniturach, wyciągali w stronę wychodzących kartki ze starannie wypisanymi nazwiskami biznesmenów, na których czekali. Melania obojętnie przebiegła wzrokiem po twarzach ludzi. Tuż przy drzwiach ujrzała znajomy uśmiech doktor Moniki Merlow. Za nią stał Gong Tan Ling. Podeszła do nich zdziwiona i uradowana.

– Monica! – Objęła serdecznie dawną mentorkę i ucałowała ją w oba policzki. – Jak miło znowu cię widzieć. Nic nie mówiłaś, że planujesz wizytę w Pekinie, kiedy się widziałyśmy ostatni raz.

– No widzisz, *darling* – zaśmiała się doktor Merlow. – Takie życie. Wcale nie planowałam wyjazdu do Chin. Siedzę, jak wiesz, w Oksfordzie i dzielnie wtłaczam wiedzę w odporne mózgi studentów, ale kiedy dostałam informację od Tana, nie mogłam się oprzeć.

Słyszac jego imię, Melania automatycznie powędrowała wzrokiem w kierunku ich towarzysza.

– Witaj, Tan – powiedziała cicho i nieznacznie skinęła głową.

– Witaj, Mel Lan, w moim kraju.

Przez chwilę miała wrażenie, że zrobił ruch w jej kierunku, jakby chciał ją uściskać. Jednak nie. Skłonił się również, sztywno, po chińsku, z rezerwą.

– Monica już wraca do Europy. Za godzinę musi iść na odprawę. Kiedy się dowiedziała, że przylatujesz dzisiaj, uparła się, żeby przyjechać wcześniej i jeszcze z tobą się spotkać. Wybacz, że tak niespodziewanie burzymy twoje plany. Nie zapomniałem, że jesteśmy umówieni dopiero za parę godzin. Jeśli jednak uczynisz nam ten zaszczyt i poświęcisz tę godzinę, będziemy ci nieskończenie wdzięczni – wyrecytował grzecznościowe formułki.

– Tan, nie przynudzaj. – Doktor Merlow chwyciła Melę za łokieć i pociągnęła w kierunku pobliskiej kawiarenki.

Tylko dzięki Monice Melanii udało się oderwać wzrok od Tana. To, co mówił, całkowicie jej umknęło. Jego oczy ją zahipnotyzowały; całe ciało ogarnęła dziwna słabość. Żołądek skurczył się i wywijał hołubce gdzieś w okolicy serca, objając się o nie beztrąsko. Dłonie drżały, kolana odmawiały posłuszeństwa i stanowczo nie chciały utrzymać ciała w pionie. Wyglądał tak samo, jak ponad dziesięć lat temu. Nic się nie zmieniło, nadal kochała go tak, jak wtedy. Musi się od niego uwolnić. Jest silna. Wyjaśni sytuację i zakończy to głupie zauroczenie.

– Tak się cieszę, że jeszcze udało mi się złapać cię tutaj. – Monica nieprzerwanie mówiła. – To takie fascynujące i nieoczekiwane. Wzięłam urlop najszybciej, jak to było możliwe, i przyleciałam. Trzy tygodnie minęły jak z bicza strzelił. Będziesz miała radochę, dziewczyno, mówię ci.

Usiadły przy stoliku w kawiarni. Tan poszedł po napoje, a Monica zachwycała się jakimś odkryciem, z przejściem opowiadając o czymś, co Melanii zupełnie nic nie mówiło.

– Moment – przerwała podekscytowanej koleżance. – Monica, takiej cię nie znam. Nadajesz jak podekscytowany podłotek, a ja nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Jak to? – zdziwiła się tamta. – Tan ci nic nie powiedział? To po co przyjechałaś?

Mela popatrzyła na nią wymownie.

– Ups. Ach tak – stropiła się Monica. – Rozumiem. Przepraszam. Myślałam...

Z zakłopotania wybawił je Tan, stawiając przed obiema napoje.

– Tan – zwróciła się do niego doktor Merlow, gdy usiadł przy stoliku. – Właśnie zaczęłam opowiadać Melanii o twoim odkryciu. Nie miałam pojęcia, że ona o niczym nie wie. Byłam pewna, że ściągnęłaś ją na konsultację, jak ci radziłam.

– Nie – odpowiedział spokojnie. – Zaprosiłem Melanię do Pekinu już wcześniej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o tym odkryciu. Myślałem przede wszystkim o tych obiektach z czasów dynastii Ming, a to przecież twoja specjalność, Monica. Dlatego właśnie ciebie prosiłem o ekspertyzę. Ale masz rację, jeśli Mel Lan byłaby zainteresowana, to dlaczego nie, jest jeszcze tyle pracy...

– Moment – przerwała mu Melania. – Czy możecie wyjaśnić mi wszystko od

początku? Jakie odkrycie, jaki projekt, jaka praca?

– Tan znalazł dom, w którym nic się nie zmieniło od roku... hmm, moim zdaniem od czasów wojen opiumowych. Wyobraź sobie, nienaruszone wnętrze przetrwało wojnę chińsko-japońską, Czang Kaj-szeka, rewolucję kulturalną i Mao. Bez żadnych zmian, tam nikt nic nie wyrzucił. Rewelacja! Kiedy Tan po raz pierwszy tam wszedł, prawie natychmiast natknął się na wazy z brązu z okresu Ming. Potem się okazało, że jest tego dużo więcej. Wyobrażasz sobie? Brązowe naczynia z epoki Ming, używane na co dzień jak talerze z Ikei. Jadeitowe antyczne figurki w charakterze przycisków do papieru. I biblioteka, po prostu fantastyczna. Dziesiątki zwojów. Coś wspaniałego. Oczywiście najwięcej jest przedmiotów z osiemnastego i dziewiętnastego wieku, ale także całe mnóstwo naprawdę antycznych drobiazgów dekoracyjnych. Miałam używanie, mówię ci. Ty też będziesz miała, meble są wspaniałe.

– Fenomenalne! – westchnęła Mela. – Koniecznie chcę to zobaczyć. Dziewiętnastowieczne meble? Moja działka. Tan, będziecie to sprzedawać?

– Pewnie tak. – Kiwnął głową. – Najpierw jednak trzeba wszystko porządnie skatalogować i wycenić. Ten dom przez tyle lat ukrywał swoje tajemnice. Rzadko się zdarza coś takiego. Już jakiś czas staramy się o renowację tej dzielnicy. Przylega do Zakazanego Miasta od strony Bramy Północnej. Stare zniszczone domy są sprzedawane bogatym inwestorom pod warunkiem, że nabywcy wykonają kapitalny remont, ale pod okiem konserwatora zabytków. Parę takich inwestycji już nawet nadzorowałam. Do tej pory jednak w żadnym budynku nie znaleźliśmy tak doskonale zachowanego wyposażenia. Większość zamieszkiwało wcześniej parę rodzin, którym teraz przydzielono mieszkania w nowoczesnych blokach. Wyobrażacie sobie, co po tych lokatorach zostało...

– Pokażesz mi ten dom, Tan? – zapytała Mela. – Jeśli będzie tam coś, co można wywieźć, chętnie kupię.

– Oczywiście, że ci pokażę – odrzekł z uśmiechem. – Wcześniej byłem zajęty czym innym i nie pomyślałem o tym, ale jeśli jesteś zainteresowana, możemy ci zlecić ekspertyzę mebli. Jeszcze nikogo nie zatrudniłem, a twoja sława w tej dziedzinie dotarła nawet do Pekinu. Myślę, że moi przełożeni będą zachwyceni taką możliwością. Chcesz?

– Żartujesz? Oczywiście, że chcę, marzę o tym. Zgadzam się nawet pracować bez honorarium. Tylko pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Dostanę prawo pierwokupu. Możecie sprawdzić moje wyceny u innych rzeczoznawców, ale żadnych aukcji, żadnych handelków na boku. Wszystko, co wybiorę, a wywóz będzie możliwy, jest moje. Zgoda?

– Nie wiem – odrzekł ostrożnie. – Nie mogę sam podjąć takiej decyzji, ale myślę, że to dobry plan. Chociaż czy nie byłoby lepiej dla ciebie, żebyś potraktowała to jako

normalne zlecenie? Będiesz miała pewny zarobek. Oczywiście pracujesz na zlecenie ministerstwa, więc pokrywamy koszty pobytu, ale co będzie, jeśli nie znajdziesz nic, co by się nadawało do wywozu?

– Będę pracowała dla przyjemności; i tak mam urlop – odparła krótko Mela.

Następne pół godziny wypełnił im monolog Moniki, która z pasją opowiadała o swoich znaleziskach. Potem odprowadzili ją do hali odpraw i Tan odwiózł Melanię do hotelu. Musiał wracać do pracy, więc dalsze rozmowy przełożyli na wieczór.

Zaprosił ją na kolację do nowoczesnej restauracji nieopodal dzielnicy rządowej. Oboje byli wobec siebie uprzedzająco grzeczni. Gawędzili o wszystkim i o niczym. Powoli rozmowa zeszała na sprawy zawodowe, jak to bywa, gdy spotka się dwoje pasjonatów. Ta tematyka rozluźniła nieco sztywną atmosferę. Przy słodkim winie śliwkowym Melania postanowiła wziąć byka za rogi.

– Dobrze się składa, Tan, że potrzebujesz mojej profesjonalnej opinii do nowego projektu. Możemy jeszcze godzinami rozmawiać o wyższości malowideł starych mistrzów nad osiemnastowiecznym malarstwem, ale oboje wiemy, że nie po to przyjechałam. – Przerwała.

Tan pochylił głowę i milczał.

– Wiem, że na bazie zawodowej jesteśmy dobrymi kolegami. Kiedyś jednak byliśmy dla siebie kimś więcej. Nie obawiaj się, wiem, że to nie wróci. Chcę tylko wyjaśnić tamtą sprawę. Po to, żebyśmy oboje mogli wreszcie zamknąć ów rozdział naszej historii. Wyjechałeś, nie dając mi żadnej szansy na wytłumaczenie. Nie chciałeś żadnych kontaktów między nami. A teraz, nagle, po dziesięciu latach, odzywasz się, jakby nic się nie stało. Jesteś mi winien tę rozmowę, wiesz o tym.

– Wiem – wyszeptał. – Mel Lan, nie musisz mi niczego wyjaśniać. Nie jesteś mi nic winna. Zachowałem się impulsywnie i dziecinnie. Widziałem, co widziałem, i zinterpretowałem to w najprostszy sposób. Zawsze miałaś i masz prawo do własnych wyborów, własnego życia. Zrozum tylko jedno, ja do tego życia nie pasowałem. Tak naprawdę wychowała mnie babcia. Znasz historię mojego kraju i nasze tradycje. Jeden mężczyzna, wiele kobiet. To dla nas oczywiste i dopuszczalne, na takich podstawach opiera się nasza tradycja. Jedna kobieta i wielu mężczyzn? Tak, w domach kwiatów, ale tylko tam. Ja, moja droga, nie nadaję się na tego drugiego mężczyznę. Masz rację, byłem zazdrosny, lecz czy tak trudno to zrozumieć? W moich żyłach płynie chińska krew, europejska wolność seksualna, wasze standardy i normy moralne zawsze będą dla mnie obce. Wybacz, że uciekłem. Nie skrzywdziłem cię, Mel Lan, dałem ci wolność, prawo do życia na twój własny, europejski sposób. Nie musisz niczego tłumaczyć, nie musimy niczego zamykać. Wtedy, w Londynie, wydawało mi się, że znalazłem w tobie miłość mojego życia. Nie doceniałem siły własnych korzeni, schedy po przodkach. Myślałem, że jesteś moją bratnią duszą, moim dopełnieniem. Wiesz, jak jin i jang. Jestem Chińczykiem, Mel Lan, za bardzo się różnimy od siebie, nasze kultury

są obce. Myliłem się. Owszem, zareagowałem gwałtownie i brutalnie. Za to cię stokrotnie przepraszam. Mogę błagać o wybaczenie na kolanach, bijąc czołem o podłogę. Dziś jednak wiem, że to była dobra decyzja. Jesteśmy inni, Mel Lan, to by się nigdy nie udało.

– Tan – Melania spojrzała mu głęboko w oczy – ja naprawdę cię kochałam. Byłeś jedynym mężczyzną w moim życiu, który się liczył.

– Nie, Mel – przerwał jej. – Nie byłem jedyny i to właśnie okazało się dla mnie problemem nie do przejścia. Kochałem cię i kocham nadal. Myślę, że nigdy nie przestanę cię kochać. Jednak miłość nie wystarczy, ludzi musi łączyć coś więcej, wspólna tradycja, kultura i zwyczaje. Nie potrafię się tobą dzielić. Dlatego musiałem odejść.

– Przestań opowiadać bzdury – zirytowała się. – Nigdy z nikim nie musiałeś się mną dzielić. Po to tutaj przyjechałam. Po to, żeby ci wreszcie wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło. Nie zamierzam się tłumaczyć ani przepraszać. Miałam zostać twoją żoną. Doskonale wiedziałam, co to oznacza. Podjęłam decyzję, że porzucę swój kraj, porzucę Europę, aby pójść za tobą. Myślisz, że nie zdawałam sobie sprawy, iż przeprowadzka do Pekinu i wyjście za mąż za Chińczyka wywróca moje życie do góry nogami? Byłam na to gotowa, dla ciebie byłam gotowa się nauczyć, jak stać się dobrą chińską żoną. Chciałam poznać twoją kulturę, twoje tradycje i twoją rodzinę. Mówisz, że miłość nie wystarczy? Mnie by wystarczyła, byłam na to gotowa. A ty, jak skończony głupiec, jak obrażona primadonna, rzuciłeś mnie bez słowa.

– Mel Lan – westchnął ciężko – nie przesadzaj, odgrywasz skrzywdzoną niewinność i próbujesz oskarżać mnie. Zapomniałaś już, jak to było? Uparłaś się, by pracować w ostatnią noc przed moim wyjazdem. Wiedziałaś, że nie cierpię tej twojej tak zwanej pracy, mimo to pojechałaś tam. A kiedy pojechałem za tobą, żeby ci przywieźć telefon, którego zapomniałaś, zobaczyłem, jak obściskowałaś się z Haraldem Fitz-Jamesem. Nawet kiedy jeszcze byliśmy razem, on zawsze był dla ciebie ważniejszy. Zapewniałaś, że to tylko praca, a ja cię kochałem i ci ufałem. No i zobaczyłem na własne oczy, jak ta praca wygląda. Moja narzeczona, półnaga, pijana, całowała się publicznie z innym mężczyzną. Zamierzałaś jeszcze sobie poużywać życia, zanim dobrowolnie zamkniesz się w chińskim więzieniu jako żona Chińczyka?

– To, co mówisz, jest podłe – odrzekła ze smutkiem. – Mogłeś to tak odebrać, owszem. Ale taka interpretacja świadczy o jednym, Tan. Ty w ogóle mi nie ufałeś. Teraz mi nie przerywaj, tylko słuchaj. Pojechałam do Platinum, bo zawsze byłam lojalna i odpowiedzialna. Przez cztery lata dzięki temu klubowi mogłam związać koniec z końcem. Jedynie dlatego, że podczas wakacji tam pracowałam, udało mi się skończyć studia i nie umrzeć z głodu. Kiedy się okazało, że tej nocy potrzebują mnie w klubie, postąpiłam tak, jak każdy przyzwoity pracownik by postąpił. Pojechałam im pomóc. Poświęciłam siebie, swoje prywatne sprawy, żeby pomóc ludziom, którzy

wcześniej wielokrotnie mi pomagali. To się nazywa lojalność. Potem ktoś wylał na mnie drinka, musiałam się przebrać w coś czystego, a ta wydekoltowana sukienka była akurat pod ręką. Nie byłam półnaga, tylko ubrana w sukienkę tancerki, bo nie miałam nic innego, co mogłabym włożyć. Z własnej woli nigdy tak się nie ubierałam, to nie mój styl.

A z Haraldem wcale się nie obściskiwałam. Dziękowałam mu. Byłam absolutnie trzeźwa, przecież ja tam pracowałam. Rzuciłam mu się na szyję, żeby podziękować. Nikt nigdy tyle dla mnie nie zrobił, co on. Dzięki niemu dostałam praktykę w Christie's, dzięki niemu uzyskałam szansę sukcesu zawodowego, jaki nikomu z mojego kraju nawet się nie śnił, dzięki niemu zarobiłam pierwszą prowizję od transakcji sprzedaży chińskich dzieł sztuki. Dzięki niemu i jego wsparciu zawodowo jestem tym, kim jestem. Właśnie tego wieczoru przyniósł mi wiadomość, że zostałam certyfikowanym rzeczoznawcą Christie's Education. Nigdy nic ode mnie nie chciał. Nigdy nie łączyło nas nic więcej poza bezinteresowną przyjaźnią. Ja mu wtedy po prostu dziękowałam. To się nazywa wdzięczność. Tak. Lojalność i wdzięczność. Czy to takie obce chińskiej kulturze? Tego nie potrafiłeś zrozumieć?

– Mel Lan, ja cię nie atakuję ani nie krytykuję. Pomyśl, jak to wszystko dla mnie wtedy wyglądało. Nieważne, jaka była prawda. Wtedy nie miała ona dla mnie znaczenia, rozumiesz?

– Nie, Tan, nie rozumiem – odparła z goryczą. – Nie rozumiem, bo ja ciebie kochałam, ufałam ci.

– To nie ma sensu, ta rozmowa do niczego nie prowadzi – stwierdził.

– Masz rację, ale dobrze, że do niej doszło. Przyjechałam tu, żeby wreszcie ci wszystko powiedzieć. Wyjaśnić stare sprawy, do końca, do samego dna. Potrzebowałam tego, żeby móc w końcu zamknąć przeszłość. A możesz mi powiedzieć, czego ty oczekiwałeś po naszym spotkaniu?

– Niczego – oświadczył ponuro.

– Aha, niczego. Dzwonisz do mnie po tylu latach, ściągasz mnie do Pekinu i niczego nie oczekujesz?

– Sam nie wiem czego. Wiesz, dowiedziałem się o śmierci Haralda. Świat jest mały, wiedziałem, że nie wyszłaś za mąż. Wiedziałem, że nie jesteś z nikim na stałe związana. Ludzie gadają, nasze środowisko, krąg historyków sztuki, jest tak naprawdę bardzo małe. Teraz, kiedy on umarł... No cóż, wychodziłem z błędnego założenia, jak się okazuje, że Harald... że to przez niego... – Machnął ręką. – Nie chcę o tym rozmawiać. Skończmy z tym, proszę. Zamknąć drzwi, mówisz? Dobrze, zamknijmy wszystkie drzwi. Może tak będzie lepiej.

Melania w milczeniu przesuwiała palcem po brzegu kieliszka. Nie patrzyła Tanowi w twarz. Wiedziała, że jeśli na niego spojrzy, to się rozpłacze. Można wiele rzeczy wyjaśnić, dużo zrozumieć, ale umysł nie potrafi rozkazywać sercu. Siedział teraz tutaj,

a ona przez tyle lat tak rozpaczliwie za nim tęskniła. Ma to, czego chciała, zamknęła drzwi. Teraz powinna się cieszyć, czuć ulgę. Tylko że ta cholerna radość jakoś nie przychodziła.

– Rozmawiałem dzisiaj z moimi przełożonymi. – Tan zmienił temat. – Ministerstwo będzie zaszczycone, jeśli podejmiesz się ekspertyzy mebli, z chęcią widzieliby nas oboje jako kuratorów tego obiektu. Jeśli nadal jesteś zainteresowana, od poniedziałku możesz zacząć pracę. Twoje warunki zostały zaakceptowane, umowa będzie czekać w moim biurze. Zostaniesz?

– Nie wiem. – Melania wzruszyła ramionami. – Pewnie tak. Planowałam tygodniowy pobyt w Chinach, ale z tego, co opowiadaliście z Monicą, należy przypuszczać, że to może zająć trochę więcej czasu. Podejmę ostateczną decyzję, jak zobaczę obiekt. Zamknąłeś inwentaryzację?

– Wstępna tak. Teraz musimy wszystko katalogować i wyceniać. Monice trzy tygodnie zajęła dynastia Ming. Tobie pewnie będzie potrzeba trochę więcej czasu. Tego jest dość dużo.

– Zobaczymy. Jeśli się zdecyduję, pomożecie mi z przedłużeniem wizy i tak dalej?

– Oczywiście. – Powrócił uprzejmy, sztywny Gong Tan Ling.

– Dobrze, to umówmy się na poniedziałek.

– W poniedziałek o ósmej, w Ministerstwie Kultury? Odpowiada ci?

– Odpowiada. Wobec tego, proszę, zapłaćmy i wracam do hotelu. – Melania zaczęła grzebać w swojej dużej torebce, szukając portfela.

– Zostaw, Mel, ja zapłacę – powiedział Tan.

– Nie ma potrzeby. Radzę sobie ze swoimi finansami, to nie czasy studiów.

– Jesteś oficjalnie gościem ministerstwa. Od przyjazdu do momentu podpisania umowy wszystkie wydatki są kosztami wstępnymi negocjacji z rzeczoznawcą. Kierowcę i asystenta przydzielę ci po podpisaniu umowy, tymczasem do poniedziałku zobowiązałem się zaopiekować tobą osobiście.

– Dziękuję – wycedziła cynicznie. – Przykro mi, że zepsułam ci plany na weekend.

– Nie bądź złośliwa, Mel. Nigdy się nie kłóciliśmy i miejmy nadzieję, że teraz też nie będziemy. Zaplanowałam sobie na twój przyjazd dużo wolnego czasu. Właściwie to zamierzałam cię na jutro zaprosić do mojego domu, mieszkam z babcią, bo rodzice już parę lat temu zdecydowali się przeprowadzić na wieś, skąd pochodzi moja mama. Przy okazji chciałam ci pokazać parę rzeczy, ale teraz nie wiem... – Spojrzał na nią niepewnie. – Masz jakieś plany na jutro? Twój przyjazd do Pekinu tak nagle i niespodziewanie zmienia się z wizyty prywatnej w służbową, że już sam nie wiem. Pewnie nie masz ochoty poznać mojej rodziny?

– To chyba nie jest najlepszy pomysł. Spotkamy się w poniedziałek.

– Jak sobie życzysz. Odebrać cię rano z hotelu?

– Nie ma takiej potrzeby. Sama trafię do ministerstwa.

- Dobrze.
- Dobrze.

* * *

W niedzielę Melania wybrała się na spacer do Świątyni Niebios. Ten wspaniały kompleks sakralnych budowli, wzniesiony przez budowniczych cesarza Yongle, tego samego, który przyczynił się również do powstania Zakazanego Miasta, uważa się za świątynię taoistyczną. Nie do końca jest to prawda, gdyż chińska koncepcja Tian, czyli Nieba, pojawiła się na długo przed powstaniem taoizmu. Tian w tradycyjnych chińskich wierzeniach jest bogiem, stwórcą wszechrzeczy, a także siedzibą bogów i ojcem cesarzy. Ci, jako synowie Nieba, mieli nieograniczoną władzę, sami bowiem byli postrzegani prawie jak bogowie. Jedynie ich modły miały szansę dotrzeć do Nieba i być wysłuchane. Całe stulecia cesarze dynastii Qing i Ming właśnie tutaj modlili się o pomyślne plony.

Mela już parokrotnie odwiedzała Pekin. Zakazane Miasto знаła prawie tak dobrze, jak uliczki wrocławskiego Rynku. Tutaj, w Tian Tan, była jednak tylko raz. Zachwyciła ją monumentalna budowla, lecz na dokładniejsze zwiedzenie kompleksu jakoś dotąd nie miała czasu.

Teraz wędrowała oczarowana po parku, przeciskała się między tłumami turystów, wędrując zadaszonym chodnikiem, po którym niegdyś stąpali eunuchowie, niosący cesarza w palankinie na doroczne modły. Podziwiała bajecznie kolorowe rzeźby na filarach i sufitach zadaszenia. Przysiadła na murku obok kilku staruszek grających w karty. Nieco dalej młody chłopak rozgrywał partię madžonga z długowłosym i długobrodym, siwym, drobnym staruszkim. Otaczało ich paru kibiców.

Z oddali dobiegły dźwięki muzyki i Mela podążyła w tym kierunku. Mniej więcej w połowie długiego traktu, w niewielkim amfiteatrze pod gołym niebem śpiewała dwudziestoparosobowa grupa Chińczyków. Dyrygent wymachiwał batutą, pod ścianą paru muzyków uderzało rytmicznie w bębny. Coś wspaniałego. To nie był profesjonalny, zorganizowany koncert, ci ludzie spotkali się tutaj, żeby razem spędzić niedzielę. Wspólne śpiewy były całkowicie spontaniczne.

Posłuchała chwilę i poszła dalej w kierunku centralnego placu kompleksu. Już z daleka widziała świątynię, górującą nad całym olbrzymim parkiem. Na trawniku, przed schodami prowadzącymi do budowli, kolejna grupa ludzi ćwiczyła tai-chi. Ten rodzaj gimnastyki zawsze robił na Melanii duże wrażenie. Nie lubiła sportu, od czasu do czasu jeździła na rowerze, choć odkąd kupiła samochód, coraz rzadziej jej się to zdarzało. Modne ostatnio aerobiki i tym podobne ćwiczenia konsekwentnie ignorowała.

Jednak tai-chi jakoś do niej przemawiało. Nie wiedziała, czy fascynuje ją harmonia ruchów, czy towarzyszące im medytacja i spokój, czy też może fakt, że uczestnicy tych zajęć funkcjonowali jak jeden spójny organizm. Harmonia, spokój, współpraca i szacunek. To wszystko widziała, obserwując poruszające się jednocześnie ciała. Ustawiła się w ostatnim rzędzie. Naśladując ruchy tych przed sobą, próbowała nie popsuć kompozycji. Prowadzący zauważył ją, uśmiechnął się szeroko, podszedł i poprawił położenie jej kolana. Potem wrócił na swoje miejsce, by zademonstrować grupie, stojącej przez ten czas nieruchomo, kolejną pozycję. Nikt jej nie przegonił, nikt nie krytykował. Ćwiczący uśmiechali się i z akceptacją kiwali głowami. A przecież była tu obca.

Już wiele razy obserwowała takie sytuacje w Chinach. Nie tylko tu, w Pekinie, w niedzielne popołudnie w parku. Tak było wszędzie. Podczas służbowych podróży odwiedzała wcześniej Szanghaj, Xian, Wuhan. Wszędzie widziała to samo. Chińczycy byli spokojniejsi, może bardziej wyciszeni niż ludzie Zachodu. Wolne chwile, popołudnia i niedziele spędzali w gronie rodziny i przyjaciół w parkach, na ulicach, w restauracjach. Byli razem i potrafili wspaniale się cieszyć tą wspólnotą. Wydawało jej się, że to wszystko nie ma żadnego celu, jest tylko przyjemnością dla samej przyjemności.

Długo nie mogła pojąć tej specyficznej filozofii narodów Azji. Ludzie wychowani w Europie jeśli coś robią, to muszą mieć cel. Wyznaczony początek i koniec. Kiedy idziemy na spacer, to wiadomo, że trzeba dojść z punktu A do punktu B. Realizujemy swój zamysł, rejestrując czasem po drodze, że grupa krzewów na prawo jest śliczna. A wtedy ewentualnie przystajemy i robimy zdjęcie owej grupie krzewów. Nie analizujemy jej, nie podziwiamy urody, nie zastanawiamy się nad jej losem, ulotnością chwili i jej przemijaniem. Rejestrujemy, dokumentujemy, realizujemy cel i załatwione.

Oni, Chińczycy, żyli jakoś inaczej. Bardziej razem, wolniej i spokojniej, jednak intensywniej. Melania, która wcześniej straciła matkę, swoją jedyną krewną, zachwycała się siłą więzi rodzinnych tych ludzi. Rodziny trzymały się razem.

Naczelna zasada chińskiej tradycji i kultury mówi, że rodzicom należy się największy szacunek. To nie jest tylko banalne gadanie czy też slogan. Większość Chińczyków, których Mela poznała, miała ten obowiązek we krwi. I nie chodziło o jakiś nakaz czy też ustanowione i narzucone przez innych prawo. To był zakorzeniony wewnętrzny przymus u każdego z nich. W nowych Chinach pojawiały się tendencje, aby młode rodziny żyły osobno, miały własne, samodzielne, nowoczesne mieszkania. Takich rodzin też było sporo, jednak większość ludzi, których Mela знаła, mieszkała w jednym domu z rodzicami, dziadkami, a niekiedy nawet pradziadkami. Babcie opiekowały się dziećmi i dbały o dom. Żyły otoczone szacunkiem i miłością młodych. W takich rodzinach do wieczornego posiłku czasem siadało kilkanaście osób. Melania zazdrościła im tego całym sercem.

Najlepiej odzwierciedla tę najwyraźniejszą różnicę między naszymi kulturami chińskie powiedzenie: „Europejczyk je, żeby żyć, Chińczyk żyje, żeby jeść”. Jeśli nie próbuje się traktować tych słów dosłownie, to można dojść do interesujących wniosków. Zadajmy sobie pytanie, jakie jest nasze życie. Biegniemy przed siebie jak chomik w kołowrotku, pracujemy ciężko tylko po to, aby gromadzić rzeczy, coraz więcej i coraz lepszych. Mamy po to, żeby mieć, ale czy potrafimy tak naprawdę cieszyć się tym, co mamy, podziwiać to?

Melania знаła swoje miejsce. Wiedziała doskonale, kim jest i gdzie żyje. Postępowała zgodnie z regułami swojego miejsca na świecie. Zarabiała pieniądze, robiła karierę, żyła. Jednak za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do Azji, z pewną zazdrością patrzyła na chińskie staruszki, siedzące na składanych krzeselkach przed domem i grające w karty. Teoretycznie miała dużo więcej niż one. Tak naprawdę jednak zastanawiała się czasami, czyby się z nimi nie zamieniła.

Schodami dotarła do centralnego placu. Przed nią aż po niebo wznosił się Pawilon Modlitwy o Urodzaj, główny budynek kompleksu. Tłumy, które kłębiły się pod zadaszonym chodnikiem, nagle zniknęły, wtopiły się w nierealnie wielką powierzchnię placu. To zawsze zaskakiwało Melanię podczas zwiedzania zabytkowych chińskich budowli. Rozległe, olbrzymie przestrzenie. Wszystko było takie wielkie, tak monumentalne. Masy ludzkie ginęły w tych przestrzeniach. Na placu musiało się znajdować w tej chwili minimum kilka tysięcy ludzi. Nie było jednak ich widać, nie było tłumu, ścisku. No, może jedynie przy szeroko otwartych drzwiach świątyni zgromadziło się więcej zwiedzających. Nie wolno wchodzić do środka, można jedynie tam zajrzeć przez otwarte drzwi. A było co podziwiać.

Pawilon Modlitwy o Urodzaj został wykonany w całości z drewna. Przy jego budowie nie używano gwoździ, co stanowi nie lada dokonanie, gdy zdamy sobie sprawę z jego rozmiarów. Ta spektakularna okrągła budowla ma ponad trzydzieści metrów średnicy i prawie czterdzieści wysokości. Potrójne dachy są pokryte błękitnymi dachówkami, symbolizującymi niebo. Złote ornamenty błyszczą w intensywnym świetle słońca.

Wewnątrz dominuje czerwień i złoto, a intensywne szafirowoniebieskie i zielone zdobienia belek wywołują niezapomniane wrażenie egzotycznego przepychu. Sklepienie podparte jest bogato zdobionymi kolumnami, a z czterech stron świata wznoszą się cztery olbrzymie smocze kolumny, symbol czterech pór roku. Zarówno sufit, jak i ściany oraz wszystkie elementy konstrukcyjne pokryte są barwnymi złożonymi malowidłami. Wiele z nich powtarza motyw smoka, symbol cesarski.

Melania docisnęła się do samej barierki przy wejściu i w niemym zachwycie przez chwilę podziwiała ogrom i bogactwo świątyni. Potem wycofała się z tłumu i ruszyła powoli alejkami parku położonego na obszarze prawie trzech kilometrów kwadratowych.

Obejrzała pozostałe budowle kompleksu, nieco mniejsze od Pawilonu Modlitwy o Urodzaj, ale podobne konstrukcyjnie Cesarskie Sklepienie Nieba, żałując, że nie ma z nią nikogo, z kim mogłaby sprawdzić właściwości słynnej Ściany Szeptów. Ponoć słowa wyszeptane na jednym końcu tej łukowatej ściany, przed budynkiem doskonale słyhać na jej drugim końcu. No tak, ale do tego trzeba dwojga. Nie było tu jednak nikogo, kto chciałby słuhać szeptu Melanii.

Stamtąd ruszyła na południe, aż do Okrągłego Ołtarza. Podziwiała architekturę tego najświętszego miejsca kompleksu. Znała historię owej budowli, wiedziała, jak ważna była ona dla cesarskich Chin. Prawie każdy element konstrukcji był wielokrotnością liczby dziewięć, zarezerwowanej jedynie dla cesarza. Jedynie cesarz miał prawo składać tutaj ofiary. Cesarz Chin, Syn Niebios, pośrednik między niebem a ziemią. Ten ołtarz był niegdyś uznawany przez Chińczyków za centrum świata.

Niebo i ziemia, dumiała Melania. Jin i jang. Kobieta i mężczyzna. W chińskiej filozofii należą do siebie, uzupełniają się i dopełniają. Są sobie przeznaczeni, tworzą jedność. Dwie odrębne istoty, którym jest przeznaczone współistnieć. Czy ona, Mela, też znajdzie kiedyś swoje niebo, czy gdzieś chodzi po świecie mężczyzna, który jest jej dopełnieniem?

Siedziała na trawniku przed ogrodem różanym prawie do zamknięcia kompleksu. Potem wróciła do hotelu. W lobby czekała na nią informacja, że kierowca z ministerstwa będzie do jej dyspozycji od siódmej trzydzieści rano. To miłe, pomyślała, typowo chińskie, bardzo uprzejme i miłe, chociaż zbyteczne.

* * *

W poniedziałek rano klimatyzowany samochód zabrał ją do Ministerstwa Kultury. Tam została zaprowadzona do gabinetu Tana. Okazało się, że przez te wszystkie lata nie zasypiał gruszek w popiele. Jak na tak młodego człowieka jego stanowisko robiło wrażenie. Przygotowana do podpisu umowa, opatrzona urzędowymi pieczęciami, gwarantowała Meli prawo pierwokupu obiektów przeznaczonych na eksport. Czas pracy Melanii określono na sześć tygodni, w umowie gwarantowano także pokrycie wszelkich kosztów pobytu, oferowano do dyspozycji kierowcę z samochodem i trójkę asystentów, pracowników ministerstwa, historyków sztuki.

– Świetnie – uznała, przeczytawszy uważnie cały dokument. – Nie mam żadnych uwag. Jeśli to możliwe, chciałabym najpierw zobaczyć ten dom. Wolalabym nie zobowiązywać się do dotrzymania określonych terminów, dopóki nie wiem, co tam jest. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, spróbowałabym sama wstępnie oszacować, ile czasu zajmie mi ta ekspertyza i czy w ogóle potrzebuję asystentów. Ja zazwyczaj pracuję sama.

– Oczywiście, możemy tam natychmiast jechać – zgodził się Tan. – Asystentów proponujemy ci raczej jako pomocników do przenoszenia cięższych przedmiotów, a nie jako konsultantów. Nie tylko w Europie wszyscy wiedzą, że pracujesz sama. – Uśmiechnął się do niej. – Myślę, że najlepiej będzie, jak się tam przespacerujemy lub weźmiemy riksę. Trudno dojechać do tego miejsca samochodem i trwałoby to w nieskończoność. Zaparkować też nie ma gdzie. Co ty na to?

– Zgoda.

W niespełna dwadzieścia minut dojechali riksą do Beixinqiao. W Pekinie niewiele już było takich miejsc. Większość hutongów, bo tak się nazywają wąskie, stare uliczki z parterowymi domami, pozostałe po starej zabudowie miejskiej Pekinu, wyburzono podczas przygotowań do igrzysk olimpijskich w dwa tysiące ósmym roku. Zastąpiły je nowe budynki, zdaniem Melanii, wcale nie ładniejsze.

Podeszli do typowego parterowego domu z czasów cesarstwa. Do północnej bramy Zakazanego Miasta szło się stąd zaledwie kilkanaście minut. Budynek był w ruinie. Pobrudzona cementem szeroka deska, oparta chybotliwie na dwóch zrujnowanych stopniach, prowadziła do drzwi wejściowych. Pod ścianami z odpryskującym brudnym tynkiem leżały najróżniejsze śmieci, szmaty, połamane meble, kawałki drewna i odpadki. Dwa otwory okienne zostały zabite deskami. Typowy wysoki próg był wyszczerbiony i spróchniały.

Takie progi, charakterystyczne dla dawnego chińskiego budownictwa, można zobaczyć w większości wejść do tutejszych starych domów. Chińczycy wierzyli, że wysoki próg chroni ich siedzibę przed złem i demonami. Demony bowiem, jak powszechnie wiadomo, nie mają stawów kolanowych, dlatego nie są w stanie zgiąć nóg i podnieść ich wystarczająco wysoko, aby przekroczyć próg.

Nad bramą wejściową, tuż pod popękany daszkiem z szarej dachówki, widoczne były resztki czterech wystających gwiazdzistych guzów. Melania wiedziała, co one oznaczają – w czasach cesarstwa mieszkał tu wyższy rangą urzędnik dynastii mandżurskiej.

Dynastia Qing, która panowała prawie trzysta lat w Chinach, zabraniała związków między Mandżurami a Hanami, czyli rdzennymi Chińczykami. Nie tylko mieszane małżeństwa zostały wówczas zakazane, również północna część miasta wewnętrznego była zarezerwowana jedynie dla Mandżurów i Mongołów. A zatem dom musiał należeć do Mandżura, Melania nie mogła jednak pojąć, jak to się stało, że wewnątrz tej ruiny udało się uchronić przed pogromem. Wprawdzie u schyłku rządów dynastii Qing zniesiono wiele ograniczeń, które dyskryminowały Hanów, jednak kiedy mandżurska dynastia upadła, zemsta nowych władców dotknęła nie tylko ludzi, lecz również wszelkie doczesne ślady ich istnienia.

– Witaj w moim nowym domu, Mel Lan – powiedział zduszonym głosem Tan.

– Jak to, twoim? – zdziwiła się. – To nie jest nasz obiekt? Miałeś mi pokazać

wnętrze, w którym są meble do wyceny.

– To tutaj. – Skinął głową. – Dostałem go w nagrodę za moje osiągnięcia. Mogłem sobie wybrać nagrodę pieniężną, ale wolałem ten dom. Moi rodzice są szczęśliwi na wsi, odwiedzają mnie dwa razy w roku w Pekinie. Ja mieszkam teraz z babcią w naszym starym domu. To niedaleko stąd, parę ulic, ale tamte budynki niedługo będą wyburzane, więc kiedy się okazało, że z dawnych hutongów w tej okolicy zostanie tylko ten niewielki fragment, to poprosiłem o ten dom. Wiesz, moja babcia nie jest już młoda. Całe swoje życie spędziła w hutongach. Nie chcę jej zmuszać do zamieszkania w bloku. Tu jest jej mała ojczyzna. Nie przesadza się starych drzew. Mogłem oczywiście dostać nowoczesne mieszkanie w dowolnej dzielnicy sypialnianej Pekinu. Ale nie chciałem. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała miękko.

Naprawdę go rozumiała. To był jej dawny Tan, ten sam, dobry, chętny do pomocy i wrażliwy Tan. Wtedy, w Londynie, właśnie te cechy ją w nim zachwyciły. Jego przywiązanie i ogromny szacunek do najbliższych, troska o ich dobro. Nauka i praca stały się jego pasją, ale największą motywacją dlań było to, że stanowił dumę swojej rodziny.

– Doskonale cię rozumiem, Tan. Powiedz mi jednak, jak to się stało, że w ogóle trafiłeś na ten dom? Z tego, co wiem, śródmieście Pekinu z czasem i tak ma zostać przekształcone w centrum handlowo-biznesowe. Wyburza się nawet osiedla z lat siedemdziesiątych, żeby stawiać na ich miejscu biurowce. Chiny planują swoje inwestycje z dużym wyprzedzeniem. Tutaj, w zabytkowym centrum miasta, ponoć mają pozostać jedynie zabytkowe skanseny. To przecież nie będzie dzielnica mieszkaniowa?

– Masz rację. – Wzruszył ramionami. – Te niewielkie pozostawione części starych hutongów będą przekształcane w hoteliki i restauracje. Pewnie nikt nie wpadnie na pomysł, żeby tu mieszkać na stałe. Moi koledzy byli pewni, że się uparłem na ten dom, żeby zainwestować i otworzyć jakiś lukratywny interes. Może, kiedyś, z czasem. Nie wiem. Na pewno nie zrobię tego tak długo, jak długo żyć będzie moja babcia. Jest naprawdę wspaniała. Bardzo bym chciał, żebyś ją poznała.

– No dobrze, ale jak ci się udało znaleźć ten dom? – Melania zmieniła temat.

Też by chciała poznać jego babcię, rodziców, całą rodzinę. Powinna była ich poznać dziesięć lat temu, tamtej wiosny, gdy miała przyjechać do Pekinu jako narzeczona Tana. Nie dziś. Teraz nie prowadziłyby to do niczego. Ten rozdział ich historii został już zamknięty, obecnie trzeba zbudować racjonalną namiastkę spokojnej przyjaźni, która umożliwi im chociaż wspólną pracę.

– W takiej lokalizacji, w ścisłym centrum, w zabytkowej dzielnicy. Takie domy to prawdziwe perełki. Jak ci się to udało?

– Ach, nie zgadniesz. – Tan się roześmiał. – To był niesamowity zbieg okoliczności. Mój kolega pracuje w biurze ewidencji ludności. Opowiedział mi o tym niesamowitym

przypadku, jak to się opowiada o różnych zaskakujących sytuacjach z pracy. W tym domu w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku mieszkała duża rodzina, dlatego nikogo tu nie dokwaterowano. Wiesz, kiedyś przysługiwała określona liczba metrów kwadratowych na osobę, ale wtedy żyło tu naprawdę dużo ludzi. Potem, z czasem, dzieci się wyprowadzały do bloków z bieżącą wodą i łazienkami, starsi wymierali, mieszkańcy się wykruszali. Nie wiem, jak to się stało, że mimo wszystko dom pozostał w tych samych rękach. Moi podwładni grzebią w archiwach, szukając śladów jego historii. Na razie wiem tylko to, w jaki sposób się okazało, że stoi pusty.

Stali na schodach przed obskurnym wejściem do budynku. Tan patrzył na tę ruinę tak, jakby to był co najmniej Pałac Letni. Z podziwem i szacunkiem.

– Otóż parę ulic dalej mieszka starsza kobieta, która od wielu lat opiekowała się właścicielem tego domu – opowiadał. – Był jedynym mieszkańcem, wyobraź sobie. To prosta kobiecina, która za drobną opłatą przychodziła do niego codziennie gotować i sprzątać, i wyobraź sobie, ubzduriała sobie, że za te wszystkie lata posługi zasłużyła na nagrodę w postaci małżeństwa. A ten gość umarł normalnie, ze starości, zupełnie sam. Kandydatka do małżeństwa znalazła go martwego w łóżku i postanowiła związek skonsumować, a właściwie zalegalizować. Pozbierała swoje manatki, wprowadziła się tutaj, a następnie zawiadomiła władze, że małżonek wziął i zszedł, a ona go zamierza pochować. A urząd ma wpisać jej nazwisko jako głównego lokatora, żeby formalnościom stało się zadość. Władze stanęły jednak na wysokości zadania i zaczęły grzebać. No i dogrzebały się, że domniemana małżonka jest sąsiadką, co prawda wdową, ale za to obdarzoną liczną rodziną, która mieszka sobie dwie ulice dalej i nie ma bladego pojęcia, że babcia się ulotniła. Sąsiada dobrze nie znali, bo był odludkiem i dziwakiem. Babcia gdzieś tam o poranku zniknęła, ale na posiłek zawsze wracała na czas, to niech sobie znika. Myśleli, że stare przyjaciółki odwiedza albo co. No i tak się wydało.

– Niesamowita historia – powiedziała Melania. – I co dalej? Jak to się stało, że tobie się udało dostać taki dom? Właściciel nie miał żadnych spadkobierców? Sam mówiłeś, że mieszkała tu duża rodzina.

– Po kolei – odrzekł Tan. – Duża rodzina to była w latach sześćdziesiątych. Potem się okazało, że nie jedna, tylko parę rodzin. Zmarły, co tymczasem ustalono na pewno, nie miał już nikogo. Jego rodzice i dziadkowie odeszli naturalną koleją rzeczy. On był jedynakiem, wiesz, były u nas takie czasy, kiedy Chińczycy mogli mieć tylko jedno dziecko, wprawdzie on się urodził wcześniej, kiedy trendem było mieć dzieci wiele, a najlepiej synów, ale jakoś się uchronił sam jeden. Rodzeństwa nie miał. Żony też nigdy sobie nie znalazł, potomstwa nie spłodził. Jeszcze nie wiem o nim wystarczająco dużo, żeby coś więcej ci powiedzieć, ale mam pewne podejrzenia.

– Jakie podejrzenia? Opowiedz – poprosiła.

– Opowiem, jak będę wiedział na pewno – obiecał. – W każdym razie ta historia

mnie zainteresowała, pogrzebałem trochę, popytałem tu i ówdzie i okazało się, że nie ma żadnych spadkobierców. Dom został zaplombowany, a ponieważ brak osób uprawnionych do meldunku, pójdzie do sprzedaży na wolnym rynku. Wtedy już, na początku tego roku, wiedziałem, że mam otrzymać tę nagrodę. Pomyślałem sobie, że nie dostanę tyle pieniędzy, żeby go kupić. Ceny są zabójcze. A w styczniu dom należał jeszcze do władz i był przed wyceną. Wyglądał jak ostatnia ruina, to oczywiste, że trzeba będzie mnóstwo zainwestować, zanim da się w nim zamieszkać. No więc poprosiłem ładnie mojego szefa o nagrodę w tej formie. Zgodził się, wypełniłem mnóstwo papierów i dostałem dom. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Dopiero potem się okazało, co to za inwentarz. Oczywiście nie jestem łobuzem, gdy tylko się zorientowałem, jakie cuda są w środku, poinformowałem moich przełożonych. Wszystko, co należy do historycznej spuścizny naszej kultury, wyląduje w muzeach. Ale to, co nie jest zabytkowe, mam prawo zatrzymać lub dostanę udział w zyskach z ewentualnej sprzedaży. Dlatego, moja miła, również dla mnie jest ważna rzetelna ekspertyza i wycena. To co? Wchodzimy?

Za szerokimi skrzydłowymi drzwiami był ciemny przedsionek. Kolejne drzwi odsłoniły widok na niewielki uroczy dziedziniec wewnętrzny. Na środku piętrzyła się grupa białych skałek, po których z szumem spływała woda. Znajdowały się w kamiennej niecce wypełnionej wodą. Szara posadzka na dziedzińcu była podniszczona.

Jednak w środku dom nie przypominał ruiny, którą Melania ujrzała przed wejściem. Było oczywiste, że jest bardzo stary, ale mimo wszystko sprawiał wrażenie zadbanego. Kwadratowy dziedziniec otaczały ażurowe drewniane ściany wewnętrzne. Luki między przepięknie rzeźbionymi parawanowymi segmentami zasłonięte były od wewnątrz pożółkłym papierem ryżowym. Karłowata sosna osłaniała uroczy zakątek w rogu. Tam, wokół kamiennego stołu i ław, porozstawiane były donice z orchideami. Te zaś kwitły jak szalone, rozjaśniając północny skrawek dziedzińca orgią barw. Wszystkie odcienie różu, od bladego, prawie białego, aż po intensywny amarant, kipiały kolorami w ocienionym kąciuku.

– Piękne! – westchnęła z zachwytem Mela.

– Prawda? – powiedział miękko Tan. – Przepiękne. Ten facet, cała ta rodzina musiała uwielbiać piękno. Nic tu nie zmieniałem, kazałem jedynie z grubsza posprzątać. Reszta wygląda dokładnie tak, jak to zastałem parę dni po telefonie do ciebie. Kiedy pierwszy raz zadzwoniłem, wiedziałem już, że dostanę ten dom, ale wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, co znajdę w środku. A potem, jak już to wszystko zobaczyłem, od razu pomyślałem o tobie...

– Dlaczego, Tan? – spytała szeptem.

– Bo... – Urwał gwałtownie. – Nie chciałem ci o tym mówić przez telefon. Wolałem, żebyś sama zobaczyła. No, chodź – zmienił temat. – Pokażę ci pokoje.

Z wewnętrznego dziedzińca przeszli do środka. Dom był zbudowany na planie kwadratu. Z dziedzińca wchodziło się do prawie wszystkich pomieszczeń. Można było się do nich dostać również z niewielkiego przedsionka. Prawa część budynku składała się z połączonych ze sobą wewnętrznymi drzwiami różnorodnych pokoi. Był tam rodzaj gabinetu do pracy, z całą ścianą wypełnioną biblioteką złożoną z ciasno zwiniętych pism i malowideł. Stało w nim też przepiękne dziewiętnastowieczne lakowe biurko inkrustowane macicą perłową. Czujne fachowe oko Melanii wyłowiło je natychmiast w półmroku.

Tan z uśmiechem otwierał szeroko wewnętrzne drzwi na dziedzińiec, tak że do każdego pomieszczenia wpadało teraz ostre światło słoneczne, wcześniej przytłumione przez rolety z papieru ryżowego. Drobinki kurzu lśniły w nieruchomym powietrzu. Ciszę przerywały jedynie plusk wody spływającej po kamieniach na dziedzińcu i zachwyczone okrzyki Melanii.

Prawa strona domu, oprócz gabinetu z biblioteką, składała się z sypialni, garderoby i niewielkiej izdebki, jakby służbówki. Frontowa część, pośrodku przedzielona przedsionkiem, z lewej strony mieściła kuchnię z wiekowym paleniskiem i z pewnością bardzo starymi mosiężnymi wokami oraz patelniami, z prawej zaś szalenie ozdobny i bogato wyposażony pokój gościnny. Lewa strona domostwa składała się z przestronnej jadalni, dwóch odrębnych sypialni połączonych garderobą i kolejnej niedużej izdebki.

Tyłna ściana domu była jednym wielkim pokojem, podzielonym parawanami z laki – według Meli, tak na oko, z końca osiemnastego wieku – na trzy oddzielne pomieszczenia. Centralne i to na lewo stanowiły zarówno osobno, jak i połączone, reprezentacyjne miejsce do przyjmowania gości bądź urządzania dużych przyjęć.

Pomieszczenie na prawo wyglądało jak niewielka kaplica z domowym ołtarzykiem bóstwa, a właściwie przodków, zgodnie z chińską tradycją. Przed ołtarzykiem stały w rzędach donice z orchideami, a w szesnastowiecznych brązowych wazach, wypełnionych białym piaskiem, tkwiły pałeczki wypalonych kadzidełek.

W każdym z pomieszczeń znajdowały się delikatne filigranowe rzeźbione meble, bibeloty, obrazy, wazy, naczynia dekoracyjne, pudełka z laki, jadesitowe i srebrne figurki oraz najróżniejsze dekoracyjne drobiazgi. Było tego mnóstwo, ale wnętrza nie sprawiały wrażenia przeładowania. Wszystko zostało harmonijnie dopasowane i wychuchane.

– Niesamowite, prawda? – Tan spojrzał z dumą na oczarowaną Melanię.

– Niesamowite, przepiękne... – szepnęła.

Podszedł i ujął ją za rękę. Melania wstrzymała oddech, jej serce zaczęło łomotać jak szalone.

– Mel Lan – powiedział miękko.

Gdzieś na ulicy rozległ się głośny huk, a potem ryk motoru. Odsunęli się od siebie.

Magiczna chwila minęła.

– Myślę, że sześć tygodni wystarczy na skatalogowanie mebli – odezwała się profesjonalnym tonem Melania. – Na pewno znajdzie się sporo takich, które można przeznaczyć do sprzedaży. Zrobię ci wycenę. Natomiast cała reszta wyposażenia... To są naprawdę wartościowe przedmioty. Na twoim miejscu spakowałabym te wszystkie drobiazgi i posłała do wyceny specjalistom z poszczególnych dziedzin. Jeśli ktoś ci się tu włamie, to się obłowi. Tutaj są ciężkie miliony juanów w duperelkach.

– Zrobię dokładnie tak, jak radzisz – odpowiedział równie profesjonalnie. – Dom jest dzień i noc strzeżony. Zostawiłem to wszystko tak, jak było, bo chciałem, żebyś to... to znaczy, bo Monice wygodniej było pracować tutaj niż w pracowniach ministerstwa. Teraz, kiedy już skatalogowała całą sztukę z dynastii Ming, resztę rzeczy można spakować i zabrać do laboratoriów. Jutro przyślę pracowników. Meble pewnie będzie ci wygodniej katalogować na miejscu, chyba że wolisz, żeby ci to wszystko przewieźć gdzie indziej. Mogę ci udostępnić pomieszczenia przy magazynach Muzeum Sztuki.

– Nie, myślę, że tu będzie wygodniej – odpowiedziała. – Nie potrzebuję wiele miejsca. Próbki do ekspertyz i tak wyślę do siebie, do Wrocławia. Jednak z tego, co już widzę, niewiele jest tu sprzętów starszych niż z dziewiętnastego wieku. Raczej nie powinno być większych problemów. Naprawdę zabytkowe są wszystkie te bibeloty i zwoje.

– Wiem – odparł z uśmiechem Tan. – Najstarsze, najcenniejsze rzeczy zabrano już do muzeum. Nie uwierzysz, co tu znaleźliśmy.

– Co?

– Wiesz, co to *Widok wzdłuż rzeki podczas święta Qingming*?

– Pewnie, że wiem, to wasza chińska Mona Liza. Pięciometrowa panorama z czasów dynastii Song. Namalował ją nadworny malarz Zhang Zeduan. Coś około roku tysiąc setnego, zgadza się?

– Zgadza się. Namalował dużo ciekawych obrazów, jest jednak słynny głównie z tego dzieła. Większość jego prac, a uwierz mi, stworzył ich wiele, zaginęła przez te wszystkie stulecia lub wyciekła na Tajwan. Jedną znaleźliśmy tutaj, wisiała sobie po prostu na ścianie, na honorowym miejscu w pokoju bankietowym.

– Żartujesz?

– Nie. – Pokręcił energicznie głową. – Też myślałem, że to żart, podróbka. Ale wszystkie ekspertyzy łącznie z datowaniem i analizą chemiczną potwierdziły autentyczność obrazu. Wiesz, Mel Lan, nie mam pojęcia, jak zagmatwaną i szaloną historię ma ten dom, ale przysięgam, że dowiem się tego.

– Wierzę ci. A jak już będziesz wiedział, opowiesz mi wszystko. Obiecujesz?

– Obiecuję – zapewnił. – Na razie muszę zadbać o to, żeby cała ta drobnica się nie zmarnowała. Już od dzisiaj pakujemy wszystko i wywozimy do ekspertów. Jak

skończymy z wyposażeniem, to wpuszczę tu wreszcie ekipę budowlaną. Wiesz, w tym domu nic nie było robione pewnie od stu lat. Nie ma ani prądu, ani gazu, ani bieżącej wody. Prawie wszystkie budynki naokoło są już podłączone do miejskiej infrastruktury, tylko ten nie. Wyobrażasz sobie, ile mnie ten remont będzie kosztował?

– Oj, ani prądu, ani wody, mówisz... – zmartwiła się Melania. – To jak ja tu będę funkcjonowała?

– Nie martw się, już wszystko zorganizowałem. Podejrzywałem, że będziesz chciała tutaj pracować. Dociągniemy ci prąd budowlany. Będziesz miała porządne oświetlenie.

– No tak... – zarumieniła się. – A toaleta?

– Cóż, oni używali nocników – odparł ze śmiechem Tan.

– Cha, cha, bardzo śmieszne – mruknęła ponuro Melania.

W hutongach były publiczne toalety. Tylko raz miała okazję z takiej korzystać i przysięgła sobie, że nigdy więcej tego nie robi. Bo te archaiczne przybytki nie dawały ani odrobiny prywatności. Były to zwyczajne dziury w podłodze, nieosłonięte nawet parawanami. Chinki kucaly obok siebie i załatwiały swoje potrzeby, plotkując zawzięcie. Melania, wychowana w zupełnie innej kulturze, wstydziła się okropnie. Niby drobiazg, ale chińska toaleta publiczna dla niej była prawdziwą udręką.

– To chyba jednak trzeba to wszystko przewieźć w bardziej cywilizowane miejsce – stwierdziła.

– Nie obawiaj się, ty nie będziesz musiała używać nocnika. W trzecim domu na prawo jest rodzinna restauracja. Znam właścicieli, to życzliwi ludzie. Udzielą ci gościny. Nie tylko możesz u nich korzystać z toalety, ale ze wszystkiego, czego będziesz potrzebowała. Pójdziemy tam później na herbatę, przedstawię cię. Stworzymy ci warunki do spokojnej pracy. Przez dwa dni musisz ścierpieć jeszcze trochę zamieszania, a potem będziesz miała ciszę, spokój, szum wody, prąd i dostęp do toalety. OK?

– OK. Świetnie. – Melania się uśmiechnęła. – To dawaj tę umowę. Gdzie mam podpisać?

* * *

Czas ma dziwną właściwość. Dni i noce Melanii mijały powoli, godziny rozciągały się jakby były z gumy. Chwilami miała wrażenie, że jest już w Pekinie od miesięcy, a w rzeczywistości minęły zaledwie dwa tygodnie. Przez te dwa tygodnie prawie zamieszkała w domu Tana.

On też nie marnował czasu. Rozpoczął renowację fasady natychmiast po wywiezieniu eksponatów do ekspertyzy.

Pierwsze trzy dni wraz z grupką pomocników, studentów historii sztuki Uniwersytetu

Pekińskiego, oboje pakowali cenne przedmioty do drewnianych skrzyń. Melania dała spokój meblom. Przypomniły jej się czasy, kiedy była praktykantką w Christie's i pomagała w takich akcjach.

Potem, gdy w domu pozostały już właściwie tylko meble do wyceny, urządziła sobie spokojny kąt do pracy w bibliotece. Siedząc przy przepięknym lakowym biurku, które pozostawiła na koniec, jako smakowity kąsek, sporządzała dokładne notatki.

Zabezpieczyła biurko przed ewentualnymi uszkodzeniami, opatulila mebel filcowymi matami jak cenny skarb, zasłaniając go niemal całkowicie. Na blacie położyła sztywną pleksę, a na niej ustawiła swoje narzędzia pracy: komputer, notatniki, podręczniki.

Poprosiła Tana o małą przenośną lodówkę, elektryczny czajnik, a także parę miękkich poduszek i koców. W ukwieconym zakątku dziedzińca urządziła sobie kącik do odpoczynku, gdzie z radością spędzała przy kawie przerwy w pracy, słuchając szumu wody spływającej po białych kamieniach.

Często towarzyszył jej wtedy Tan. Czasami rozmawiali, na ogół jednak milczeli. Niewielu jest ludzi, którzy potrafią wspólnie milczeć. Oni potrafili.

Robotnicy odnawiający fasadę robili bardzo dużo hałasu. W takich warunkach Melanii trudno było się skupić. Umówiła się z Tanem, że remont będzie prowadzony jedynie przez sześć godzin, od szóstej rano do południa. Ona chętnie pracowała nocą. Dlatego ustalili, że poranki pozostawi robotnikom, a sama będzie przychodziła w południe i pozostawała do wieczora. Około dziewiętnastej przychodził po nią Tan i szli razem coś zjeść. Opowiadała mu o postępach w pracy. Po kolacji wracała do swoich zajęć i pracowała do późnej nocy.

W takiej sytuacji kierowca, którego przydzieliło jej ministerstwo, nie miał łatwego życia. Tak więc Mela poprosiła o zorganizowanie jej innego środka transportu. Do hotelu nie miała daleko, a i tak uliczki hutongów były zbyt wąskie dla samochodu. Zatem na własną prośbę dostała służbową vespę i tym samym zyskała absolutną swobodę ruchów. Kiedy jednak robotnicy skończyli zbijać stary tynk i przestali hałasować przed wejściem do domu, a zajęli się stosunkowo cichymi pracami, jak renowacja ozdobnych dachówek czy też malowanie fasady, zdarzało się, że Melania w ogóle nie wracała na noc do hotelu. Zostawała w pustym domu, spała parę godzin w mniejszej sypialni, a od świtu zajmowała się systematyczną wyceną mebli.

Późnym popołudniem pod koniec maja siedzieli z Tanem w cieniu karłowatej sosny na dziedzińcu domu i sączyli wino.

– Miałam rację – odezwała się Mela. – Jest dokładnie tak, jak ci mówiłam na samym początku. Tylko siedziska z czarnej laki i stolik są naprawdę cennym zabytkiem, pochodzą z epoki Ming. Pozostałe meble, które dotąd obejrzałam, zostały wykonane w początkach dwudziestego wieku. Dla ciebie to dobra wiadomość, bo będziesz mógł je sprzedać, jeśli chcesz. Datuję czas ich powstania na okres między rokiem tysiąc dziewięćsetnym a tysiąc dziewięćset dwudziestym, może trzydziestym. Tym samym

można je będzie wywieźć za granicę, gdybym tylko...

Urwała i zamyśliła się na chwilę.

– Gdyby co, Mel Lan? – zapytał zaciekawiony Tan.

– Sama nie wiem. Nie jestem pewna. Widzisz, to nie jest masowa produkcja jakiejś manufaktury.

Westchnęła ciężko, zapaliła papierosa i zaczęła mówić.

– U schyłku cesarstwa sytuacja rzemieślników była dosyć specyficzna. Skupieni w gildiach, trzymali się jednego wzorca i robili meble, można powiedzieć, taśmowo. Te, które są w twoim domu, mają typowe cechy takiej produkcji, no wiesz, materiał, sposób łączenia elementów, zdobnictwo i tak dalej. Nawet datowanie się zgadza. Natomiast ten komplet jest nieco inny. W tamtych czasach było paru rzemieślników artystów. Trochę ich dzieł możesz sobie obejrzeć w haremie Zakazanego Miasta albo w Pałacu Letnim. Nawet głównie w Pałacu Letnim. Byli oni mistrzami w swoim fachu, pracowali głównie na zlecenie dworu. Jeden z nich to mandżurski artysta Szangazi, ulubiony stolarz Cixi, cesarzowej wdowy.

– I myślisz, że te meble tutaj to jego dzieło? – zapytał zaciekawiony Tan.

– No właśnie nie. – Mela zapatrzyła się w dal. – To na pewno nie jest Szangazi. Po pierwsze, nie ma jego sygnatury, a on sygnował wszystkie swoje prace. Te meble nie mają żadnej sygnatury. Po drugie, sposób zdobienia jest prawie identyczny z tym, jaki on stosował, ale tylko prawie. Natomiast materiał, z którego są zrobione, jest taki sam. Bo nie wiem, czy ci wiadomo, że Szangazi korzystał tylko i wyłącznie z *huanghuali*. To bardzo twarde drewno, którego rzadko używano w czasach przed dynastią Qing. Jest drogie, bo importowane. Jego charakterystyczną cechą są słoje i ziarna, w przekroju imitujące górzysty krajobraz. Szangazi pracował tylko z tym drewnem. Co jednak o niczym nie świadczy, bo wielu innych meblarzy też z niego korzystało. Interesujące jest, że gdybym miała oceniać technikę, no, wiesz, pociągnięcia dłuta, sposób rzeźbienia zdobień, tobym sobie dała palec uciąć, że to Szangazi.

– Czyli jednak to jego meble? – ucieszył się Tan.

– Nie – odparła stanowczo Melania. – Zdecydowanie i absolutnie nie. Chociaż dopuściłabym możliwość, że facet dorabiał sobie na boku, zmieniając nieco styl i ulubione motywy zdobień, albo że zrobił parę sprzętów tylko dla siebie i dlatego nie ma na nich sygnatury. Takie rzeczy się zdarzały.

– No właśnie – zauważył Tan. – Czyli nie możesz wykluczyć, że to jego dzieło.

– Mogę – oświadczyła stanowczo. – Szangazi zmarł w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym w niejasnych okolicznościach. To był cholernie poplątany okres w waszej historii. Cesarzowa wdowa na moment usunęła się ze sceny. Cesarz Guangxu, mimo jej niby to emerytury, i tak był marionetką, tak naprawdę wciąż rządziła ona. W tym roku próbował się jednak usamodzielnic i na dworze wrzało. Cixi popadała w paranoję, sądziła, że zamierzają ją nieodwołalnie odsunąć od tronu. Była

pewna, że planowano na nią zamach. Sam wiesz, co się wtedy działo na scenie politycznej. Nie sposób dzisiaj dojść, jak i dlaczego umarł Szangazi.

– Archiwa? – zapytał Tan. – Podejrzewasz, że był zamieszany w rozgrywki polityczne?

– Ależ skąd! – zachnęła się Mela. – Szangazi był przyzwoitym rzemieślnikiem, w politykę się nie mieszał. Archiwa już dawno przetrzepałam, nic tam nie ma. Jedyne, co jest pewne, to że zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym, w wieku czterdziestu lat. Trochę za młodo jak na zgon naturalny, nie uważasz?

– Owszem. – Tan pokiwał głową. – No tak, czyli to nie Szangazi. A więc kto?

– No właśnie nie wiem. – Westchnęła. – Dlatego tak się męczę. Bo z jednej strony większość tych rzeczy mogę ci wycenić, że tak powiem, z tabelki, jako standardową produkcję tamtych czasów, a z drugiej coś mi mówi, że to coś więcej, tylko sama nie wiem co.

– A gdybyś wyceniła z tabelki, to ile mniej więcej uzyskałbym w sumie?

– Jeszcze nie wiem, jestem w połowie roboty – odrzekła Melania. – Za to, co do tej pory skatalogowałam, spokojnie możesz wyciągnąć około stu, stu dwudziestu tysięcy euro. No bo mówię ci przecież, że gdyby wziąć z tabelki, to nie ma tu nic nadzwyczajnego. Gdyby jednak udało się dowiedzieć czegoś więcej o twórcy tych mebli...

– Mela, nie żartujesz? – ucieszył się Tan. – Sto tysięcy euro to rewelacja! Nie będę musiał brać żadnych kredytów na remont!

– Sto tysięcy, słonko, to tylko to, co obejrzałam do tej pory. – Uśmiechnęła się do niego. – Cała reszta mebli tego samego twórcy to drugie tyle. A jeszcze nie zbadałam tych innych. Nie jest ich wiele, zaledwie parę sztuk, ale wyglądają na bardzo stare, bardziej do muzeum niż na sprzedaż, niestety.

– No i dobrze! – entuzjasmował się Tan. – To fantastycznie. Nie dosyć, że zrobię remont za darmo i jeszcze mi pewnie coś zostanie, to w dodatku kraj się wzbogaci. Wiesz, ile wspaniałych zabytków, świadectw kultury Chin, zostało wywiezionych do Europy, na Tajwan albo głupio zniszczonych? Jeśli uda ci się znaleźć chociaż parę wartościowych okazów muzealnych, to oszaleję ze szczęścia.

– No tak – mruknęła Melania – pazerny na kasę to ty nigdy nie byłeś. No dobrze, przestań się gorączkować, wróćmy do tematu. Ta nietypowość twoich mebli spokoju mi nie daje. Jak już mówiłam, żadne archiwa mi tu nie pomogą. Musisz zadziałać przez swoje kanały. Nie wiem, ewidencja ludności, spisy, szukaj, gdzie chcesz. Trzeba poznać historię tego domu. Jeśli będziemy wiedzieli, kto tu mieszkał na początku dwudziestego wieku, to może do czegoś dojdziemy. Masz szansę jakoś to sprawdzić?

– Mogę spróbować, ale to wcale nie będzie takie proste.

– Przypuszczam. – Melania zaśmiała się ponuro. – Jednak nikt nam w kołysce nie obiecywał, że będzie łatwo i prosto. Postaraj się.

– Już się starałem. Nawet sporo wygrzebałem, ale moje źródła nie sięgają dalej niż Chińska Republika Ludowa. Mogę ci opowiedzieć, co było po tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. Kiedy Czang Kaj-szek i jego kumple z Kuomintangu zwiali na Tajwan, zabierając ze sobą większość dorobku naszej kultury, prawie wszystkie domy w północnych hutongach ziały pustką. Trudno było ustalić, który jest który, ale jakoś tam do tego doszedłem. Większość przydzielono dzielnym bojownikom proletariatu, a ci pracowicie je zdemolowali, zamieniając w obory. Parę dostało się aktywistom partyjnym, którzy poczynali sobie z nową własnością wcale nie lepiej. Ten nasz przydzielono bohaterowi rewolucji, na szczęście ze szczyptą rozumu. Wiesz doskonale, że Mao uwielbiał się otaczać artystami, poetami i inteligencją. Sam pisał wiersze i moim zdaniem czasami miał rozdwojenie jaźni. Z jednej strony chciał być nieugiętym i stanowczym wodzem rewolucji, przyjacielem klasy robotniczej i chłopstwa, z drugiej marzyło mu się uznanie na salonach i wśród intelektualistów.

– Każdy to wie – ucięła krótko Mela. – Tylko wy jakoś niechętnie to akceptujecie.

– Melania, proszę, nie czepiaj się – zirytował się Tan. – Komunistyczne Chiny zrobiły bardzo dużo dla chińskich narodów. Popatrz sama na nasze osiągnięcia. Popatrz na nasze miasta. W Pekinie oddaje się do użytku jedną kompletną linię metra w ciągu roku. Tyle czasu potrzebuje rząd twojego kraju na ustalenie wytycznych do budowy jednej stacji. Naprawdę chcesz dyskutować o polityce?

– Nie, Tan. My nie dyskutujemy o polityce, tylko o historii.

– No to wróćmy do historii. Czasy rewolucji kulturalnej zostały już poddane krytyce. Nie musimy roztrząsać wszelkich aspektów politycznych. Skupmy się, proszę, na naszym domu.

– Ja tu nie mówię o aspektach politycznych! – naskoczyła na niego. – Chodzi mi o aspekty ludzkie i historyczne. Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile istnień ludzkich pochłonęły tamte czasy? Ty, jako historyk sztuki, nie wiesz, ile wspaniałych, niepowtarzalnych zabytków zostało bezmyślnie zniszczonych?

– Uspokój się. Oczywiście, że zdaję sobie sprawę. Każda rewolucja, każdy przewrót pociąga za sobą śmierć tysięcy ludzi i niszczy zdobycze kultury poprzednich pokoleń. – Popatrzył na nią z wyrzutem. – A czy ty, historyk sztuki, zapomniałaś o konsekwencjach waszych europejskich wojen i rewolucji? Zapomniałaś już, ile unikatowych, zabytkowych ksiąg spłonęło zaledwie kilkadziesiąt lat temu przed berlińskim Reichstagiem? – Odetchnął głęboko. – Mel Lan, nie kłóćmy się, proszę. Nie ma o co. To wszystko nie nasze grzechy. My próbujemy ocalić i ochronić to, co zostało. Razem. Dla wszystkich, dla potomności.

– Masz rację. – Melania ochłonęła. – Dobrze. Opowiedz, co dalej. Kim był ów rewolucjonista ze szczyptą rozumu, któremu przydzielono ten dom.

– No właśnie. – Tan wrócił do przerwanej historii. – Facet był intelektualistą, dziennikarzem i szarą eminencją pierwszych lat wschodzącej gwiazdy Mao Tse-tunga.

Współpracował z nim w dziedzinie propagandy. Po paru latach Mao, jak to Mao, zepchnął go na boczne tory. Wtedy nagle się okazało, że facet jest niezbędny w gronie współpracowników Jiang Qing, lepiej znanej w Europie jako Madame Mao, i Bandy Czworoga.

– Mądry facet, wiedział, jak chronić swoje interesy – mruknęła Mela. – No dobrze. To zgodnie z typowym scenariuszem powinien był wylecieć na zbity pysk ze swojego ciepłego gniazdka po procesie Bandy Czworoga na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

– Powinien, ale nie wyleciał, bo był mądrzejszy, niż ustawa przewiduje – odparł Tan. – Doskonale się maskował i zabezpieczył na wszystkie fronty. Mówiłem ci, że w latach siedemdziesiątych mieszkało tu parę rodzin. Otóż ci wszyscy inni to byli, tak jak i on, mądrzy, światli i wykształceni ludzie, którzy doskonale się ukrywali, udając wiernych partii robotników. W tym czasie facet dorobił się syna, syn dorósł i oczywiście wstąpił do partii, ale bardzo rozsądnie piął się po szczebelkach drabiny kariery w kierunku frakcji Deng Xiaopinga. Wiesz, myślę, że to było ukartowane. Tatuś krył rodzinę przy pomocy Bandy Czworoga, a synek siedział cicho na swoim administracyjnym stołku i czekał, aż karta się odwróci. Doczekał się wreszcie. Kiedy tatuś zmarł w podeszłym wieku, w jakże dogodnym momencie, tuż po procesach Bandy Czworoga, synek znalazł się już dokładnie tam, gdzie być powinien. Potem pozbył się po kolei zbędnych lokatorów, przeszedł na zasłużoną emeryturę i cieszył się swoim pięknym domem aż do śmierci na początku tego roku.

– Coś podobnego! – Mela pokiwała głową. – I nikt nie wiedział, co on tutaj ma? Sam tak się tu przyczaił? A rodzina, przyjaciele, nie wiem, współpracownicy? Kim on właściwie był, ten synek?

– Wysoko postawionym urzędnikiem policji. Nazywał się Xiando Zin Zag. Nie miał żadnej rodziny, nigdy się nie ożenił. Jediną osobą, którą wpuszczał do tego domu, była ta babcia z sąsiedztwa. To naprawdę bardzo prosta kobieta. Nie umie czytać, nie ma pojęcia o sztuce. Cała ta rodzina jest bardzo prosta. Ta staruszka chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, co tutaj widziała. Dla niej ważne było jedynie to, że Xiando doskonale jej płacił. Zresztą nawet nie rozpaczała zbyt mocno, jak z planów pozostania szacowną wdową nic nie wyszło. Myślę, że dla niej liczyły się tylko juany, i mocno podejrzewam, że zagarnęła sobie z tego domu niezłą premię w pieniądzach i biżuterii. Xiando nie miał konta bankowego, a dostawał bardzo wysoką emeryturę. Policja nie znalazła tu żadnych pieniędzy. To dziwne, prawda?

– Fakt, dziwne. Ile taki samotny dziwak mógł na siebie wydać? Z domu nie wychodził, życia nie używał. No, chyba że powiększał tę swoją kolekcję zabytków.

– Nie powiększał. Dbał o nie wręcz pedantycznie, ale nie powiększał zbiorów. W tym domu jakby czas się zatrzymał w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, kiedy zniknęli ludzie, którzy tu mieszkali przed rodziną Xiando. Tamci z kolei

dbali o dom, widać, że bardzo im zależało, ale wcale nie starali się go ulepszać ani upiększać. Mam wrażenie, że obaj, ojciec i syn, ukryli gdzieś pieniądze i na nic nie wydawali. A biżuteria? Pomyśl, Xiando Zin Zag nie miał żony, ale miał matkę. To mało prawdopodobne, żeby kobieta z zamożnej rodziny, bo jego ojciec był zamożny, nie posiadała żadnej biżuterii.

– Chyba masz rację, ta babcia z sąsiedztwa musiała się nieźle obłowić. Nie ma możliwości, żeby to sprawdzić?

– Oczywiście, że jest. Nawet próbowaliśmy, ale nic to nie dało. Żyją, jak żyli do tej pory. Rewizja nie przyniosła żadnych rezultatów. Jakiś czas byli obserwowani, ale potem zostawiono ich samym sobie. Wiesz, za rok ich ulica zostanie wyburzona. Będzie trzeba przesiedlić całą rodzinę. Ciekawe, co wtedy się wydarzy. Może nagle znajdzie się majątek Xiando! – Wzruszył ramionami. – Zresztą jakie to ma znaczenie? Nie zamierzam sobie zawracać głowy tą sprawą. Bo popatrz, tak naprawdę, jeśli tu były jakieś pieniądze, to komu się one należały bardziej, jak nie staruszce, która tyle lat opiekowała się tym dziwakiem. Przecież nie mnie. Spadkobierców żadnych nie ma. Chyba nawet lepiej, jeśli to właśnie ona je sobie wzięła.

– Hmm... – zamyśliła się Mela. – Chyba masz rację.

* * *

Od tej rozmowy minęły kolejne dwa tygodnie. Melania już prawie zakończyła swoją pracę. Wszystkie meble zostały skatalogowane, opisane i wycenione.

Urzednicy z ministerstwa dokładnie sprawdzili jej wycenę i zaakceptowali propozycje bez żadnych dyskusji. Na każdym dokumencie, będącym jakby metryką poszczególnych sprzętów, widniała okrągła czerwona pieczęć, uprawniająca do ich wywozu. Większość mebli kupiła Melania. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro to była potężna kwota, jednak Melania miała już kupców na dużą część swoich nabytków, a zysk z ich sprzedaży pokrywał w całości nie tylko inwestycję, lecz także w pełni zwracał koszty transportu i ekspertyz. Półmilionowy obrotowy kredyt dewizowy pozwolił bez problemu zrealizować transakcję. Jej firma była rzetelna i miała dobrą opinię w bankach.

Na więcej niż połowę zakupionych antyków nie miała jeszcze chętnych. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała się rozstawać ze swoimi skarbami. Rozumiała jednak, że sprzedaż zagwarantuje jej potężny zysk. Wiedziała, że jeśli wystawi te wszystkie rzeczy na aukcję, to nie będzie już musiała zabiegać o kredyty. Zdawała sobie sprawę, że te parę tygodni w Pekinie wywinduje ją do elity potentatów handlu antykami w Polsce.

W ostatnich latach ugruntowała swoją pozycję jako eksperta, teraz zapewniła sobie

spektakularny sukces finansowy. Mogła stanąć przed Romanem Korabem i jego dobrze urodzoną małżonką Lubuską i rzucić im to w twarz. O tak, znała swoje miejsce, a od teraz było to miejsce, z którego mogła z góry spoglądać na całą tę zakłamaną rodzinę. To wszystko nie miało jednak dla niej żadnego znaczenia. Kiedyś marzyła, że taki dzień nastąpi, że im pokaże. Dzisiaj stało się to nieważne.

Gładziła dłonią czyste linie zaokrąglonych brzegów komody, wodziła wzrokiem po delikatnych płaskorzeźbach w kształcie feniksów i orchidei. Kiedy myślała, że te cudowne przedmioty wylądują w salonach jakichś innych bogatych i snobistycznych Lubuskich, serce pękało jej z bólu. Miejsce tych mebli było tutaj, w tym starym tajemniczym i pełnym uroku domu.

Czasami bawiła się myślą, jak by to było, gdyby mogła go urządzić po remoncie. Wyobrażała sobie, że mogłaby podarować te cudowne meble Tanowi. Szybko jednak odrzucała owe myśli. Owszem, cztery tygodnie wspólnej pracy bardzo ich zbliżyły. Mogła śmiało powiedzieć, że znów stali się dobrymi przyjaciółmi. Niestety, tylko przyjaciółmi. Czułość, miłość – tego już nie było. Nawet jeśli od czasu do czasu w mrokach starego domu błyskały iskierki dawnych uczuć, to oboje skrzętnie je ukrywali. Melania jeszcze nie usunęła z serca Tana, ale postanowiła, że się z tym nie zdradzi. Nie da po sobie poznać, jak ważny jest dla niej nadal, po tylu latach, jak ważny był przez ten cały czas. Pozwoli mu odejść, znaleźć dobrą chińską żonę, z którą zamieszka w tym magicznym domu i która urodzi mu syna.

Podczas swojej pracy Melania znalazła tylko parę sztuk mebli, które jako bezcenny zabytek nie podlegały wycenie. Był to ów komplet z czarnej laki – siedziska wyściełane ręcznie haftowanym jedwabiem oraz pasujący do nich niski stolik, też z laki, inkrustowany masą perłową. Dokładne badanie potwierdziło, że ów komplet z pewnością powstał w czasach dynastii Ming i stanowił własność dworu cesarskiego. Mela nie miała pojęcia, skąd w domu szeregowego urzędnika wzięły się takie skarby.

Gruntowne badania w archiwach pozwoliły bowiem ustalić, kim był pierwotny właściciel tego domu. Okazało się, że nikim ważnym.

Co prawda bywał dopuszczany przed oblicze władcy, ale pracował jedynie jako szeregowy urzędnik. Był zatrudniony w administracji Zakazanego Miasta w czasach rządów cesarzowej wdowy Cixi i cesarza Guangxu. Niczym się nie wyróżniał. Zdążył zdać egzamin cesarski, zanim zniesiono ów wymóg, i wiódł normalne życie urzędnika w Pekinie. Nazywał się Sieng. To wyjaśniało przynajmniej treść inskrypcji w malowidłach na ołtarzyku przodków w starym domu. Opisywano tam członków rodu Sieng. Niepojęte było, dlaczego zarówno ojciec, jak i syn Xiando zachowali w stanie nienaruszonym pomieszczenie poświęcone pamięci przodków rodu Sieng, ale przynajmniej wszystko się zgadzało. Nowy dom Tana przed stu laty należał do mandzurskiego rodu Sieng.

Komplet z czarnej laki natychmiast po ekspertyzie został przewieziony przez

asystentów Melanii do magazynów państwowego muzeum. Nie było jeszcze do końca wiadomo, gdzie cenne meble zostaną wystawione, ale Mela wierzyła, że zajmą zaszczytne miejsce pośród zabytków chińskiej kultury. Tan był zachwycony.

Biurko, które zostawiła sobie na koniec, pasowało do tego kompletu. Zostało jednak wykonane, co potwierdziło datowanie, na początku dwudziestego wieku, tak jak większość sprzętów z tego domu. Dlatego Melania z góry wiedziała, że otrzyma ono czerwoną okrągłą pieczęć ministerstwa, umożliwiającą wywóz z Chin. Kolejny tydzień zamierzała poświęcić na spokojne, powolne oględziny mebla i pakowanie przeznaczonych do wywozu przedmiotów. Kiedy upłynie jej zagwarantowane umową sześć tygodni, będzie gotowa do wyjazdu, a wraz z nią opuszczą Chiny jej nabytki, własnoręcznie przez nią zabezpieczone i popakowane. Zdecydowała, że nie sprzeda tego biurka. Postanowiła je zatrzymać dla siebie. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Nie wyglądało na drogie, zaledwie parę tysięcy euro. Mogła sobie na nie pozwolić, jeśli wziąć pod uwagę przewidywany zysk ze sprzedaży pozostałych mebli. Tymczasem stało owinięte filcem na swoim zwykłym miejscu.

W ciągu tego miesiąca Tan zakończył remont frontowej elewacji budynku. Błyszczące, odnowione dachówki, biały, czysty tynk, wyłożone szarym kamieniem wejście i pomalowane na szafirowo, z odnowionymi złoceniami, ozdobne guzy nad bramą robiły fantastyczne wrażenie. W zabitych wcześniej deskami otworach okiennych Tan umieścił metalowe ozdobne pręty, powyginane i dopasowane wyglądem do wewnętrznych drewnianych ścian. Drzwi wejściowe zostały naprawione i pomalowane na piękny szafirowy kolor. Wyposażono je w nowe złote okucia, kołatki i ćwieki. Nawet stary wysoki próg zachowano. Został jednak gruntownie odnowiony i obity wypolerowaną mosiężną listwą. Dom z zewnątrz prezentował się wspaniale.

Remont wewnątrz miał się rozpocząć po wyjeździe Melanii. Tan pokazywał jej nawet projekty przebudowy, ale kiedy próbował o tym rozmawiać, Mela zmieniała temat. Wiedziała, że chciał zachować formę i pierwotny charakter domostwa. Postanowił jedynie wprowadzić wszelkie nowoczesne udogodnienia, ale dawny kształt miał pozostać niezmienny, by nie naruszyć atmosfery tego miejsca. Gdyby to był jej dom, dokładnie tak samo by postąpiła. Ale nie był i nigdy nie będzie! Tak więc unikała rozmów na ten temat, nie dając Tanowi żadnych szans na wspólne plany i decyzje. Bo to był jego dom, a oni nie mieli już nic wspólnego.

* * *

Babcia Tana, Gong Tian Lai, nie wiedziała nic o zamiarach swojego wnuka. Tan obawiał się powiedzieć tej prawie dziewięćdziesięcioletniej staruszce, że będzie musiała opuścić swój stary dom. Sam wiedział o tym już prawie od roku i przez cały

ten czas szukał sposobu, by złagodzić gorycz tej wiadomości.

Tian Lai nie miała łatwego życia. Wychowała ją babka, gdyż matka zmarła przy porodzie. Niewiele mówiła Tanowi o swojej młodości, ale znał opowieści o ciężkich czasach, kiedy urodził się jego własny ojciec. Tian Lai przywiozła syna do Pekinu po prawie rocznym pobycie obojga na wsi, gdzie została przymusowo wysłana do pracy wraz z grupą młodych Chińczyków. Dwie kobiety, prababka, która zmarła trzy lata przed narodzinami Tana, i babcia Tian Lai, same zajmowały się jego ojcem, wówczas małym chłopcem. W rodzinie nie było żadnego mężczyzny, który zapewniłby im opiekę i środki do życia. Dziadek Tian Lai zmarł, gdy przebywała na wsi, o swoim własnym ojcu nie wiedziała nic. Obie, Tian Lai i jej babka, harowały w fabryce, aby wychować ojca Tana. Babcia pracowała przez całe swoje życie. Pamiętał, że kiedy był mały, wychodziła z domu zawsze przed świtem i dopiero wieczorem wracała. Potem bawiła się z wnuczkiem, opowiadała mu różne ciekawe historie. Kilkanaście lat temu przestała pracować zawodowo i zajęła się domem. Sprzątała, prała i gotowała dla całej rodziny. Służyła swoim bliskim przez całe życie. Tan marzył, żeby móc jej ofiarować spokojną starość.

Dla Tian Lai opuszczenie domu, w którym mieszkała przez tyle lat, było nie do pomyślenia. Większość sąsiadów z czasów jej młodości już nie żyła. Jej własny syn, którego obowiązkiem była opieka nad matką, zostawił ją i opuścił Pekin, jej dom. Tak bardzo przeżyła wyjazd rodziców Tana, płakała tygodniami. Został jej tylko on, wnuk. Tan nie zamierzał sprawić jej zawodu. Opiekował się babcią, jak potrafił. Każdy posiłek jadł z nią w domu. Każdą noc przesypiał w swoim pokoju, słysząc za ścianą uspokajające pochrapywanie staruszki. Kochał ją bardzo.

Dlatego kiedy udało mu się zdobyć dom w hutongach, był uszczęśliwiony. Nie mógł zmienić biegu historii ani sprawić, by projekty przebudowy miasta, a tym samym wyburzanie budynków na ich ulicy, zostały wstrzymane na te parę lat życia, które pozostały jeszcze jego babci. Dom kilka ulic dalej będzie wspaniałym podarunkiem dla staruszki. Cudowną niespodzianką, dzięki której babcia pozostanie w znanym sobie otoczeniu, tuż obok znajomego piekarza i sklepików. Dożyje swoich lat w luksusie, ciesząc się opieką wnuka.

Jednak jak długo owa niespodzianka wyglądała jak ostatnia ruina, Tan wstrzymywał się z przekazaniem dobrych wieści babce. Teraz, kiedy fasada odzyskała wspaniały wygląd, a wnętrza za parę tygodni będą gotowe do użytku, wreszcie mógł o wszystkim powiedzieć staruszce, mógł jej pokazać nowy dom.

Tego słonecznego dnia wziął wolne przedpołudnie i zabrał babcię na spacer. Nie wiedział, jak ma ją delikatnie przygotować do zmian, które wywrócą jej stabilne, spokojne życie do góry nogami.

– Babciu – odezwał się, prowadząc ją do nowego domu – pamiętasz jeszcze, jak w zeszłym roku latem odwiedziła nas córka twojej szacownej przyjaciółki, pani Wu?

– Oczywiście, Tan. – Tian Lai uśmiechnęła się do niego. – Pamięć to ja mam doskonałą. Wu była dobrą przyjaciółką, a jej córka jest dobrą dziewczyną. Co roku odwiedza mnie w dniu moich urodzin. Nie zapomina o najlepszej przyjaciółce swojej matki. Tyle ich było, dobrych przyjaciół, dobrych ludzi. Sama już zostałam, wszyscy już odeszli do przodków, a mój czas nie nadchodzi.

– Nie jesteś sama, babciu. – Pogładził ją po dłoni. – Masz przecież mnie.

– Owszem. Jesteś słońcem moich dni, Tan. Żebyś jeszcze tylko znalazł dobrą żonę i żebym mogła się cieszyć prawnukiem. Moja babcia błogosławiła każdą chwilę, którą dane jej było przeżyć na zabawach z twoim ojcem. Tan, ja też chcę dożyć prawnuka. Kiedy się w końcu ożenisz?

– Oj, babciu... – wykręcał się ze śmiechem.

– Nie żadne „oj, babciu”. Pora już na ciebie – oświadczyła. – Córka Wu by się nadawała, ale ona ma już męża. Szkoda. Należało was zaręczyć, kiedy był czas po temu...

– No właśnie – przerwał jej zadowolony. – Córka Wu. Pamiętasz, jak twoja przyjaciółka przeniosła się do pięknego, nowoczesnego mieszkania w bloku?

– Pewnie, że pamiętam. Może ono i piękne, nie wiem, ale jak daleko! Toż to już prawie nie Pekin. Wiesz, że aby mnie odwiedzić, musi ponad godzinę jechać pociągiem?

– Wiem, babciu. No cóż, nie miała innego wyjścia. Miasto się zmienia i rozwija. Powstaje nowe, piękniejsze. Musiała się przenieść gdzie indziej, bo starą dzielnicę wyburzono. Teraz jest tam wspaniały wielki dom handlowy. Wiesz przecież, byliśmy tam razem na noworocznym obiedzie.

– Ano wiem. Nie wiem tylko, czy wszystko, co nowe, jest lepsze. Całe życie spędziłam tutaj, na tym skrawku ziemi, w naszym hutongu. I wiesz, co ci powiem, może u nas nie jest tak nowocześnie, ale za to dobrzy ludzie tu żyją. – Spojrzała na niego podejrzliwie spod oka. – A co ty tak, synku, nagle o nowoczesności?

– Babciu... – Zatrzymał się i uściśnął ją mocno. – Nasz hutong też będzie wyburzony. Tak mi przykro, ale to już postanowione.

– Wiem. – Westchnęła głęboko. – Wiem już od paru tygodni, synku, sąsiedzi mówili. Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć. I co my teraz zrobimy? Trzeba napisać do twojego ojca, może weźmie mnie do siebie, to jego synowski obowiązek. Ale co będzie z tobą? Ty masz tu swoją pracę, swoje życie. Przecież nie możesz wyjechać na wieś. Gdzie ty się podziejiesz? – Rozpłakała się. – Pójdiesz do bloku, jak córka Wu? I kto się tobą zajmie? – wyszłochała. – Żony nie masz, zostaniesz sam jak palec.

– Babciu, uspokój się. – Pogładził ją po zgarbionych plecach. – O wszystko zadbałem, zostaniemy razem, nie pojedziesz na wieś. To właśnie moja niespodzianka. Dostałem w nagrodę dom. Tutaj, niedaleko, zaraz za rogiem. Musimy się wyprowadzić z naszego, ale nie opuścimy znajomych kątów. To tylko parę ulic dalej. Nadal będziesz

kupowała ryż w tym samym sklepiku. Babciu, nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

– Jak to, dom? Jaki dom? Tutaj? – pytała z niedowierzaniem.

– Tak, tutaj. – Ujął ją pod łokieć. – Chodźmy, pokażę ci. Jest już mój, za miesiąc, dwa, skończę remont i możemy się przenieść.

– Och, dziecko! – Babcia uśmiechnęła się przez łzy. – W nagrodę? Jesteś dumą mojej starości, słońcem moich dni. Dobry z ciebie wnuk, Tan. Prowadź do naszego nowego domu.

W ciągu paru minut dotarli na miejsce. Tan zatrzymał się i z dumą wskazał na barwną fasadę.

– To nasz nowy dom, babciu.

Staruszka zatrzymała się bez słowa. Wyprostowała się i spojrzała na gwiazdzone guzy nad wejściem. Patrzyła tak parę sekund, twarz jej pobraźla. Drobne, powykręcane reumatyzmem dłonie zacisnęły się w pięści. Stała nieruchomo, w milczeniu.

– Babciu?

Spojrzała na niego nieprzytomnie. W jej oczach widać było paniczny strach. Nagle zgięła się wpół jak kwiat podcięty gwałtownym podmuchem wichru i upadła na ulicę. Zemdląła.

Przerażony Tan wziął ją na ręce. Była taka drobna i krucha, nie ważyła prawie nic. Dobiegł do szafirowej bramy i rozpaczliwie zaczął w nią uderzać nogą.

– Mel, Melania, otwieraj, szybko!

Drzwi uchyliły się po kilkunastu sekundach.

– Tan? – Zdezorientowana Melania patrzyła na bezwładne ciało staruszki w jego ramionach. – Co się stało?

– To moja babcia, chyba zemdląła! – wykrzykiwał bezładnie Tan. – Muszę wezwać pogotowie. Gdzie ją zanieść? Może wody?

– Chodź, połóż ją na leżaku, tutaj, na dziedzińcu. Przyniosę coś do picia. Poczekaj.

Melania pobiegła do domu, a tymczasem Tian Lai powolutku wracała do siebie. Otworzyła oczy i spojrzała na Tana przytomnym wzrokiem.

– Gdzie jestem?

– Babciu, to ja, Tan – wyszeptał gorączkowo. – Zasłabłaś, zaraz wezwę pogotowie. Leż spokojnie, nie ruszaj się.

– Daj spokój, Tan – odpowiedziała wyraźnie i stanowczo. – Żadnego pogotowia nie potrzebuję. Gdzie jesteśmy? – powtórzyła, siadając na leżaku.

Jej wzrok wędrował powoli od kamiennej niecki z wodą, poprzez ażurowe ściany wewnętrzne, aż po szeroko otwarte drzwi biblioteki, w których po chwili pojawiła się Melania z butelką wody w jednej dłoni i szklanką w drugiej.

Podbiegła do ocienionego kącika, przykłęka przed leżakiem, na którym Tian Lai siedziała już sztywno wyprostowana, i podała jej szklankę.

– Dzień dobry pani. – Mela ukłoniła się, witając po chińsku babcie Tana. – Cieszę

się bardzo, że pani już jest lepiej. Proszę się napić wody.

– Kim jesteś? – zapytała Tian Lai surowo, przyglądając się jej uważnie.

– O, przepraszam, nie przedstawiłam się. – Mela uśmiechnęła się do staruszki. – Nazywam się Melania Robak. Jestem znajomą Tana z Londynu, historykiem sztuki. Pomagam mu w wycenie wyposażenia tego domu. Można powiedzieć, że jestem jego koleżanką z pracy.

– Mela nja? Mel Lan? – Przesuwała wzrokiem od Tana do młodej kobiety. – Z Londynu, rozumiem. Jestem Gong Tian Lai. – Uniosła się nieznacznie z leżaka i skinęła głową Meli. – Miło mi panią poznać. Czy mogę...?

Nie dokończyła zdania. Podniosła się z leżaka, ominęła przykucniętą Melanię i nie zważając na protesty Tana, który błagał, aby jeszcze chwilę odpoczęła, ruszyła jak zahipnotyzowana w kierunku zamkniętych drzwi największego pokoju. Otworzyła je, nie pytając nikogo o zgodę, a następnie zniknęła w środku. Tan i Melania spojrzeli na siebie zdziwieni, a potem poszli za staruszką.

Gong Tian Lai stała pochylona w nieruchomym pokłonie przed ścianą, na której do niedawna wisały zwoje z inskrypcjami. Wyglądało to tak, jakby modliła się przed ołtarzykiem przodków, po którym przecież nie było śladu. Zwoje, wazy na kadzidła i brązowe naczynia zostały już wywiezione do ekspertyz. Pomieszczenie było kompletnie puste i nic nie wskazywało na to, co się tutaj wcześniej znajdowało.

– Babciu? – spytał cicho Tan. – Babciu? Co robisz?

Odwróciła się powoli, niechętnie, a potem wyprostowała się i odrzekła:

– Nic, Tan Ling. Oglądam dom, czyż nie po to mnie tu przyprowadziłeś?

– Tak – szepnął niepewnie. – Ale... Babciu, czy ty się dobrze czujesz?

– Doskonale. – Postąpiła krok w kierunku wyjścia na dziedziniec.

– Bo mam wrażenie... – plątał się Tan. – Myślałem... Babciu, czy ty znasz ten dom? Wydaje mi się, że już tu kiedyś byłaś?

– Bzdura – odparła stanowczo. – Nigdy go na oczy nie widziałam. One wszystkie są takie same. To nie jest dobry dom dla ciebie, Tan.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony. – Nie podoba ci się? Przecież jest taki piękny.

– Nie mówię, że nie jest – oświadczyła, kierując się w stronę stolika na dziedzińcu. – Teraz chyba czas się napić herbaty. Masz może herbatę, Mel Lan? Upał mi dokuczył, to i zemdlałam. Chwilę sobie odpocznę i możemy wracać do domu.

– Przykro mi – odpowiedziała grzecznie Melania. – Nie mam herbaty, tylko wodę, colę albo kawę. Ja tu pracuję, nie mieszkam tutaj.

– Dobrze – skwitowała Tian Lai – może być cola, chociaż nic nie zastąpi naszej dobrej herbaty. Zapraszam cię do mojego domu, przekonasz się, jak wspaniała może być prawdziwa herbata.

– Babciu – wtrącił się gwałtownie w tę wymianę grzeczności Tan – co ty właściwie masz na myśli, mówiąc, że ten dom nie jest dla mnie dobry? To w końcu podoba ci się

czy ci się nie podoba?

– Dom jak dom – odparła krótko. – Wszystkie są takie same. W takim samym byłam kiedyś, jak byłam bardzo młoda. Pomagałam twojej babce szyć ubranie dla pani takiego domu. Moja babka, Mel Lan – zwróciła się teraz bezpośrednio do Meli. – Moja babka była szwaczką. Zwykłą, nic nieznaczącą szwaczką, ale bardzo dobrą. Dlatego pozwalano jej szyć dla wielkich dam. Dlatego widywałam takie domy, jak byłam bardzo młoda. Potem wszystkie te wielkie damy zostały wyrzucone z tych swoich pięknych domów na bruk, a moja mama nadal była szwaczką. To nie jest dobry dom dla mojego Tana. To dom burzujów i darmozjadów. Tan, jesteś wnukiem szwaczki, synem prawdziwego patrioty i komunisty. Nie dla ciebie taki dom. Pracujesz w ministerstwie, taki dom może ci tylko zaszkodzić.

– Ależ, babciu! – zaprotestował gwałtownie. – To nieprawda, nie mów tak. To ministerstwo dało mi ten dom, w nagrodę za moje zasługi. Dostałem ten dom od państwa, od partii. Nie masz się czego obawiać, to bardzo dobry dom, dla mnie i dla ciebie. To będzie teraz nasz nowy dom.

– Jak to, od państwa? Nie rozumiem. To bardzo stary dom, Tan. Tu mieszkają duchy przodków innych ludzi. Ty nie jesteś taki.

– Babciu, żadne duchy tu nie mieszkają. Całe lata mieszkał tu pracownik państwowy. Nie miał dzieci, niedawno zmarł, a dom dostałem ja. To nasz dom.

– Nasz dom... – powtórzyła staruszka w zamyśleniu.

Przez chwilę błędziła wzrokiem po ażurowych wyrzeźbionych ornamentach na drzwiach. Woda spływająca po kamieniach szemrała cicho. Tian Lai upiła odrobinę coli ze szklanki i podniosła się z leżaka.

– Dobrze, Tan – powiedziała. – Niech tak będzie. To nasz nowy dom. A zatem pokaż mi teraz, jaki on jest.

Zwiedzanie zaczęli od lewej strony, która była już prawie pusta i gotowa do remontu. Tan z zapałem opowiadał babci, jakie zmiany zamierza wprowadzić. Obiecywał jej pralkę, radio i telewizor, wszystkie te znajome przedmioty, do których była przyzwyczajona. Melania dyskretnie wycofała się do biblioteki. Zaczęła pakować piękną, rzeźbioną w feniksy komodę, starannie zabezpieczając filcem każde załamanie drewna. Dokładnie owinięte filcową otuliną meble miały być ulokowane w drewnianych skrzyniach, które następnie zostaną dokładnie wypełnione styropianem.

Głosy Tana i jego babci to przybliżały się, to oddalały. Potem umilkły. Melania wyszła na dziedziniec, usiadła przy kamiennym stoliku i zapaliła papierosa. Za papierowymi roletami widziała cienie Tana i Tian Lai, przesuwane się z pomieszczenia do pomieszczenia. Później przez chwilę ich sylwetki mignęły jej w przedsionku, a potem słyszała, jak przesuwali jakieś przedmioty w pokoju przylegającym do tego, w którym pracowała. Zgasła papierosa, napiła się coli, a potem ruszyła do biblioteki. Było gorąco, szła bosą, stąpała więc prawie

bezszelestnie. Zatrzymała się w drzwiach.

Tian Lai stała przy komodzie i delikatnie wodziła palcem po rzeźbionych orchideach i feniksach. Potem przeniosła wzrok na oklejone filcem biurko. Po jej policzkach spływały łzy. Melania przystanęła nieruchomo w cieniu, niewidoczna z wnętrza pokoju. Tian Lai podeszła do biurka, schyliła się i próbowała odchylić filcowe zabezpieczenia z lewej strony. Melania przyglądała jej się z ciekawością.

– Babciu, chodź! – rozległ się donośny głos Tana. – Odsłoniłem tę ścianę; myślę, że rzeczywiście się nada.

Tian Lai gwałtownie odsunęła się od biurka. Rozejrzała się czujnie dookoła i wtedy dostrzegła Melanię.

– Już idę, Tan! – odrzyknęła, nie odrywając wzroku od jej twarzy. – Mel Lan – szepnęła. – To dobry dom. Tan Ling jest dobrym człowiekiem. Nie skrzywdź go, proszę, po raz drugi. On wciąż cię kocha.

Odwróciła się i zniknęła za rozsuwanymi drzwiami. Melania z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Tu działo się coś bardzo dziwnego. Bardzo, bardzo dziwnego. Wróciła na dziedziniec i do końca wizyty Tana i Tian Lai siedziała w milczeniu, rozmyślając i przeglądając swoje notatki.

Mniej więcej po godzinie Tan i jego babcia pożegnali się uprzejmie i zostawili ją samą. Przedtem Melania została szalenie wytwornie zaproszona do obecnego domu Tana. Tian Lai nalegała tak uprzejmie, a zarazem tak stanowczo, że Mela nie mogła odmówić. Obiecała, że przed wyjazdem na pewno odwiedzi staruszkę, aby spróbować jej tak gorąco zachwalanej herbaty.

Po ich wyjściu wróciła do pracy. Zrezygnowała jednak z pakowania mebli, włożyła swoje drobiazgi i komputer do torby, a potem ostrożnie usunęła filcowe zabezpieczenia z biurka.

Uważnie, z lupą, oglądała je centymetr po centymetrze, co jakiś czas fotografując różne szczegóły. Nie musiała się długo zastanawiać, teraz wiedziała już, z jakiego drewna zostało wykonane, jakim rodzajem laki je pociągnięto, znała już każdy skrawek nietypowych ornamentów, oczywiście z motywami orchidei i feniksów.

Feniks był w okresie dynasti Qing, u schyłku którego biurko powstało, symbolem cesarzowej. Był jednak również często stosowanym elementem zdobniczym w ogóle. Orchidee to chyba najbardziej popularny motyw, umieszczany wszędzie; w ten sposób do niczego nie dojdzie. W przerwie na papierosa oglądała zdjęcia, które zrobiła swoim smartfonem. Powiększyła jedno z nich. Ekran przecinała długa regularna rysa w miejscu, gdzie nie powinno jej być. Mikrouszkodzenie? Nie zauważyła go wcześniej.

Zgasiła papierosa i wróciła do biblioteki. Pochyliła się przed biurkiem z lewej strony i obejrzała front. Bardziej wyczuła palcami, niż zauważyła rysę. Była naprawdę wąziutka, po prostu szczelinka w formie półksiężyca, mógłby się tam zmieścić jedynie paznokieć. Melania bez zastanowienia wcisnęła w to miejsce swój pomalowany

krwiście czerwonym lakierem paznokiec. Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, że nie ma rękawiczek, a lakier może uszkodzić biurko, pozostawić nieładny ślad na emalii.

Powodowana jakimś niewytłumaczalnym impulsem nacisnęła opuszką palca ryse. Usłyszała cichy szmer i z lewej strony biurka wysunęła się ukryta szuflada. Nie miało prawa jej tam być. Błat biurka wyglądał jak lita powierzchnia z jednego masywnego kawałka drewna. Okazało się, że jest inaczej. Tajemna szuflada zajmowała całą długość biurka, znalezienie jej, bez rozebrania mebla na części, byłoby niemożliwe. Melanii jednak to się udało.

Włożyła rękawiczki, odetchnęła głęboko i wysunęła szufladę na całą długość. W środku leżała przepiękna, antyczna nefrytowa ozdoba włosów, poźółkły ze starości dokument z pieczęcią cesarza Guangxu oraz gruby papierowy brulion, zawinięty w jedwabny szal.

Melania położyła na biurku kawałek filcu i delikatnie umieściła na nim cesarski dokument. Nie potrafiła stwierdzić autentyczności pieczęci. Widziała już dokumenty z pieczęciami dziewiętnastowiecznych cesarzy, ta tutaj wyglądała jak pieczęć Guangxu.

Z trudem odcyfrowywała mandżurskie znaki. Zarówno pisma, jak i języka mandżurskiego w dziewiętnastowiecznych Chinach prawie nie znano. Przekazy mówią, że nawet cesarze nie znali mandżurskiego. Melania studiowała jego podstawy, ale tak rzadko miała z nim do czynienia, że sama nie była pewna tego, co czyta.

Ja, Guangxu, dziesiąty cesarz dynastii Qing, Syn Niebios, Pan Krajów Państwa Środka, oraz.... I tak dalej, i tak dalej... Potwierdzam swoją pieczęcią, że dziecko mojej konkubiny Nije Ke Xin jest owocem moich łedźwi i jedynym prawowitym spadkobiercą smoczego tronu i potomkiem rodu Aisin Gioro. Jeśli moja umiłowana konkubina Nije Ke Xin powije syna, niechaj ten dokument świadczy o jego prawie do objęcia należnego mu miejsca w świecie. Oświadczam, że postanowiłem odesłać Nije Ke Xin od siebie, zmuszając ją do opuszczenia mnie i pałacu, w trosce o jej życie i o życie mojego nienarodzonego potomka. Polecam ją opiece Nieba i bogów, bowiem ja bezpieczeństwa zapewnić jej nie mogę.

Podpisano: Guangxu – i data według chińskiego kalendarza.

Melania szybko przeliczyła sobie w pamięci różnicę. Według naszego kalendarza było to w maju albo czerwcu tysiąc dziewięćset ósmego roku, zaledwie parę miesięcy przed śmiercią Guangxu i cesarzowej wdowy Cixi. Niesamowite. Jeśli ten dokument jest autentyczny, to trafiła na absolutny historyczny hit. Guangxu zmarł bezpotomnie, a i on nie był w prostej linii potomkiem cesarza, lecz jedynie synem jego brata, wyniesionym na tron przez cesarzową wdowę. Ostatnim cesarzem Chin był bratanek

Guangxu. Jeśli uwięziony cesarz miał potomka, byłaby to rewelacja na skalę światową.

Chociaż właściwie niewiele to zmieni, pomyślała Mela. Ostatni cesarz Puyi też został zwykłym szarym obywatelem Chińskiej Republiki Ludowej, z dzieckiem Guangxu nie byłoby inaczej.

Delikatnie zwinęła dokument, otuliła go jedwabnym szalem i włożyła z powrotem do szuflady. Obejrzała ozdobę do włosów. No jakżeby inaczej, oczywiście ornamenty z orchidei i feniksów. To wszystko ma jakieś znaczenie, pomyślała, tylko ja jeszcze nie wiem jakie. Schowała szpilkę razem z dokumentem. Otworzyła brulion na ostatniej stronie. W chińskim zapisie bowiem ostatnia strona jest pierwszą.

Nazywam się Sieng Nije Ke Xin. Piszę te słowa, aby dać świadectwo prawdzie...

Pamiętnik był napisany po chińsku, czytelnymi i wyrazistymi literami. Czytanie nie sprawiało Melanii żadnych trudności. Nije Ke Xin, pomyślała, w dosłownym tłumaczeniu na polski oznacza to: Wierna Bambus. Sieng – pierwsze u Chińczyków zawsze występowało nazwisko. Czyżby to ta sama Nije Ke Xin, którą cesarz Guangxu nazywał swoją umiłowaną konkubinę, poślubiła urzędnika Sienga, wcześniejszego pana tego domu? Fascynujące.

Melania spojrzała z namysłem na biurko. Musi się z tym przespać. Nie wszystkie odkrycia trzeba od razu rozgłaszać. O tym na pewno nie powie nikomu, przynajmniej dopóty, dopóki nie przeczyta całego pamiętnika. Delikatnie zamknęła szufladę, włożyła brulion do torby i pojechała do hotelu.

Pogrążona w myślach zjadła obiad w hotelowej restauracji. Potem zadzwoniła do Tana, informując go, że robi sobie dzisiaj przerwę w pracy i odezwie się jutro. Wróciła do pokoju hotelowego, ułożyła się wygodnie na kanapie i otworzyła brulion.

年

Pamiętnik Nije Ke Xin – Wiernej Bambus

Nazywam się Sieng Nije Ke Xin. Piszę te słowa, aby dać świadectwo prawdzie. Dzisiaj, patrząc wstecz na własne życie, modłę się do przodków, aby owa prawda w czasach, w jakich przyszło nam żyć, nie ujrzała światła dziennego. Wierzę jednak, że nadejdą dni, kiedy miłość zwycięży i ludzie staną się jednością. Wokół mnie szaleje stado wilków odurzonych krwią. Bogowie pozwolili mi wieść dobre i szczęśliwe życie, ale wiem, że w każdej chwili mój los może się zmienić i będę musiała opuścić swój dom, w którym przeżyłam czterdzieści lat. Będą nad nim czuwały duchy przodków mojego męża.

Ich opiece polecam moją najdroższą wnuczkę.

To dla Ciebie piszę te słowa, córko mojej córki, dla Ciebie oraz Twoich córek i synów, oby Bogowie i Niebo obdarzyli Cię ich mnogością. Wierzę, że przyjdzie dzień, gdy znajdziesz ten pamiętnik, a wtedy zrozumiesz, jak wielką siłę ma miłość i wiara. Gdy ów czas nadejdzie, gdy miłość i prawość zwyciężą, poznasz całą prawdę o swoim rodzie. Chroń tę prawdę, córko, chroń swoją rodzinę, tak jak ja przez całe moje życie chroniałam moją rodzinę i jej służyłam.

Urodziłam się w roku Szczura jako nic niewarte dziecko chińskiej służącej domu Szangazi. O swoich hańskich przodkach nie wiem nic, bo moja matka, tak samo jak ja, była nic niewartą istotą, nikim. Jesteśmy kobietami, córkami, i jako takie już z urodzenia jesteśmy nic niewarte w porównaniu z synami. Byłam owocem strasznego grzechu. Moja matka była Hanką, mój ojciec Mandzurem. Takie związki są zakazane. Cesarski edykt zabrania Mandzutom wiązania się z Hanami. My, Chińczycy, nadajemy się jedynie do służenia rodom wielkiej dynastii, która władza Chinami już trzy wieki. Jako nic niewarte dziecko płci żeńskiej dostałam imię odpowiednie do swojego stanu, nazwano mnie Chwast. Większość dziewcząt, urodzonych pod bardziej szczęśliwymi znakami, otrzymywała imiona kwiatów: Orchidea, Piwonia, Chryzantema. Ja byłam tylko Chwastem.

I chociaż wydawało się, że okoliczności moich narodzin sprawią, iż moje życie będzie nędzne, tak jak mój status, wspaniały i mocarny Szczur, którego znak patronował dacie mych narodzin, w nieoczekiwany sposób zmienił mój los.

Pan domu, w którym się urodziłam, dostojny Szangazi, był szanowanym rzeźbiarzem, stolarzem i ślusarzem. W Pekinie, ośrodku władzy cesarstwa, które władało czterystoma milionami ludzi, wielcy panowie z mandżurskich rodów najczęściej byli zatrudnieni jako urzędnicy w rozbudowanej machinie administracji. Mój pan miał wielki talent. Dlatego poświęcił się nietypowemu dla swego stanu zajęciu. Sława mego pana była tak potężna, że nie tylko rody książęce zabiegały o jego dzieła, służył nawet samej wielkiej cesarzowej wdowie, Miłosiernej, Promienistej i Mądrej Cixi.

Pan Szangazi, obdarowany przez Niebo tak wspaniałymi talentami, niestety, nie doczekał się od losu szczęścia największego podarunku, jakim są synowie. Jego dobra żona Yehala powiła mu trzech, wszyscy trzej jednak zmarli we wczesnym dzieciństwie. Dlatego, gdy dobra pani Yehala ukończyła czterdzieści lat, wybrała dla swego męża konkubinę. Ta zamieszkała w domu mojego pana i w swej podłości przez kolejnych pięć lat nie obdarzyła go żadnym potomkiem.

Dlatego pani Yehala wybrała kolejną konkubinę, piękną i młodą. I to nie pomogło, upragnionego syna nadal nie było, nie było żadnych dzieci w tym domu. Wtedy pan Szangazi skierował swą żądzę w stronę prostej hańskiej służącej, mojej matki. Pani Yehala wiedziała o tym, wiedziała o wszystkim. Sprawiedliwie, choć żelazną ręką, zarządzała całym domem. Kochała swego męża, dlatego patrzyła przez palce na jego związek z Chinką. Potem się okazało, że moja mama powiła córkę, mnie. Byłam jedynym dzieckiem w domu Szangazi. Co prawda tylko córką, jednak dzieckiem.

Zarówno pani Yehala, jak i pan Szangazi, mój ojciec, rozpieszczali mnie i kochali. To dzięki nim uniknęłam losu wszystkich chińskich dziewczynek. Chociaż byłam Hanką, a chińska tradycja wymaga, aby dziewczynkom bandażować stopy, pani Yehala zakazała mojej matce tych zabiegów, dzięki czemu miałam normalne, zdrowe nogi, tak jak dziewczęta mandżurskie.

Nasz dom, jak każdy przyzwoity dom, był podzielony na dwie części: kobiecą i męską. Oczywiście musiałam zawsze przebywać w części kobiecej, lecz jakże często karano mnie w dzieciństwie za łamanie tego nakazu. Otóż w tej zakazanej męskiej części domu znajdowało się coś, co dla mnie stanowiło największą pokusę, najwspanialszy cud.

Był to warsztat mojego ojca.

Pan Szangazi pracował w domu. Sam robił i rzeźbił swoje meble, sam wybierał drewno, emalię i okucia. Każdą część tych cudownych komód, biurków, stołów i siedzisk pieścił swymi dłońmi jak najwspanialsze ciało kobiety. Zapach drewna i emalii był zapachem mojego dzieciństwa. Mój ojciec oczywiście miał pomocników, dwóch uczniów, którzy pod jego nadzorem kształcili się w fachu stolarzy. Jakże im jednak daleko było do poziomu mistrza.

Ojciec miał rodzaj intuicji, która z bezdusznego drewnianego kłoca potrafiła

wydobyć ukryte piękno. Drewno zdradzało mu swoje tajemnice, pokazywało, jakie cuda są w nim ukryte. Pomocnicy tego nie umieli. Powielali jego wzorce, kopiowali zawite węzowe sploty, jednak duszy drewna wydobyć nie mogli. Kiedy pan Szangazi stworzył mebel, rozkładał go następnie na pojedyncze elementy, które potem wraz z pomocnikami składał ponownie już w domu klienta, zamawiającego to dzieło sztuki.

Miałam może pięć lat, kiedy ojciec zauważył, że zakradam się do warsztatu. Wydłubałam sobie w tylnej ścianie dziurkę, przez którą ukryta za kępą chryzantem, całymi popołudniami obserwowałam pracę mistrza. Wiedziałam, że czeka mnie kara, ale ojciec roześmiał się tylko i zabrał mnie do tego, jakże kuszącego, zaczarowanego miejsca. Pozwolił mi się bawić wiórami, dotykać dłut i pilników.

Począwszy od tamtego dnia, wbrew protestom pani Yehali i rozpaczycy mojej matki, każdego popołudnia, gdy pomocnicy opuszczali warsztat, pan Szangazi wzywał mnie do siebie. Przez pięć lat pod jego opieką polerowałam twarde drewno huanghuali, a potem małymi dłutami, które z czasem tylko dla mnie przygotował, by pasowały do moich dziecięcych dłoni, rzeźbiłam wzory smoków i węzowych splotów, tak charakterystyczne dla dzieł mistrza Szangazi.

Z czasem nauczyłam się podstaw konstruowania bardziej złożonych mebli, tych ze skomplikowanymi systemami zatrzaskowymi i ukrytymi schowkami. Zapadki i trybiki stały się dla mnie tym, czym dla innych dzieci klocki i kamyczki – najlepszymi zabawkami. Ojciec był ze mnie dumny, wiele razy cmokał z zadowoleniem, widząc wykonane moimi małymi dłońmi elementy zdobień. „Dobrze – mówił – bardzo dobrze. Małe dziecko, dziewczynka, widzi to, czego nie jestem w stanie nauczyć dorosłych mężczyzn”. Miał rację, bowiem tak jak on widziałam w słojach drewna góry obsypane śniegiem, tak jak on w ziarnistej strukturze deski odkrywałam obraz gwiaździstego nieba.

* * *

Melania oderwała się od lektury dopiero przed świtem. Nie dowierzała swojemu szczęściu. Niesamowite, jakimś cudem udało jej się odkryć tożsamość tajemniczego twórcy mebli z domu Sieng! Nieznana nikomu, skrzętnie ukrywana chińska córka mistrza Szangazi była mieszkanką tego miejsca. To ona musiała wykonać te wszystkie meble, ona lub jej dziecko, zapewne syn, któremu przekazała całą swą wiedzę. Ale czyżby Sieng Nije Ke Xin, tajemnicza konkubina cesarza Guangxu, i Chwast, córka pana Szangazi, były jedną osobą? Jak to możliwe?

Wydawało się wręcz niepojęte, aby chiński bękart wylądował na cesarskim dworze, a już absolutnie nierealne, aby został cesarską konkubiną. Prawa Mandżurów bardzo rygorystycznie podchodziły do kwestii pochodzenia. Żony i konkubiny cesarskie

wybierała sama cesarzowa wdowa. Dodatkowo Guangxu stał się marionetką w rękach Cixi, a z nią nie było żartów. Jej barwne życie obfitowało w nieoczekiwane zwroty. Mimo że rządziła cesarstwem w czasach, kiedy spadały na nie wszystkie możliwe klęski, począwszy od wojen opiumowych, poprzez najazdy kolonizacyjne Europejczyków, powstania ludowe, wojnę z Japonią, pragnącą dominować w Azji, i tak dalej, cesarzowa wdowa utrzymała się na smoczym tronie przez prawie pięćdziesiąt lat i przeżyła trzech władców. Ta kobieta potrafiła wymusić respektowanie prawa i jej woli. A prawo zakazujące Hanom związków z Mandżurami było jej dziełem.

Cóż, zapewne ciąg dalszy pamiętnika wyjaśni wszelkie tajemnice. Melania najchętniej w ogóle nie odrywałaby się od czytania. Poczucie obowiązku jednak zwyciężyło. Zostało jej nieco ponad tydzień na spakowanie reszty mebli, załatwienie wszystkich formalności, opróżnienie domu Tana z zakupionych mebli i pożegnanie Chin. Należało wziąć się do roboty.

Powieki opadały jej ze zmęczenia, gdyż spała zaledwie parę godzin. Po śniadaniu w hotelowej restauracji spakowała pamiętnik do plecaka i pojechała swoją vespą do domu Tana.

Całe przedpołudnie uczciwie pracowała. Potem zrobiła sobie przerwę. Zaparzyła kawę, usiadła w przytulnym zakątku dziedzińca i czytała dalej. Prawie godzinę poświęciła na rozszyfrowywanie skomplikowanych znaków na zaledwie jednej stronie. Autorka z zachwytem rozwodziła się nad specyficznymi cechami różnych gatunków drewna. Każdy pojedynczy znak trzeba było dokładnie tłumaczyć, Mela wielokrotnie sprawdzała na swoim laptopie w różnorodnych źródłach, czy się nie pomyliła w tłumaczeniu. To wszystko, co udało jej się przełożyć na polski, było napisane bardzo fachowym językiem. Nie wniosło nic nowego do historii życia Nije, ale pokazało, jak wielką sprawą dla autorki pamiętnika było rzeźbiarstwo i tworzenie mebli.

Późnym popołudniem Melania usłyszała chrobotanie klucza w drzwiach wejściowych. Odruchowo schowała pamiętnik Nije do torby. Powinna powiedzieć Tanowi o swoim odkryciu, lecz coś ją powstrzymywało. Nie próbując tego zrozumieć i nie wnikając w swoje odczucia, z uśmiechem wyszła mu naprzeciw.

– Witaj, Mel Lan – powiedział, zonglując papierowymi pudełkami, które trzymał w rękach. – Przyniosłem coś do jedzenia. Nie mam dziś zbyt dużo czasu, bo idę na spotkanie z architektem, dlatego pomyślałem sobie, że zjem coś gotowego z tobą tutaj. Pewnie znów wrócę późno do domu i babcia zmyje mi głowę, jak się dowie, że nic nie jadłem cały dzień.

– Super! – ucieszyła się. – Świetny pomysł, mnie też w brzuchu burczy, jakoś umknął mi ten dzień. Czekaaj, zgramę tylko moje manatki ze stołu i możemy jeść. Chcesz coli? Herbaty nadal nie mam.

– Może być cola – odrzekł ze śmiechem, kładąc pudełka na stole. – Widzę, że nieźle

poszłaś do przodu z robotą – pochwalił ją, kiedy już oboje jedli z apetytem pyszny makaron. – Zajrzałem do biblioteki, biurko rozpakowane. I co, wyceniłaś je?

– Wyceniłam. – Pokiwała głową. – To dzieło tego samego artysty, który wykonał większość pozostałych mebli. Podróbka stylu Ming, tak żeby pasowało do tego kompletu, który oddałeś do muzeum, jednak tylko podróbka. Łączenia, drewno i typowe zdobienia kantów, dokładnie takie same jak reszta. Początek dwudziestego wieku. Przygotowałam dziś rano papiery, możesz przysłać tu waszego eksperta, żeby porównał na miejscu opis i wycenę z papierami i zabrał dokumenty do podpisów i pieczęci. Może zostać wywiezione, więc zgodnie z warunkami kontraktu biorę je.

– Zgoda. I co, to już wszystko?

– Owszem – potwierdziła. – Powinam się wynieść do końca tygodnia. Spakuję całość, zabezpieczę do transportu i jazda.

– Opłaciło ci się? – zapytał z uśmiechem Tan.

– Jeszcze jak! – odparła zadowolona. – Na prawie połowę mebli mam już kupców. Resztę pewnie trochę potrzymam, nie wiem, może urządzę aukcję. Na pewno gdybym sprzedawała pojedyncze sztuki, miałabym większy zysk, ale wiesz, jakoś nie jestem do tego przekonana.

– Dlaczego? Przecież to twoja praca, twój cel – jak najwięcej zarobić na sprzedaży antyków.

– Właściwie masz rację, ale to nie do końca tak. Te meble to dzieło jednego artysty. Uważam, że nie powinno się ich rozdzielać. Powinny się znaleźć razem, w odpowiednim miejscu, a nie stać jak sieroty gdzieś w obcym i nieprzyjaznym otoczeniu.

– To meble, Mel Lan, nie ludzie. Nie uważasz, że otoczenie nie robi im różnicy? – Tan śmiał się w głos.

– Nie uważam – prychnęła. – Nie śmieję się ze mnie. Ty wiesz najlepiej, o czym mówię. Jesteś Chińczykiem, harmonię masz we krwi. Myślisz, że zapomniałam, z jaką miną pokazywałeś mi to wszystko? Doskonale wiesz, co mam na myśli. Tutaj, w tym domu, w tym otoczeniu, te meble są u siebie. Ten dziedzińiec, te ażurowe ściany – to dla nich odpowiednie tło. To harmonia.

– Tak. – Tan nagle spowaźniał. – Masz rację, wiem. Ale to nie dlatego... – Urwał.

– Co nie dlatego? – spytała.

– Mel Lan, proszę. Nie przerywaj mi teraz i nie zmieniaj tematu. Po prostu mnie wysłuchaj. Proszę. Zgoda?

– Dobrze. – Odłożyła pałeczki i oparła się na łokciach, patrząc na niego z uwagą.

– To nie dlatego miałem taką minę – oświadczył. – Widzisz, postarałem się o ten dom nie tylko dlatego, że chciałem, żeby babcia miała spokojną starość. Skończyłem już trzydzieści cztery lata, zrobiłem karierę, mam dobrą pracę, jestem ceniony i dobrze sytuowany. Jednak całe moje życie wypełnia jedynie praca. W końcu zrozumiałem, że

to nie wszystko. Chcę mieć dom, rodzinę, żonę. Chcę po prostu być szczęśliwy. Harmonia, mówisz? No właśnie, harmonia jest bardzo ważna, a w moim życiu jej brakuje. Nie ma równowagi. Pracuję i nic więcej, a to tylko jeden biegun. Pełnia szczęścia jest wtedy, kiedy masz rodzinę, ludzi, których kochasz i którzy kochają ciebie, i pracę, dającą ci satysfakcję. Tylko równowaga i harmonia mogą zapewnić szczęście człowiekowi. A ja chcę być szczęśliwy.

– Każdy chce – wtrąciła Melania.

– Czekaj, nie przerywaj, obiecałaś.

– Przepraszam, Tan, mów dalej.

– Dostałem więc dom, ale nie miałem nikogo, z kim chciałem w nim zamieszkać. Mel Lan, przez te wszystkie lata nie było ani sekundy, żebym o tobie nie myślał. Wymarzyłem sobie, że ten dom będzie naszym domem. A kiedy po raz pierwszy zobaczyłem jego wnętrze, wiedziałem, że tylko ciebie w nim brakuje. Cała ta nasza kłótnia była bez sensu, ale to już przeszłość. Tak naprawdę Harald i Londyn się nie liczą. Liczy się tylko to, co jest tu i teraz. Wiem. – Powstrzymał ją ruchem ręki od odpowiedzi. – Wiem, ty chciałaś tylko zamknąć drzwi. Jestem dla ciebie jedynie dawnym kochankiem. Pomyśl jednak, nie odpowiadaj mi teraz. Czy nie byłoby możliwe, abyś zamknęła te swoje drzwi przeszłości, ale otworzyła nowe, na przyszłość? Mel Lan, ja cię kocham. Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochał. Jedyne, o czym marzę, to życie z tobą. Tutaj, w tym domu albo gdziekolwiek, gdzie tylko zapragniesz. – Delikatnie i nieśmiało położył dłoń na jej dłoni. – Nie odpowiadaj teraz, nie mów nic. Zastanów się w spokoju. Może jednak mamy jeszcze szansę?

– Tan, ja... – Serce tłukło jej się w piersi jak szalone. W gardle utkwiał wielki kłoc, który pchał się w górę i je uciskał. Do oczu napływały łzy.

Tan położył palec na jej ustach. Wstał, pochylił się i ucałował włosy Melanii.

– Nie mów nic – wyszeptał. – Proszę, nie teraz. Nie mów. Daj mi jeszcze choć dzień nadziei. Wrócę.

Odwrócił się i wyszedł szybko, jakby chciał uciec.

Melania siedziała oszołomiona na krześle. Była pijana szczęściem, upojona tym krótkim, czułym dotykiem jego dłoni, zapachem, który wypełnił jej nozdrza, gdy Tan pochylił się nad nią, by ucałować jej włosy. Kochał ją? Kochał! Każdy skrawek jej ciała krzyczał z radości. Kochał! Ją! Była gotowa wybiec za nim na tę wąską, zakurzoną uliczkę pekińskiego hutongu i krzyczeć „Tak!”. Tak, Tan, mamy wszystkie szanse świata, chcę być z tobą, chcę być twoja. Potem jej oddech powoli się uspokoił. Serce wróciło do normalnego rytmu, rozedrgane mięśnie rozluźniły się i wyciszyły.

Siedziała pod karłowatą sosną i analizowała każde jego słowo. „Być z tobą – powiedział – gdziekolwiek, gdzie tylko zapragniesz”. Pomyślała, że mogłaby go zabrać ze sobą do Wrocławia, pokazać mu wszystko to, czego sama dokonała, że mogliby wspólnie prowadzić firmę. A te wszystkie miejsca, które zwiedziliby razem! Świat jest

taki piękny. Noce w ramionach Tana i dni wypełnione miłością.

Pogrążona w słodkich marzeniach Melania wróciła do pracy. Owijała meble filcowymi ochraniaczami, a potem przypinała do nich kartki z numerami katalogowymi jak automat.

Nagle zastygła w bezruchu.

A Tian Lai? A co będzie z babcią Tian Lai, jeśli Tan wyjedzie? Wybiegła na dziedziniec i zdruzgotana opadła na krzesło. Nie, nie może teraz o tym myśleć. Musi przestać. Trzeba zająć umysł czymś innym. Pomyśli o tym jutro. Tan, miłość jej życia, tak blisko, na wyciągnięcie ręki, a jednak nieosiągalny? Dlaczego? Musi natychmiast przestać o tym myśleć. Nie teraz, nie dziś.

Odruchowo sięgnęła dłonią do torby i wyciągnęła brulion.

年

Pamiętnik Nije Ke Xin – Wiernej Bambus

Gdy ukończyłam dziesiąty rok życia, mój ojciec, mistrz Szangazi, otrzymał zaszczytne zlecenie z dworu samej cesarzowej matki. Wszyscy byliśmy z niego szalenie dumni.

Cixi, cesarzowa wdowa, cesarzowa Orchidea, Stara Budda, jak ją nazywaliśmy, była najbardziej kochaną osobą w całym cesarstwie. Praca dla niej stanowiła największy zaszczyt. Na początku nic nie wskazywało na to, że Cixi zostanie cesarzową. Kiedy dostała się na dwór cesarza Xianfenga, miała być jedynie konkubina, a nie cesarską małżonką. Władca miał już jedną żonę, wybraną przez jego matkę. Miał także prawo do dziewięciu oficjalnych konkubin i dziewięćdziesięciu innych, mieszkających w Zakazanym Mieście. Cixi, która wtedy jeszcze nosiła imię Jehonala, została jedną z nałożnic. Kiedy wszakże ona jedna urodziła cesarzowi syna, wzmocniła się jej pozycja na dworze. Została drugą kobietą cesarstwa – po żonie władcy.

Gdy stary cesarz Xianfeng zmarł, a jej syn był zbyt młody, aby przejąć smoczy tron, Cixi zawarła pakt z cesarską małżonką i dzięki temu przez kolejne lata sprawowała rządy w imieniu małoletniego cesarza Tongzhi. Potem straciła syna, który umarł bezpotomnie, a wtedy Stara Budda w swojej mądrości osadziła na tronie Guangxu, krewniaka swego męża, syna księcia Yuhan, który był bratem jej cesarskiego małżonka. Tym samym na tronie zasiadł potomek mandzurskiego rodu Aisin Gioro, dziesiąty cesarz dynastii Qing. Tylko że ów władca miał cztery lata i nie był w stanie sam rządzić wielkim krajem. Dlatego w jego imieniu nadal sprawowała rządy cesarzowa Cixi. Naród bardzo ją kochał, wszyscy z mojego otoczenia ją uwielbiali. Wiele lat później, kiedy już zamieszkałam na dworze, w Pałacu Letnim, dowiedziałam się, że jednak nie wszyscy kochali Cixi, lecz to miało się dopiero okazać.

Wtedy, jako dziesięciolatka, byłam pewna, że mojego ojca i całą naszą rodzinę spotkał największy zaszczyt, jaki można sobie wyobrazić. Ojciec pracował nad tym zamówieniem całkiem sam. Nikomu nie pozwolił tknąć palcem mebli robionych na zamówienie samej cesarzowej, nawet mnie pozwolił się jedynie przyglądać. Biurko, które dla niej wykonał, miało masywny ciężki blat, a precyzyjnie wyrzeźbione na nim

wzory z orchidei i ptaków zostały wypełnione macicą perłową. Zostało pokryte wieloma warstwami czarnej laki, dlatego jego zrobienie trwało bardzo długo. W blacie mistrz Szangazi ukrył tajemną płaską szufladę, o której istnieniu wiedzieliśmy tylko on i ja. Po montażu w Pałacu Letnim, ulubionej rezydencji cesarzowej wdowy, poznała tę tajemnicę również ona.

Kiedy biurko było już gotowe, ojciec ustalił z eunuchami dokładną datę montażu. Takiego terminu nie można było nie dotrzymać. Niedotrzymanie słowa danego cesarzowej mogło kosztować niesłownego rzemieślnika głowę. I właśnie wtedy stało się nieszczęście.

W wyznaczonym dniu ojcu zapewniono wstęp do pałacu, mógł tam przyjść z jednym pomocnikiem. Gdyby mebel został przeznaczony do haremu Zakazanego Miasta, nie byłoby to możliwe. Tam prawo wstępu miał tylko jeden mężczyzna na całym świecie, cesarz Guangxu.

Oprócz niego w haremie mieszkały jedynie kobiety i eunuchowie. Gdyby biurko cesarzowej miało docelowo stać w komnatach Cixi w Zakazanym Mieście, mój ojciec musiałby nauczyć eunuchów, jak złożyć mebel, a sam nigdy nie stanąłby przed obliczem Starej Buddy.

Pałac Letni rządził się jednak innymi prawami. Stamtąd cesarzowa Orchidea rządziła państwem. Tam mogła przyjmować mężczyzn, nie narażając się na straszne konsekwencje. Zza jedwabnej zasłony wydawała polecenia swoim urzędnikom. Tam mój ojciec mógł sam złożyć to przepiękne biurko.

O poranku służba umieściła drewniane elementy na wozie, wyścielonym wieloma belami bawełny, i wszystko już było gotowe do transportu. Pomocnik ojca jednak się nie pojawił. Zdenerwowany pan Szangazi wysłał po niego służących. To było straszne! Okazało się, że obaj pomocnicy upili się ze szczęścia tak mocno, że nie można ich było dobudzić. Pan Szangazi nie mógł złożyć mebla sam, nie mógł też wziąć do pomocy któregoś ze służących. Przeniesieniem ciężkich elementów biurka do pomieszczenia, w którym miało stanąć, mogła się zająć służba pałacowa pod nadzorem mistrza, jednak złożenie całości wymagało już bardziej zaawansowanych umiejętności niż tylko siła fizyczna. Elementy należało połączyć precyzyjnymi zawiasami jednocześnie z dwóch przeciwnych stron. Do tego należało umieć się posługiwać narzędziami i idealnie zsynchronizować działanie. Byle kto tego nie potrafił.

Ojciec rwał sobie włosy z głowy. Pani Yehala szlochała rozpaczliwie. Odmowa lub opóźnienie realizacji tego zamówienia były niedopuszczalne. Oznaczałoby to upadek całego domu, a może nawet śmierć mistrza. Wśród szlochu i zamętu spojrzenie ojca padło na mnie. Byłam wysoka jak na swoje dziesięć lat. Nadal byłam dzieckiem, w mojej figurze nikt nie dopatrzyłby się ani śladu uśpionej jeszcze kobiecości, z daleka mogłam więc uchodzić za chłopaka.

– Żono – mistrz Szangazi potrząsnął szlochającą małżonką – zabierz, proszę, Chwast do swoich komnat. Odziej ją w szaty służącego i zapleć jej włosy w chiński warkocz. Szybko, to nasza jedyna szansa.

Pani Yehala posłuchała męża. W ciągu kilkunastu minut przeobraziłam się w chłopca, chińskiego służącego. Na głowę wciśnięto mi czapkę, by zakryć mi nie tyle twarz, ile moje włosy, które nie były wygolone po bokach głowy, toteż pozwalały się domyślić mojej płci. Na dłuższe zabiegi nie było czasu.

Droga do pałacu trwała prawie dwie godziny. Przez ten czas ojciec pouczał mnie, jak mam się zachowywać.

– Chwast, jesteś teraz moją jedyną szansą. Tylko ty potrafisz złożyć ze mną to biurko. Widziałaś, jak je składałem?

– Widziałam, panie – potwierdziłam posłusznie.

– Zabrałem twoje narzędzia. Będziesz potrafiła przykręcić boki do blatu, tak aby nie uszkodzić mechanizmu szuflady?

– Tak, panie.

– Teraz najważniejsze – oświadczył poważnie. – Nie wolno ci się do nikogo odezwać ani nikomu spojrzeć w oczy. Kiedy wejdziemy do pałacu, masz iść zaraz za mną. Dłonie trzymaj ukryte w kieszeniach, oczy utkwione we własnych stopach. Będę szedł wolno, abyś za mną nadążyła. Kiedy nie będę cię potrzebował, musisz stać za mną, w moim cieniu. Postaraj się być niezauważalna. Zrozumiałaś wszystko?

– Tak, panie.

– Kiedy będę rozmawiał z eunuchami cesarzowej, stój z boku z pochyloną głową albo jeszcze lepiej uklęknij na ziemi i nie podnoś twarzy. Nikt się nie będzie dziwił, to normalne. Ja sam też będę klękał przed nimi w razie potrzeby. Jak już złożymy biurko, wyjdź z sali i ukryj się w wozie. Rozumiesz?

– Tak, panie.

– To może potrwać. Możesz długo na mnie czekać. Eunuchowie przyprowadzą do mnie samą Starą Buddę. Muszę jej dokładnie pokazać, jak uruchomić mechanizm szuflady. Cesarzowa będzie obserwowała moje czynności zza zasłony, więc pewnie zajmie dobrą chwilę, zanim pojmie zasadę funkcjonowania skrytki. Poza tym przyjdzie tylko wówczas, kiedy będzie miała czas. Wiesz, że cesarzowa wdowa rządzi całym państwem. Jest bardzo zajęta, możesz wiele godzin czekać na mnie w wozie. Nie wiem, może nawet cały dzień. Wytrzymasz?

– Wytrzymam, panie.

– Dobrze, dziecko. Niech więc Niebo nad nami czuwa. Co ma być, to będzie.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Zdążyliśmy na umówioną porę dojechać do pałacu, a eunuchowie zaprowadzili nas na tyły pięknego pawilonu, gdzie kazano nam czekać kilka godzin w upalnym słońcu. W środku było dużo ludzi. Nie wiem, co

robili. Słyszeliśmy jedynie przytłumiony szmer głosów i dźwięki muzyki. Późnym popołudniem wszystko ucichło. Wtedy też służąca przyniosła nam wodę. Eunuchowie zdjęli z wozu elementy biurka i wpuszczono nas do pawilonu.

Sala, w której mieliśmy zmontować mebel, była najpiękniejszym pomieszczeniem, jakie widziałam w swoim życiu. Wszystkie ściany były rzeźbione i pomalowane na zielono i szafirowo. Między nimi błyskały złote zdobienia. Miękkie tkaniny pokrywały meble i zwisały z sufitu. Obok stolików z czarnej laki, inkrustowanych macicą perłową, podobnych do biurka, które przywieźliśmy, stały wielkie porcelanowe wazony. Wszędzie były porozstawiane złote wazy z dekoracyjnie ułożonymi jabłkami.

Pamiętałam o pouczeniach mego pana. Jedyne kątem oka zerkałam na te wszystkie wspaniałości i podziwiałam za mistrzem, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, starając się być jak najmniej widoczna. Potem przez wiele godzin mój ojciec składał biurko. Pomagałam mu, gdy tylko byłam potrzebna. Cały czas pilnował nas gruby eunuch. Stał w kącie i ziewał, nie zwracając na nas większej uwagi. O świcie pan Szangazi zakończył pracę. Uśmiechnął się do mnie i dał umówiony znak, że mam się ukryć w wozie. Montaż był skończony, teraz ojciec musiał jedynie czekać, aż Stara Budda zechce poznać tajemnicę skrytki. Powoli ruszyłam w kierunku tylnego wyjścia z pawilonu.

– A ty dokąd, chłopcze? – burknął znudzony wielogodzinnym czuwaniem eunuch, kiedy przechodziłam obok niego.

I wtedy się odezwałam. Byłam zmęczona, spragniona i głodna. Nie spałam całą dobę. Byłam tylko dzieckiem.

– Do wozu, panie – odpowiedziałam, wbijając wzrok w podłogę.

Chwycił mnie za brodę i gwałtownie pociągnął moją twarz w górę. Potem zerwał mi z głowy czapkę. Szamotałam się w silnym uścisku. Eunuch szarpnął moje odzienie tak mocno, że pękło na całej długości, odsłaniając nagie ciało.

– Dziewczyna! – krzyknął z oburzeniem. – Jak śmiesz?!

Zamachnął się i uderzył mnie tak mocno w twarz, że poleciałam parę metrów dalej na ścianę. Upadając, słyszałam nieprzyjemne chrupnięcie w barku i skaleczyłam się o coś ostrego w głowę nad czołem. Bolało okropnie. Chciałam się skulić, osłonić przed kolejnymi ciosami, ale nie mogłam się ruszyć. Poprzez krew, która zalewała mi oczy, widziałam, jak pan Szangazi biegnie w stronę grubego eunucha. Całe pomieszczenie nagle wypełniło się wrzeszczącymi eunuchami, którzy zaczęli okładać pałkami mojego ojca. Upadł na podłogę, a tamci nadal go bili i krzyczeli. Potem usłyszałam melodyjny, ale władczy głos kobiety.

– Co się tutaj dzieje? – spytała cesarzowa wdowa, która niespodziewanie weszła do pawilonu. Później dowiedziałam się, że Stara Budda każdego dnia o świcie spacerowała Długim Korytarzem, kilometrowym zadaszonym gankiem, który ciągnął się wzdłuż jeziora. Zapewne usłyszała tak niezwykajny o tej cichej godzinie hałas

i weszła, by sprawdzić, co go spowodowało.

Nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Eunuchowie padli na twarz, jeden zaś ukląkł i ze spuszczoną głową odpowiedział na pytanie:

– Stolarz Szangazi śmiał nadużyć twej dobroci, o pani, i wprowadził do pałacu kobietę. W swej bezczelności dał jej narzędzia i pozwolił, aby pracowała jak mężczyzna. To wstyd i hańba. Zhańbił święte miejsce, po którym stąpają twe stopy, o dostojna. Ukarz mnie, zabierz moje życie, bo dopuściłem do tego świętokradztwa.

– Milcz! – Cixi obrzuciła wzrokiem salę. – Chcę usłyszeć, co ma stolarz Szangazi do powiedzenia.

Eunuchowie podnieśli mojego ojca, leżącego bezwładnie na podłodze. Był nieprzytomny, przelewał im się przez ręce. Z boku jego głowy ziała czarna dziura, z której prześwitywały żółte kości oblepione krwawą masą. Nie reagował.

– Głupcy! Zabiliście go! – stwierdziła spokojnie cesarzowa wdowa. – Sprawdź! – Wskazała palcem klęczącego eunucha.

Ten podszedł do bezwładnego ciała mojego ojca i dotknął jego szyi.

– Nie żyje, pani. Stokrotnie błagam o wybaczenie. Zabierz moje życie, bo zawiniłem.

– Jedno życie na jeden dzień wystarczy – syknęła Cixi. – Gdzie ta kobieta?

Dwóch eunuchów wyciągnęło mnie z kąta, w którym upadłam, na środek pomieszczenia. Ból był nie do zniesienia. Leżałam plackiem przed cesarzową Chin, a krew skapywała z mojego czoła i wsiąkała w piękną drewnianą podłogę.

– Toż to jeszcze dziecko – powiedziała surowo Cixi. – Kim jesteś, dziewczyno?

– Odpowiadaj! – Jeden z eunuchów szarpnął mnie za ramię.

W barku chrupnęło powtórnie, nie wiem, jakim cudem przeżyłam ten okropny ból. W oczach mi pociemniało, lecz po chwili ból ustąpił. Podniesiono mnie na kolana. Wpatrzona w podłogę, odpowiadałam posłusznie:

– Jestem Chwast. Służąca domu Szangazi.

– Służąca? Hanka? – zapytała cesarzowa.

– Tak, pani.

– Co tu robiłaś, dlaczego przyjechałaś ze stolarzem, jesteś dzieckiem, czy to możliwe, że znasz się na jego pracy?

– Tak, pani, znam się. Od dziecka mój szanowny ojciec uczył mnie swojego fachu – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Ojciec? – spytała Cixi zdumiona.

Wokół mnie rozległy się oburzone syknięcia.

– Szangazi jest twoim ojcem? – powtórzyła pytanie cesarzowa.

– Odpowiadaj, nędznico! – Eunuch szarpnął mną ponownie. W barku chrupnęło mi jeszcze raz i zemdlalam.

Kiedy się ocknęłam, okazało się, że jestem w obcym pomieszczeniu, a nieznajome

kobiety krzątają się przy mnie. Byłam chora. Dwa tygodnie leżałam nieprzytomna w kwaterach służby w Pałacu Letnim, a lekarz cesarzowej leczył mój wstrząśnięty mózg i złamany bark. Od służących dowiedziałam się, co było dalej, po moim omdleniu.

Cesarzowa wdowa zleciła przeprowadzenie dochodzenia w sprawie stolarza Szangazi. Był Mandżurem, jego śmierć musiała zostać wyjaśniona i uzasadniona. Dochodzenie wykazało, że mój ojciec złamał prawo. Nie tylko związał się z Hanką, ale spłodził z nią mieszane dziecko, któremu na dodatek pozwolił żyć pod swoim dachem. Pani Yehala wiedziała o przestępstwie i zamiast powiadomić władzę, ukrywała je wraz z mężem. Zawiniła równie mocno jak on. Mandżurskie konkubiny domu Szangazi i całą służbę uznano za współwinnych ukrywania przestępstwa.

Wyrokiem cesarzowej Orchidei ród Szangazi nie był godzien życia. Chińską służbę stracono, majątek mego ojca został skonfiskowany przez państwo, a pani Yehala i konkubiny otrzymały z dworu biały jedwabny szal. Dużo później dowiedziałam się, co ten niespodziewany podarunek oznaczał. Kobiety z rodu Szangazi straciły twarz. Nie były warte, żeby dalej żyć. Cesarzowa udzieliła im wielkiej łaski, wysyłając szal, pozwoliła, aby same odebrały sobie życie. Wszystkie trzy popełniły samobójstwo.

Po kilku tygodniach, kiedy już wydobrzałam, zaprowadzono mnie przed oblicze cesarzowej Cixi. Znowu znalazłam się w tej samej sali, w której umarł mój ojciec. Błyszczące lakowane biurko stało pod ścianą, tam gdzie je wspólnie złożyliśmy.

– Zostawcie nas same! – rozkazała cesarzowa swoim melodyjnym głosem.

Była tak wspaniała, tak piękna i onieśmielająca. Włosy miała uczesane wysoko i ozdobione błyszczącymi nefrytowymi spinkami, jak nakazywała mandżurska moda. Piękna tradycyjna szata, haftowana w duże kwiaty magnolii, mieniła się wszystkimi odcieniami zieleni. Długie paznokcie osłonięte były złotymi ochraniaczami. Na drobnych stopach, wystających spod szaty, miała wysokie, haftowane w magnolie buty na czternastocentymetrowym koturnie, również zgodnie z mandżurską modą. Przyglądała mi się bacznie, gdy przed nią klęczałam. Moja głowa spoczywała na ziemi, tak jak mi polecił eunuch, który mnie tu przyprowadził.

– Ile masz lat, dziecko? – spytała łagodnie.

– Dziesięć, dostojna pani – odpowiedziałam, nie odrywając głowy od podłogi.

– Naprawdę Szangazi uczył cię tajników swojego fachu?

– Tak, pani. Od kiedy skończyłam pięć lat.

– Wiesz, że kobietom nie wolno pracować? Mają zajmować się domem i służyć mężczyźni. Zawód stolarza jest zarezerwowany dla mężczyzn – nadal łagodnie mówiła Cixi.

– Nie wiedziałam, dostojna pani. Stokrotnie błagam o wybaczenie – powtórzyłam formułkę zasłyszaną wcześniej z ust eunucha.

– Znasz tajemnicę tego biurka? – spytała z ciekawością cesarzowa.

– Znam, czcigodna pani. – Pokiwałam głową.

– To wstań i pokaż mi ją! – rozkazała.

Onieśmielona podniosłam się z kolan i w półukłonie podeszłam do biurka. Tam uklęknęłam i wcisnęłam paznokiec w niewidoczną szparę tuż pod blatem. Ukryty haczyk odskoczył, wypychając szufladę umieszczoną z boku.

– A jednak – mruknęła cesarzowa, wstając ze swego siedziska. – Już myślałam, że nie zrozumiał mojego polecenia lub je zlekceważył. Od tygodni codziennie sprawdzam to biurko i nic – ciągnęła jakby do siebie.

Podeszła do biurka i wcisnęła szufladę na miejsce.

– Teraz ja – powiedziała, przykucnąwszy obok mnie. – Pokaż mi gdzie.

Nieśmiało wskazałam palcem niewielką rysę. Cesarzowa próbowała wcisnąć tam koniuszek swojego ochraniacza na paznokiec. Był za gruby, nie sięgał ukrytego przycisku. Zirytowana zdjęła ochraniacz i spróbowała ponownie. Długi, wypolerowany paznokiec Cixi wcisnął się w wąską szczelinę. Szuflada ponownie odskoczyła bezszelestnie.

– Bardzo dobrze – powiedziała cesarzowa, podnosząc się. – Teraz porozmawiamy.

Rozkazała mi usiąść na taborecie u swych stóp i prawie godzinę zadawała najróżniejsze pytania. Potem długo przechadzała się po pokoju. Na koniec powiedziała:

– Chwast to złe imię. Jesteś inteligentna i silna. To miano do ciebie nie pasuje. Jesteś jak bambus, który przygięty do ziemi, powstaje na nowo ku słońcu. Jak bambus, który nawet odcięty od swoich korzeni, zawsze znajdzie drogę, aby się odrodzić. Od dzisiaj będziesz bambusem. – Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Tak, pani – wyszeptalam nieśmiało. – Jestem bambusem.

– Posłuchaj uważnie, dziecko. Znasz moją tajemnicę, jest teraz naszą wspólną. Nigdy nikomu nie mów o ukrytej szufladzie biurka. Tak samo, jak nigdy nikomu nie mów o swoim dzieciństwie i rodzicach. A już nigdy, przenigdy nie wspominaj nikomu o swoich umiejętnościach. Twoja przeszłość nie istnieje. Od dzisiaj zaczynasz nowe życie. Zostaniesz tutaj, pod moją opieką, na moim dworze. Jesteś mandżurską sierotą, którą przygarnęłam. Twoi rodzice byli mandżurskiej krwi. Rozumiesz?

– Rozumiem, pani – szepnęłam.

– Nazywasz się Wierna Bambus, Nije Ke Xin – powiedziała z mocą. – Nigdy inaczej się nie nazywałaś.

Uderzyła mosiężną pałeczką w tulejkę wiszącą przy ścianie. Rozległ się czysty dźwięk gongu. Już po sekundzie do pomieszczenia wszedł eunuch.

– Przygotuj wszystko do wyjazdu. Za pół godziny będę gotowa. Wracamy do Pałacu Morskiego.

– Tak, o dostojna – powiedział i upadł na kolana.

– No idź już – rzuciła zirytowana. – Coś jeszcze?

– Co zrobić z tą dziewczyną, o czcigodna?

– Z dziewczyną? – Spojrzała na mnie figlarnie. – Moją podopieczną, Nije Ke Xin, jak każdą z moich dam dworu, zawieziecie w osobnym palankinie, z należną jej czcią, do jej komnat w Pałacu Morskim. Życzę sobie, aby zawsze była pod ręką, na moje wezwanie. Zamierzam od dzisiaj spędzać więcej czasu w jej towarzystwie – oświadczyła władcym tonem zdumionemu eunuchowi.

* * *

Melania odłożyła pamiętnik na stół. Było późne popołudnie. Powinna wrócić do pracy i dalej pakować meble.

Podeszła do biurka i w zamyśleniu przesunęła palcem po wypukłej krawędzi blatu. To nie to samo, pomyślała. Tamto biurko zaginęło gdzieś w meandrach historii. Może zostało zniszczone w czasie powstania bokserów w roku tysiąc dziewięćsetnym, zaledwie dwa lata po swoim powstaniu? Czy łupieżca odnalazł tajemną szufladę i poznał tajemnice Cixi, które w nim ukrywała? Tego pewnie już nikt nigdy się nie dowie. To biurko powstało dużo później. Wierna Bambus musiała zlecić jego wykonanie komuś innemu, a może zrobiła je sama. Pewnie napisała o tym gdzieś w pamiętniku.

Chwast, który został bambusem. To prawie tak jak ja, rozmyślała Mela. Nawet jeśli nie urodziłam się bezużyteczna, to bardzo długo właśnie tak o sobie myślałam. Chwast czy Robal, co za różnica. A potem tragiczny i bolesny przypadek sprawił, że zaczęłam zmieniać się w bambus, silny, niezłomny i zwycięski. Tyle osiągnęłam. Tak, to prawda, że Harald podał mi pomocną dłoń. Tak samo jak Cixi ofiarowała Nije Ke Xin lepsze życie. Jednak tak naprawdę zarówno Harald, jak i Cixi byli jedynie narzędziami, szczeblami, po których zaczęłyśmy się piąć coraz wyżej i wyżej. To nasz własny talent, nasza praca i upór wyniosły nas tak wysoko. Ją do łóża cesarza, a potem do domu urzędnika cesarskiego, mnie do pozycji eksperta w swojej dziedzinie, z własną firmą i niezłym majątkiem. Obie zrobiłyśmy karierę, ona i ja.

Kariera, czy to takie ważne? Dopiero dzisiaj Melania tak ostatecznie zdała sobie sprawę z tego, jak puste jest jej życie. Właściwie wiedziała o tym już wcześniej, ale dzisiejsze wyznanie Tana poruszyło w niej wszystkie uspione myśli i wątpliwości. Sama przed sobą ukrywała tę pustkę przez dziesięć długich lat. Dzisiaj już nie była taka pewna, czy obrała dobrą strategię. Kocha Tana, jest tego pewna. Czy naprawdę życie, które sobie stworzyła, jest ważniejsze od tej miłości? Co ma zrobić? Co powinna zrobić? Nie wiedziała.

Wędrowała od komody do stolika, od biurka do rzeźbionych parawanów. Gładziła z czułością meble, wodziła palcami po ich krętych wgłębieniach i wypukłościach.

Z ociąganiem sięgnęła po arkusz filcu, lecz po chwili odrzuciła go z niechęcią. Powinna pakować swoje nabytki, lecz nie chciała tego robić. Niech postoją jeszcze ten jeden dzień tutaj, gdzie ich miejsce. Jutro zajmie się pakowaniem. Powkładała swoje drobiazgi do torby, zabrała pamiętnik i pojechała do hotelu.

年

Pamiętnik Nije Ke Xin – Wiernej Bambus

Rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty ósmy, w którym zamieszkałam na dworze cesarzowej wdowy, był trudnym czasem. Wtedy w szarpanym wojnami, buntami i politycznymi przepychankami cesarstwie nastąpił kolejny przełom. Straszny skandal, który ponownie wyniósł cesarzową Cixi na smoczy tron.

Dziewięć lat wcześniej moja pani oddała rządy w ręce cesarza Guangxu, sama pragnąc zaznać zasłużonej emerytury. Wtedy to przeniosła się z Zakazanego Miasta do sąsiadującego z nim Pałacu Morskiego, który był moim pierwszym domem jako Nije Ke Xin. W tym czasie trwały prace renowacyjne w Pałacu Letnim, jej ukochanej rezydencji, zniszczonej doszczętnie wcześniejszymi wojnami.

Znalazłam się wówczas sama w całkowicie mi nowym i obcym świecie, którego do końca pojąć nie potrafiłam. Uczyłam się dużo i szybko. Bardzo dużo i bardzo szybko. Cesarzowa uznała, że jestem inteligentna, toteż wymagała ode mnie dużo więcej niż od innych, nawet starszych ode mnie dziewcząt, które żyły wśród jej dworu. Dwórki cesarzowej były głównie młodymi wdowami. Wydawane za mąż w wieku czternastu lat, a więc niewiele starsze niż ja wtedy, czasami zaledwie po paru latach małżeństwa traciły mężów.

Czasy były ciężkie. Wielu mandżurskich arystokratów poległo w wojnach z obcymi mocarstwami. Cesarzowa zapewniała ich kobietom dom i opiekę. Moje dni upływały na nauce muzyki, malarstwa, a także języków obcych, czytania i pisania. Właściwie były to umiejętności wedle tamtejszych standardów całkowicie zbędne kobietom, ale cesarzowa wdowa miała własne zdanie na ten temat. Co wieczór wzywała mnie do siebie i sprawdzała, czego się nauczyłam. Nie zawiodłam jej, z reguły była zadowolona z moich postępów. Sama szalenie pracowita, wysoko ceniła sobie mój zapał do zdobywania wiedzy.

Oczywiście nie miałam wstępu do wielkiego świata polityki, ten był dla kobiet zakazany. Jedyne wyjątek stanowiła sama cesarzowa. Jednak nikt z żyjących na dworze nie mógł pozostać neutralnym, nawet nam, kobietom, nie udało się uniknąć wieści ze świata za murem pałacu.

Dawno temu, kiedy jeszcze byłam dzieckiem o imieniu Chwast, wiedziałam, że

cesarzowa rządziła dobrze i sprawiedliwie i jest przez wszystkich kochana i uwielbiana. Oczywiście najbardziej kochał ją i uwielbiał przybrany syn, cesarz Guangxu, który nazywał ją swoim wielkim ojcem. Rok po moim narodzeniu to właśnie on zasiadł na smoczym tronie, ja jednak jako dzieciak byłam przekonana, że najważniejsza jest cesarzowa wdowa. Nigdy w domu rodzinnym ani wśród sąsiadów nie słyszałam o niej słowa krytyki. Wszyscy kochali Starą Buddę.

Dopiero gdy zamieszkałam w Pałacu Morskim, z czasem powoli pojęłam ogrom intryg i nienawiści, który ją otaczał. Właśnie w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym jej przybrany syn, cesarz Guangxu, którego wyniosła na smoczy tron, dopuścił, by uknuto spisek na jej życie. Cixi była jednak bardzo mądra i przebiegła. Nie na darmo utrzymała się jako regentka przez całe dziesięciolecie. Gdy tylko wykryła istnienie spisku, umiejętnymi posunięciami politycznymi doprowadziła do zdławienia go w zarodku.

Tak do końca cesarzowa nie była pewna rozmiarów zdrady Guangxu. Wiedziała, że był człowiekiem słabym, podatnym na wpływy. Wrogowie Cixi w jego otoczeniu siali zamęt, usiłując na wszelkie sposoby umniejszyć rolę cesarzowej w powstawaniu nowych Chin, Chin otwartych na świat, nowoczesnych i silnych.

Największym wrogiem był Kang Youwei, zwany Dzikim Lisem. Kang sam rościł sobie pretensje do tronu. Marzyło mu się, by zostać demokratycznym władcą, wybranym przez lud. Omotał naiwnego cesarza zagmatwanymi projektami reform oraz oszczerstwami. Jednym z jego najpodlejszych kłamstw, które wciąż powtarzają politycy naszego państwa, było obarczenie Cixi winą za klęski Chin w wojnach. Ponoć to ona przywłaszczyła sobie pieniądze na budowę floty, aby rozbudować własną rezydencję, Pałac Letni.

Tymczasem nie było to prawdą. Cixi jako jedna z pierwszych dostrzegła potrzebę wzmocnienia marynarki wojennej Chin. To z jej inicjatywy, jak i z jej własnych środków finansowych, powstawały pierwsze nowoczesne okręty.

Kang wszelkimi siłami starał się zdyskredytować działalność i dobre imię cesarzowej wdowy wszędzie, gdzie tylko było to możliwe. Twierdził nawet, że otruła swojego własnego syna, cesarza Tongzhi, aby przejąć władzę. Jak pajak upłótł sieć intryg wokół tronu Guangxu, podsycając jego niechęć i strach przed przybraną matką. Jednocześnie przedstawiał siebie jako rycerza w złotej zbroi, jedyne, który dba o rozwój Chin, wielkiego reformatora. Zainicjowane przez Kanga, pod rządami cesarza Guangxu, sto dni reform, cieszyło się pełnym poparciem Cixi, co Dzikiemu Lisowi udało się skutecznie zatrzeć w ludzkiej pamięci i na kartach historii.

Gdyby jego plan się udał, gdyby udało mu się zlikwidować czujną Cixi u boku cesarza, być może w końcu trzystuletnia dynastia Qing zostałaby obalona, a Chiny z czasem, miast republiką, stałyby się monarchią konstytucyjną z królem elektem, powoływanym w drodze wyborów. Kto wie? Nie doszło do tego jednak. Ci, którzy nie

znali Cixi osobiście, wierzyli w plotki rozsiewane przez Kanga i jego popleczników; lecz ci, którzy ją znali, trwali wiernie u jej boku.

Spisek został udaremniony. Cesarzowa wdowa upokorzyła cesarza Guangxu, zmuszając go do wydania publicznego edyktu, w którym dla dobra narodu błagał ją o opiekę. Dzień później oficjalna ceremonia potwierdziła jej status jako regentki. Cesarzowa Orchidea powróciła triumfalnie na tron. Od tego dnia oficjalnie uczestniczyła w posiedzeniach Wielkiej Rady. Wcześniej przez całe lata rządziła w imieniu kolejnych cesarzy, wydając edykty i polecenia zza jedwabnej zasłony. Jako kobieta nie mogła postępować inaczej. Tym razem jednak była już zmęczona. Nie miała ochoty na gierki. Zasłona zniknęła i Cixi, jako pierwsza kobieta w historii dynastii Qing, stanęła na przedzie, nie chowając się za plecami mężczyzn.

Całe to polityczne tło życia w pałacu nie miało oczywiście na mnie samą żadnego wpływu. Historia zataczała swoje kręgi za murami haremu, cesarzowa podejmowała swoje decyzje, a moje życie płynęło spokojnym rytmem pracy i nauki. Kolejna wojna z obcymi mocarstwami zmusiła Cixi do poparcia buntu bokserów. Władczyni rozpaczliwie walczyła o utrzymanie dynastii i cesarstwa. W takich sytuacjach była gotowa zawrzeć pakt nawet z diabłem.

Kochałam ją z całego serca, bałam się jej jednak. No tak, szanowałam ją jak matkę, ale to, co czułam, kiedy w nocy budziłam się z krzykiem, mając przed oczami krwawą masę mózgu wyciekającą z rany w głowie mojego ojca, to nie był respekt. To był porażający zwierzęcy strach. Cixi była wielka, lecz potrafiła być okrutna, wiedziałam o tym. Kiedy bunt bokserów zmusił cesarzową do ucieczki z Pekinu do Xian, zabrano mnie razem z dworem. Wspomnienia z wygnania nie budzą we mnie do dziś żadnych traumatycznych uczuć. Owszem, podróż była uciążliwa, ale potem wszystko wróciło do normy.

Moje spokojne życie na dworze trwało jeszcze pięć lat. Pięć lat nauki, względnego spokoju i opieki najpotężniejszej kobiety Chin. Nie mogę powiedzieć, że byłam przyjaciółką czy powierniczką Cixi, nie mogę również uznać, że traktowała mnie jak córkę. Była dla mnie wszakże dobra i szczodra. Dzięki niej otrzymałam staranne wykształcenie, podparte dużą porcją praktycznych umiejętności.

Przez te pięć lat chłonełam gorliwie wszystko, co mi ofiarowano. Cesarzowa nie zwierzała się nikomu; mimo tłumy ludzi, który prawie zawsze ją otaczał, była najbardziej samotną osobą, jaką znałam. Zawsze znalazła jednak czas, aby ze mną porozmawiać. Tematyka tych rozmów, o ile nie dotyczyły mojej nauki lub przedstawień operowych, które uwielbiała, była jednostronna i prawie zawsze dotyczyła cesarza Guangxu. Biednego, marionetkowego cesarza, uwięzionego najpierw w Pałacu Morskim, przylegającym do Zakazanego Miasta, a potem w Pałacu Letnim. Całe lata płacił za swój grzech, za nieme wsparcie zamachu na życie Cixi, a ona nadal się go obawiała. Tak jak Dziki Lis Kang karmił Guangxu

opowieściami, mającymi podsycać nienawiść władcy do cesarzowej, tak ona przez te całe pięć lat karmiła mnie swoimi obawami przed zagrożeniem ze strony więźnia. Cóż jej mógł zrobić, strzeżony dzień i noc?

Wtedy tak nie myślałam, wierzyłam każdemu słowu mojej pani. Dlatego kiedy poprosiła mnie, piętnastoletnią Nije Ke Xin, Wierną Bambus, abym jako nieoficjalna konkubina Guangxu pełniła dla niej funkcję szpiega, zgodziłam się bez namysłu. Dziś, gdy piszę te słowa i wiem już, jak potężna jest siła indoktrynacji, pewnie podjęłabym inną decyzję. Jednak to właśnie tamta decyzja uczyniła ze mnie tę, którą jestem dzisiaj – Wierną Bambus, żonę, matkę i babkę. To tamta decyzja pozwoliła mi zrozumieć, że jest siła silniejsza niż indoktrynacja, silniejsza od prawdy i kłamstwa. Moja siła to miłość.

* * *

Melania czytała całą noc. Usnęła przed świtem. Po paru godzinach snu obudził ją dźwięk telefonu.

– Dzień dobry, Mel Lan – usłyszała głos Tana.

– Witaj – przywitała się ciepło.

– Jak się czujesz? Już niedługo południe – powiedział z niepokojem. – Nie znalazłem cię w domu, czekam już dwie godziny. Czy wszystko w porządku?

– Oczywiście – zapewniła go zdecydowanym tonem. – Zaspałam.

– Oj, obudziłem cię? Wybacz, proszę.

– Nie mam czego wybaczać. Dobrze, że zadzwoniłeś. Gdyby nie to, pewnie przespałabym pół dnia, a przede mną jeszcze tyle pracy.

– Mel Lan? – zapytał. – Spotkasz się ze mną wieczorem? Nie mogę dłużej czekać tutaj, wzywają mnie do biura. Proszę, zobaczymy się dziś, porozmawiamy?

– Tak, Tan. – Uśmiechnęła się do słuchawki. – Spotkajmy się wieczorem w mojej hotelowej restauracji, dobrze? Porozmawiamy. Nie zamartwiaj się, wszystko będzie dobrze.

– Do wieczora, Mel Lan.

– Do wieczora.

Odłożyła telefon na szafkę. Sama jeszcze nie wiedziała dokładnie, co mu powie. Wiedziała, że go kocha i chce z nim być. Jeszcze tylko nie wiedziała, jak to urządzić. To nic, rozwiązania przyjdą same, gdy nadejdzie czas. Dzisiaj powie mu tylko to, co czuje. Tak tęskniła za jego pocałunkami. Czy to już dziś? Czy dziś sobie przypomni, jak one naprawdę smakowały?

Zdecydowała, że nie będzie już spać. Musi sobie zrobić przerwę od pamiętnika i od rozważań. Wzięła prysznic i postanowiła pojechać do domu rodziny Sieng. Praca

fizyczna dobrze jej robi. Chciała zabezpieczyć i popakować przynajmniej te przedmioty, na które są już nabywcy. Im szybciej zamknie te transakcje, tym lepiej. Reszta rzeczy może poczekać, ale te, które zostały już kupione, mogą jechać do Polski choćby jutro.

Skontaktowała się telefonicznie ze swoim biurem. Poleciała, by przygotowano zarówno transport pierwszej partii mebli do Polski, jak i dalszą ich wysyłkę do nowych właścicieli. Napisała parę mejli, ustalając szczegóły, załatwiła parę telefonów. Od jutra pieniądze od klientów powinny zacząć spływać na konto firmy. Tym samym kredyt obrotowy ulegnie zmniejszeniu i nie będzie trzeba płacić wysokich odsetek. Wypłatę zaliczki dla Tana zleciła bankowi już po wstępnych ekspertyzach.

Zamknęła pamiętnik w hotelowym sejfie i pojechała do hutongu. Pracowała wytrwale do późnego popołudnia. Tak jak sobie zaplanowała, meble były już przygotowane do wysyłki. Skontaktowała się z pracownikami ministerstwa, których jej przydzielono w charakterze asystentów. Ucieszyli się, że mogą pomóc.

Przed umówioną kolacją czuła się jak nastolatka przed pierwszą randką. Starannie wybierała garderobę, wielokrotnie zerknęła w lusterko, sprawdzając makijaż. O dziewiętej zeszła do lobby. Tan czekał na nią z kwiatami. Elegancki, uroczysty, gładko ogolony i pachnący. Ucałowała go w policzek i weszli do restauracji.

– Wiesz – odezwał się zduszonym głosem, przeglądając menu – wcale nie mam apetytu. Zamówię to samo, co ty wybierzesz.

Melania rozejrzała się wokół. W restauracji było niewielu gości. Kelnerzy obserwowali ich czujnie jak sępy padlinę, czekając na najmniejsze skinienie. Restauracja była sztywna, nieprzytulna i nie zapewniała ani odrobiny intymności, której oboje teraz tak bardzo potrzebowali.

– To nie ma sensu – uznała w końcu Melania. – Mam lepszy pomysł, chodźmy do mojego pokoju. Napijemy się wina i spokojnie pogadamy. Tutaj mi się nie podoba.

– Chodźmy! – ucieszył się i szarmancko odsunął jej krzesło.

W windzie milczeli jeszcze nieporadnie, ale kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju, żadne słowa nie były potrzebne. Melania utonęła w ramionach Tana, zatraciła się w jego pocałunkach. Rozbierał ją powoli i zmysłowo, tak jakby mieli przed sobą całą wieczność. Potem kochali się, na nowo odkrywając swoje ciała. Dziesięć lat rozłąki roztopiło się w pocie ich złączonych ciał.

Późną nocą leżała przytulona do ukochanego.

– Nawet jeśli pytanie jest głupie i nie na miejscu – odezwał się – powiedz mi, co postanowiłaś.

– O, to jeszcze nie zauważyłeś? – droczyła się z nim. – Postanowiłam cię uwieść i wykorzystać, a potem porzucić zhańbionego na śniegu. Kocham cię, głuptasie, nie widzisz tego?

– To wiem – mruknął z zadowoleniem. – Dałaś mi dziś wieczorem wyraźne dowody,

i to parę razy. Najważniejsze już wiem, teraz powiedz tylko, co będzie dalej?

– Sama nie wiem. – Usiadła na łóżku i spojrzała na niego poważnie. – Oczywiście będziemy razem. Tylko jak? – Wzruszyła ramionami.

– Normalnie – odparł spokojnie. – Jak wszyscy inni ludzie. Jeśli chcesz, pobierzemy się. Ja bardzo bym chciał, ale jeśli to ci nie odpowiada, nie będę się upierał. Kochamy się i to najważniejsze. Ludzie żyją razem również bez ślubu i dobrze im ze sobą. Nam też będzie dobrze.

– W to nie wątpię. Źle się wyraziłam. Nie jak, tylko gdzie? Powiedziałaś tam, w domu, że gdziekolwiek będę chciała. Jak ty to sobie wyobrażasz, Tan?

– Wiem, co powiedziałem, Mel Lan. Możemy mieszkać wszędzie, gdzie tylko będziesz chciała. W Londynie, w Pekinie, w Polsce. Słyszałem, że polski jest jednym z najtrudniejszych języków, ale jeśli będzie trzeba, to się nauczę. Ty się nauczyłaś chińskiego, więc ja się nauczę polskiego. Jestem niesłychanie uzdolniony, wiesz? To gdzie chcesz mieszkać, Mel Lan?

– Moje całe życie jest we Wrocławiu, w Polsce. Ale to nie takie proste, ty nie możesz wyjechać z Pekinu.

– Mogę. Czasy się zmieniły. Jeśli się uda, to może nawet dostanę pracę w Polsce i wyjadę oficjalnie na zlecenie rządowe, albo jakiejś innej jednostki, nie wiem. Mam sporo znajomości, zawsze się znajdzie jakieś wyjście.

– A twoja babcia? – spytała cicho i niepewnie.

– Babcia... – powtórzył z wahaniem. – Mel Lan, ja... Nie wiem. – Rozłożył bezradnie ręce. – Tak bardzo skupiłem się na sobie, na tobie, no wiesz, na nas. Tak bardzo marzyłem o tej chwili, że nie przemyślałem, nie zaplanowałem jeszcze żadnych szczegółów. Nie wiedziałem nawet, czy będziesz mnie chciała. A teraz... Nie wiem, ale na pewno znajdzie się jakieś wyjście. Może... Ten dom jest duży i piękny. Może moi rodzice wrócą do Pekinu i z nią zamieszkają? To dobre rozwiązanie.

– Babcia bardzo cię kocha. Twoi rodzice to nie ty. Ile ona ma właściwie lat?

– W przyszłym roku skończy dziewięćdziesiąt.

– Piękny wiek.

– To prawda – odrzekł. – Jak na swoje lata jest po prostu wspaniała. Widziałaś ją przecież. Jest taka energiczna, stanowcza. Myślę, że jeśli ktokolwiek ma szansę żyć wiecznie, to właśnie ona. Możemy przecież co roku ją odwiedzać.

– Możemy – potwierdziła Melania. – Wiesz, myślę, że nie powinniśmy dzisiaj podejmować decyzji. Poczekajmy jeszcze, przemyślimy to razem.

A potem znowu zaczęli się całować i znowu, i znowu...

Przed świtem Melania zmusiła Tana, by wrócił do domu. Nie należało niepokoić staruszki. Kiedy poszedł, nie mogła usnąć, wcale nie była zmęczona. Wyciągnęła z sejfu brulion i zaczęła czytać dalej.

年

Pamiętnik Nije Ke Xin – Wiernej Bambus

Przywilejem cesarzowej wdowy było wybieranie kobiet dla władcy. Dlatego nikogo nie zdziwiło, kiedy któregoś dnia Cixi przedstawiła mnie Guangxu jako jego nową nałożnicę.

Moja najukochańsza wnuczko, dla której spisuję te wspomnienia. Nie potępiaj mnie, nie oceniaj. W dzisiejszych czasach zapewne uznasz, że postąpiłam podle. Całe życie uczyłam Cię, że najważniejsza jest miłość i rodzina. Wpajałam Ci szacunek do Twojego dziadka, mojego czcigodnego męża Sieng Tan Linga. Nie kłamałam, starałam się przekazać Ci tę najważniejszą prawdę, opartą na moich własnych doświadczeniach. Pojęłam ją wiele lat później, dzięki czulej, wiernej i lojalnej miłości Tana. Wtedy, jako piętnastolatka, jeszcze tej wiedzy nie miałam. Dlatego zgodziłam się zostać szpiegiem cesarzowej wdowy. Czy straciłam przez to twarz? Tak właśnie możesz dziś uważać, ale zanim wyrobisz sobie jakiegokolwiek zdanie, przeczytaj ten pamiętnik do końca. Wysłuchaj opowieści o moim życiu i Twoich przodkach.

Musisz zdać sobie sprawę z paru istotnych faktów, które wprawdzie nie miały bezpośredniego wpływu na moje losy, mimo to jednak ukształtowały moją opinię o świecie i były pośrednim powodem decyzji i wyborów, jakich dokonywałam.

Żyłam w bardzo niespokojnych czasach. Wojna z Japonią tak naprawdę zaczęła się jeszcze przed moimi narodzinami, a zakończyła dopiero z nastaniem nowych Chin, tych dzisiejszych, w których już nie ma miejsca dla cesarzy. Wówczas, gdy mieszkałam jeszcze w Pałacu Letnim, nastanie tych nowych Chin było wręcz nie do pomyślenia. Cesarz był synem Niebios, najwyższym absolutnym władcą, nie wyobrażaliśmy sobie, że nasz kraj może bez niego istnieć. Dla Cixi największym zmartwieniem nie były wojny z potężnymi, dalekimi europejskimi mocarstwami, które wydierały Chinom ich ziemie, szarpiąc i kłusząc nasze terytorium jak hieny konającą gazelę. Ani nie bunty ludu, rozsądnie przez nią tłumione, nie liczne zamachy na nią samą czy też członków jej rodziny i dynastii Qing.

Największe obawy budził w niej ów maleńki kraj w Azji, wyspa, której rozmiary, w porównaniu z naszym wielkim krajem, wydawały się tak mikroskopijne, że wręcz

śmieszne. Japonia w tamtych czasach gwałtownie się rozwijała i poszerzała swoje granice. Jej marzeniem stały się wielkie Chiny. Wielu dyplomatów z otoczenia cesarzowej prowadziło projapońską politykę, Cixi wiedziała jednak, że to doprowadzi do klęski naszego kraju. Pod japońskim butem stracilibyśmy niezależność i wolność, tak jak utraciła ją Korea.

Dlatego właśnie moja pani żywiła obawy, że jeśli cesarz Guangxu, którego swoboda znacznie się powiększyła od powrotu dworu z Xian, przyłączy się do stronnictwa projapońskiego, a tym ludziom uda się go przekonać i wykraść z aresztu domowego, gdzie go faktycznie trzymała, to wielka dynastia mandzurska upadnie, a wraz z nią Chiny. Lud bowiem, przez lata nauczony czcić cesarza jak boga, pójdzie za nim.

W tych ostatnich latach swoich rządów cesarzowa wdowa sprawiła, że wdrożono wiele reform, które miały sprawić, aby Chiny w bezkrwawy sposób zmieniły swe oblicze. Nie mówię tu jedynie o unowocześnieniu przemysłu i rolnictwa, o kolei żelaznej czy szkołach. Cixi dążyła również do głębokich przemian społecznych. Była dalekowzroczna. Wiedziała, że zmiany są potrzebne, a ruchy republikańskie przybierają na sile. Dla niej republika była nie do pomyślenia, głęboka wiara cesarzowej w świętość dynastii i władzy cesarza nie była egoistycznym pragnieniem utrzymania władzy i przywilejów. Ona w to naprawdę wierzyła.

To jej edykty wprowadziły podstawy do przekształcenia monarchii absolutnej, jaką było cesarstwo, w monarchię konstytucyjną. Pragnęła zmian społecznych, zniosła segregację między Hanami i Mandzurami. Gdyby prawda o moim pochodzeniu wyszła na jaw parę lat później, niż to się stało, mój ojciec i matka żyliby nadal. Zaledwie parę lat po ich śmierci związek Mandzura z Chinką przestał być występkiem i przewinieniem, bo ów zakaz został zniesiony. Jednak mimo tych wszystkich posunięć Cixi była Mandzurką z krwi, kości i przekonań. Chociaż kraj podążał już drogą reform, ona sama restrykcyjnie utrzymywała na dworze tradycyjne mandzurskie obyczaje, ubiory i fryzury.

Ale nie o tym chciałam opowiadać. Strach przed Japonią sprawił, że cesarzowa czuła się coraz bardziej zagrożona i pragnęła mieć przy osobie cesarza kogoś zaufanego, kto by pilnował, aby jej największe obawy się nie spełniły. Ja sama wierzyłam jej ślepo i dlatego zgodziłam się przyjąć tę rolę.

Co prawda cesarz Guangxu był mile zaskoczony niespodziewaną łaską Cixi, lecz podarunek, czyli mnie, przyjął bardzo nieufnie. Nie myśl, że nagle zamieszkałam z nim na wyspie przy Pałacu Letnim i dzieliłam stół i łóżko, jak z Twoim dziadkiem. To było nie do pomyślenia, wówczas to wszystko funkcjonowało całkiem inaczej. Guangxu mieszkał sam, otoczony służbą. Kobiety z jego otoczenia przebywały osobno, w haremie, którym zarządzała sama cesarzowa wdowa. Właśnie tam żyłam nie tylko ja, ale wszystkie dwórki cesarzowej wdowy, nałożnice władcy i oczywiście

cesarzowa Longyu, żona Guangxu. Biedna Longyu, cicha, brzydka, stara i odrzucona.

Nie mam pojęcia, czym kierowała się Cixi, mając nadzieję, że uda mi się wkraść w łaski cesarza i zbliżyć do niego. Właściwie wydawało się to z gruntu nierealne. Musisz wiedzieć, że do tego, jakim człowiekiem był Guangxu, przyczyniły się również jego wychowanie i wcześniejsze doświadczenia.

Był najważniejszą osobą w czterystumilionowym cesarstwie, Synem Nieba, wszechwładnym cesarzem, ale szczęśliwego dzieciństwa to ten nasz władca nie miał. Jako prawie niemowlę został wyrwany z domu rodzinnego i osadzony na tronie, którego nigdy nie pragnął. Był wychowywany przez eunuchów i nauczycieli. Rolę ojca, czyli również mężczyzny w jego życiu, oficjalnie odgrywała cesarzowa Orchidea, nieoficjalnie zaś wybrani przez nią nauczyciele – mężczyźni. Rolę matki zaś, krótko niestety, cesarzowa Zhen, która wraz z Cixi dzieliła tron cesarski jako regentka. Zhen była ponoć wspaniałą, ciepłą, dobrą kobietą i nie rościła sobie praw do męskich obowiązków. Podczas gdy Cixi zajmowała się sprawami państwa, normalnie przynależnymi cesarzowi, Zhen rządziła haremem i opiekowała się kobietami i dziećmi. Ona jedna była dla małego Guangxu prawdziwą matką. Niestety, Zhen zmarła zbyt wcześnie.

Wszystkie pozostałe kobiety w życiu cesarza wybierała Cixi. To ona zdecydowała, że jego żoną zostanie Longyu. Guangxu nienawidził swojej małżonki. Była od niego starsza o ponad pięć lat, nieatrakcyjna, wręcz brzydka. Była jednak uległa wobec Cixi, dlatego właśnie została wybrana. Dwudziestojednoletnia w dniu ślubu Longyu wręcz stanowiła dla Guangxu obrazę. Nawet śliczne dwunasto- i czternastoletnie konkubiny Zhen i Jin nie osłodziły mu tej zniewagi. Ponadto wszystkie nałożnice cesarza oficjalnie podlegały Cixi, której panicznie się bał, trudno więc mu było zaufać wybranej przez nią kobiecie.

Guangxu od dzieciństwa był chorowity, miał problemy z płucami. Wychowany i kształcony tradycyjnymi, przestarzałymi metodami, separowany od kobiet i otoczony eunuchami, instynktownie obawiał się płci żeńskiej. A jego strach przed cesarzką Cixi, jego „cesarskim ojcem” spowodował, że ta obawa przekształciła się z czasem w upartą wrogą niechęć.

Jak w takiej sytuacji ja, Nije Ke Xin, nałożnica wybrana przez Cixi, miałam zdobyć jego względy? Wydawało się to niewykonalne. Jednak przenikliwość cesarzowej nie miała sobie równych, moja pani dostrzegła we mnie to, czego nawet ja sama nie dostrzegałam.

Ponad rok wędrowałam między haremem a willą w Pałacu Letnim, w której mieszkał cesarz. Rok bezsensownie stracony. Całymi dniami stałam nieruchomo w jego obecności, niedostrzegana i ignorowana. Taka była moja rola. Obserwowałam tryb życia Guangxu, jego przyjaciół i gości, a potem składałam raporty cesarzowej

i nic się nie działo. Nigdy nie zaprosił mnie na noc do swojej sypialni, nigdy nie rozmawiał ze mną, poza zdawkową wymianą grzeczności. Po roku śmieszny przypadek sprawił, że wszystko się zmieniło.

Guangxu uwielbiał muzykę. Nawet sam z zapałem grał na różnorodnych instrumentach perkusyjnych. Często musiałam stać godzinami, wysłuchując jego popisów. Nie był wyjątkowo uzdolniony, za to pełen zapału. Któregoś dnia w czasie takiego koncertu cesarz niechcący zniszczył jeden ze swoich instrumentów, wielki bęben, jego ulubiony. Dotąd wydawał głębokie, grzmiące odgłosy, a po uszkodzeniu jedynie klekotał płytko i nieprzyjemnie. Pudło rezonansowe pękło i zniekształcało dźwięk. Guangxu był niepokieszony. Przeklinał i rzucał przedmiotami w eunuchów, którzy nieudolnie próbowali naprawić instrument. Oczywiście było wiele innych, ale ten lubił najbardziej i chciał go mieć z powrotem.

Z jednej strony nie po raz pierwszy uderzyło mnie, jak infantylny i porywczy jest ów dorosły mężczyzna. Zachowywał się niczym pięcioletni chłopczyk, któremu zabrano zabawkę. Z drugiej zaś było mi go żal, jak małego dziecka. Sama zresztą lubiłam muzykę, już wtedy grałam na bianzhongu, klasycznym starożytnym instrumencie, dlatego odrobinę rozumiałam żal Guangxu. Łamiąc tradycję, ośmieliłam się odezwać niepytana.

– Panie, Synu Niebios, władco mojego życia i śmierci, niechaj wolno mi będzie, niegodnej, ulżyć twemu rozczarowaniu – powiedziałam, opadając na kolana i przyciskając twarz do ziemi.

Zapadła całkowita cisza. Dwóch eunuchów przypadło do mnie i zastygło w bezruchu, czekając na rozkazy. Konkubiny, stojące obok mnie, padły na twarze, drżąc ze strachu. Skupieni wokół bębna eunuchowie, którzy próbowali owinąć jedwabnymi sznurami pękniętą, odstającą część, patrzyli na mnie z przerażeniem. Na parę sekund czas się zatrzymał. Wszyscy czekali na rozkaz, powodujący mój upadek, moje odsunięcie, a kto wie, może nawet straszliwsze konsekwencje. W końcu cesarz, bardziej zdumiony niż oburzony, podniósł się z siedziska i uczynił krok w moją stronę.

– Jak śmiesz... – zaczął groźnie, a potem jakby zmienił zdanie i zapytał: – Jak niby mogłabyś mi ulżyć? Ty?

Nadal leżałam z twarzą przyciśniętą do ziemi.

– Podnieś się, Nije Ke Xin. Odpowiadaj!

Uklęłam i spoglądając mu w oczy, co było kolejnym oburzającym wykroczeniem, wyjaśniłam spokojnie:

– Drewno pudła rezonansowego rozkleiło się jedynie. Nie widzę pęknięcia wzdłuż słoja ani połamanych elementów. Potrafię to naprawić, o najczciwocześniejszy, jeśli tylko mi pozwolisz. Gdy się uszczelnę podstawę, już jutro twój bęben, o panie, znowu będzie śpiewał tak słodko, jak do tej pory.

– Ty? Naprawić? – zdziwił się Guangxu. – Jak to możliwe, jesteś przecież kobietą, mandzurską damą, dla których praca rąk jest hańbą?! Kłamiesz! Ale podejdź tu i napraw to.

Na kolanach zbliżyłam się do instrumentu. Było dokładnie tak, jak mi się wydawało z daleka. Łączenie pękło, stary klej puścił. Przy odrobinie szczęścia uszczelnienie załatwi sprawę. Trzeba tylko oczyścić i wygładzić miejsce pęknięcia i skleić krawędzie na nowo.

– Mój panie – powiedziałam, zwracając się ku cesarzowi twarzą. – Nie mogę naprawić bębna od razu. Jego rany może zaleczyć tylko czas. Nie potrzebuję go jednak wiele, wystarczą dwa dni, aby klej wysechł porządnie. Jeśli mi pozwolisz, panie, zabrać bęben do komnat, pojutrze zwrócę ci naprawiony.

– Nie wierzę ci – stwierdził ironicznie. – Zabierzesz bęben i podmienisz na nowy. O nie! Naprawisz go tutaj, przy mnie. Chcę na to patrzeć. Biada ci jednak, jeśli tego nie dokonasz. Zostaniesz surowo ukarana za swą bezczelność.

– Tak, panie, stanie się wedle twego rozkazu – odparłam, potulnie schylając głowę. – Błagam jedynie, aby pozwolono mi przynieść z mych komnat niezbędne do naprawy narzędzia.

Zgodził się. W asyście strażników wysłano mnie do haremu. Eunuchowie patrzyli na mnie kpiąco i całą drogę szeptem naśmiewali się z głupich kobiet, które posuwają się do kłamstw, aby zyskać spojrzenie mężczyzny. Byli przekonani, że nie mam żadnych narzędzi i jedynie w ten sposób próbowałam zwrócić na siebie uwagę. Tymczasem mylili się bardzo.

Jak Ci wiadomo, wnuczko, na dworze cesarzowej wdowy odebrałam staranne wykształcenie. Jako jej protegowana, cieszyłam się nawet pewnymi przywilejami. Nauczyłam się tam pisać i czytać, jednak podstawowym obowiązkiem mandzurskiej damy było umieć zabawić mężczyznę. Dlatego ja i inne dziewczęta pobierałyśmy lekcje poezji, śpiewu, muzyki oraz malowania, haftowania i szycia. Cóż, poezja jakoś do mnie nie przemawiała. Z muzyką było lepiej, pokochałam czyste, melodyjne dźwięki dzwonów i nauczyłam się gry na bianzhongu, a z czasem nawet skonstruowałam własny instrument, którego brzmienie potrafiło naśladować szum wiatru w trzcinach i zadumane cykanie świerszcza.

Szycie nie było dla mnie trudne. Z dzieciństwa miałam jeszcze w pamięci prostotę i logikę tworzenia mebli, dlatego krojenie nieskomplikowanych szat nie stanowiło problemu. Trudniej już było je zszywać, ale kompletną porażkę poniosłam przy nauce haftowania i malowania na jedwabiu. Śliska i miękka materia wymykała się spomiędzy moich palców i robiła, co chciała.

Cesarzowa była jednak mądra. Potrafiła z każdego wydobyć to, co najlepsze. Wiedziała, gdzie tkwi moja siła. Delikatne dłonie innych dwórek pieściły miękkie jedwabie, moje ręce natomiast potrafiły wydobyć miękkość i piękno z najbardziej

twardego i opornego drewnianego kłoca. Dlatego, gdy moje towarzyszki malowały, mnie wolno było rzeźbić. Z tego też powodu miałam własny komplet dłut, pilników oraz zapas kleju stolarskiego i emalii.

Teraz z dumą wręczyłam mój kuferek eunuchowi i wróciliśmy do komnaty Guangxu. Cesarz z ciekawością przyglądał się mojej pracy. Wieczorem ustawił przy bębnie strażników, mnie zaś odesłał do haremu, nakazując zaufanemu eunuchowi, by nie spuszczał ze mnie oka przez kolejny dzień. Ten dzień spędziłam na modlitwach, by klej trzymał i by ciekawscy słudzy nie poruszyli schnącego bębna.

Po czterdziestu godzinach zaprowadzono mnie ponownie do komnat cesarza. Drżącymi rękoma złożyłam pozostałe części instrumentu. Zamocowałam owczą skórę na wyschniętym pudle rezonansowym i w pokorze przypadłam do ziemi. Guangxu z niedowierzaniem ujął młot i osobiście uderzył delikatnie w bęben. Przytłumiony grzmot przetoczył się echem po jeziorze. Cesarz uderzył śmielej i mocniej, a potem kolejny raz i kolejny. Potężne grzmoty rozbrzmiewały w komnacie i odbijały się od wzgórz otaczających Pałac Letni. Uśmiech rozjaśnił twarz mojego pana.

– Dobrze się spisałaś – powiedział do mnie. – Zostaniesz wynagrodzona. Jutro zaś, jest moim życzeniem, abys towarzyszyła mi przy posiłku. Chcę się dowiedzieć więcej na temat twoich talentów.

Dzięki temu cudownemu przypadkowi udało mi się wzbudzić zainteresowanie Guangxu. Jednak zainteresowanie, moja wnuczko, to jeszcze nie zaufanie. Na zaufanie cesarza ciężko pracowałam kolejne dwa lata. Z czasem staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Nadal nie było między nami żadnej intymności, ale owe dwa lata pozwoliły mi zrozumieć i polubić tego nieszczęsnego człowieka.

Biedny Guangxu. Nigdy nie powinien zostać wyniesiony tak wysoko. Kompletnie nie nadawał się na władcę. Był cichym i nieśmiałym człowiekiem, popychanym jak trzcina na wietrze w każdym kierunku, w którym sobie życzył wiatr. A tych wiatrów wokół niego dmuchało tak wiele. Był łatwowierny, wierzył każdemu i we wszystko, dlatego tak łatwo mu przychodziło naginać się do cudzej woli. Jednocześnie pochlebcy podsycali jego ambicje, wmawiając mu, że jest władcą najlepszym z możliwych, jego mądrość jest nieograniczona, a rządy mogą doprowadzić Chiny do pełni szczęścia.

Tym czasem Guangxu, wychowywany przez konserwatywnych nauczycieli, nie miał żadnych zdolności, żadnej pożytecznej wiedzy i żadnego przygotowania do rządzenia krajem. Jego poglądy praktycznie nie istniały, były kompromisem między romantycznymi wyobrażeniami o życiu narodu a rozbuchanym przekonaniem o własnej nieomyślności i wszechwładzy.

Żył odizolowany w świecie złudzeń i bajek. Nie miał pojęcia o polityce, administracji i realnym życiu milionów ludzi, będących jego podwładnymi. Dla niego życie chłopca stanowiło pasmo słonecznych dni, wypełnionych zapachem orchidei,

które ten ze śpiewem na ustach pielęgnował. Cesarz nie zdawał sobie sprawy, co to ciężka praca, opłacona krwią i potem. Nie wiedział, jak to jest nie mieć co jeść, nie mieć dachu nad głową.

Ja zresztą też nie wiedziałam. W tamtych dniach, tak jak Guangxu, żyłam pod kloszem. W domu mojego ojca stolarza, artysty i rzeźbiarza, byłam pieszczona i kochana. W pałacu nigdy niczego mi nie brakowało. Potem, w domu mojego męża, także żyłam otoczona jego opieką i miłością. Do dzisiaj nie wiem, jak wygląda prawdziwe życie. Tak samo jak ty, moja wnuczko.

Jedynie z gazet i opowieści znamy to inne życie, tak nam obce, tak przerażające. Już niedługo, za parę dni, może za parę tygodni, przyjdzie mi je poznać osobiście. Czy uda mi się przetrwać w tym obcym świecie? Nie wiem. Trzy miesiące już Cię nie widziałam. Błagam duchy przodków, aby pozwoliły Ci wrócić do mnie cało i zdrowo.

Cesarz Guangxu po raz pierwszy wezwał mnie do siebie na noc w roku tysiąc dziewięćset siódmym. To był wielki zaszczyt. Cixi, której nadal składałam codzienne raporty, z jednej strony cieszyła się moim sukcesem, z drugiej zaś wyczuwałam w jej zachowaniu wobec mnie dziwną, nieznaną dotąd rezerwę. Obserwowała mnie uważnie, nieoczekiwanie zadawała podchwytliwe pytania, sprawiała wrażenie wręcz zazdrosnej. Nadal byłam w stosunku do niej lojalna, ale zapewne obawiała się, że zbliżenie cielesne obudzi we mnie miłość do Guangxu i przeniesie moją wierność na jego osobę.

Nie stało się tak, gdy chodzi o mnie, ale cesarz zakochał się poważnie. Tak jak słabym był człowiekiem, tak samo był nieudolnym kochankiem. Usiłował kupić sobie moją miłość prezentami, obsypywał mnie klejnotami, pięknymi luksusowymi przedmiotami. Przyjmowałam je z wdzięcznością, ale nie potrafiłam go pokochać. Było mi go żal, lubiłam go i to wszystko. Ufał mi, dlatego delikatnie próbowałam nieco złagodzić jego strach przed cesarzową.

Przeciwnicy władczyni z całych sił wkładali mu do głowy nienawiść do Cixi, starali się mu wmówić, że ta pragnie jedynie jego śmierci. Pewnie za bardzo się nie mylili, gdyż żyjący Guangxu stanowił tykającą bombę. Gdyby tak wpadł w łapy japońskich agitatorów, los dynastii Qing zawisłby na włosku. Jednak Cixi nie była żadną mordą harpią, jak ją przedstawiali jej wrogowie. Była wytrawnym, dalekowzrocznym politykiem i nawet jeśli życzyła sobie śmierci nieudolnego przybranego syna, to na pewno nie uczyniła nic, aby ją przyśpieszyć. Na to nie pozwalała jej głęboka wiara w świętość dynastii, rodziny i władzy cesarskiej.

Dlatego łagodziłam obawy cesarza i starałam się naprawić stosunki między obojgiem. Gdy zrozumiałam, jak ciężkie jest życie Guangxu, ogarnęło mnie głębokie współczucie dla tego nieszczęsnego władcy. Mimo to nadal byłam lojalnym szpiegiem Cixi, jej Wierną Bambus.

Sytuacja się zmieniła, gdy zrozumiałam, że jakimś cudem zaszłam w ciążę. To był początek roku tysiąc dziewięćset ósmego. Zarówno cesarz, jak i Cixi niedomagali. Jego choroba płuc się nasilała i rzadko się zdarzały noce, gdy był w stanie cieszyć się moimi kobiecymi wdziękami. Najczęściej rozmawialiśmy lub muzykowaliśmy. Tylko muzyka potrafiła pobudzić mojego pana tak, aby przychodziła mu chęć na intymne pieszczoty. No i stało się. Nosłam w sobie smocze nasienie.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, co się stanie, gdy to rozgłoszę. Zaszczyty, wyniesienie do roli jednej z najważniejszych kobiet cesarstwa, drogie prezenty i kariera. Jednocześnie byłam świadoma, że jeśli urodzę syna, to natychmiast zostanie mi odebrany. Wiedziałam, jak wyglądało życie Guangxu. Nie takiego losu pragnęłam dla swojego dziecka.

Owszem, mieszkałam w przepychu i luksusie. Ale jednocześnie my wszyscy, tu, na dworze, żyliśmy w ciągłym strachu przed Japończykami i wojną, przed republikanami, rozruchami i zamachowcami. Dodatkowym niebezpieczeństwem były wieczne intrygi. Jedno złe słowo, jedno oszczerstwo mogło strącić człowieka w otchłań zapomnienia, a czasami nawet doprowadzić do jego śmierci. Nie chciałam takiego życia dla tego dziecka. Marzyłam, żeby wychowywało się otoczone miłością i szczęśliwe jak ja w domu swojego ojca. Dlatego uknułam intrygę, w wyniku której udało mi się podstępem oszukać wszystkich, odzyskać wolność i dać swojemu dziecku prawdziwy dobry dom.

* * *

Rano Melania pojechała do domu Tana. Gdyby mogła, pozostałaby w swoim hotelowym pokoju i dalej czytała pamiętnik Nije Ke Xin. Losy córki mistrza Szangazi były fascynujące.

Nadal nie rozwikłała tajemnicy, nadal nie wiedziała, kto wykonał tamte piękne meble, musiała wszakże uzbroić się w cierpliwość. Do tej pory nie wspomniała nikomu o skrytce i pamiętniku. Niewiele brakowało, a w nocy powiedziałyby o tym Tanowi. Powstrzymała się jednak. Nie odda pamiętnika nikomu, dopóki nie pozna całej historii do końca.

Cesarski dokument, napisany karmazynowym atramentem, potwierdzający, że dziecko Nije jest potomkiem rodu Aisin Gioro, jedynie komplikował sprawę.

Miała świadomość, że jeśli teraz ujawni te rewelacje, natychmiast odsuną ją od całej sprawy. Bo to już nie będzie kwestia ekspertyzy jakichś tam starych mebli. Nowa, nikomu nieznaną gałąź dynastii Qing to sprawa historyczna i polityczna. A Melania nie miała najmniejszych wątpliwości, że od wszelkich problemów politycznych zostanie odsunięta bezzwłocznie i nieodwołalnie. Dlatego milczała i czytała w pośpiechu.

Musiała jednak przynajmniej markować swoje zajęcie, bo jej nagła obojętność wobec tak lukratywnej transakcji, jaką było kupno mebli z domu Sieng, mogła wzbudzić podejrzenia.

Dlatego rano spakowała pamiętnik do torby i pojechała do hutongu. Umówieni poprzedniego dnia pracownicy ministerstwa i urzędu celnego przyjechali doglądać wywozu pierwszej partii jej nabytków. Melania towarzyszyła im przy sprawdzaniu dokumentów i plombowaniu skrzyń.

– Piękne rzeczy – odezwał się jeden z asystentów, gdy zrobili sobie przerwę na papierosa. – To niesamowite, ile skarbów mógł kryć taki niepozorny dom, prawda?

– O, tak – potwierdziła ochoczo. – Meble, które kupiłam, są naprawdę piękne i doskonale zachowane. Ale to i tak nic w porównaniu z tymi wszystkimi przedmiotami, zabranymi wcześniej do ekspertyz. Doktor Monica Merlow była zachwycona kolekcją z czasów dynastii Ming. Teraz to będą perełki w zbiorach pekińskich muzeów.

– Ming to jeszcze nic! – wykrzyknął podekscytowany asystent. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co tam było? Eksperci znaleźli nawet parę okazów z czasów dynastii Song. Wyobrażasz sobie?! Przecież to rewelacja na skalę światową. Wszyscy sądzili, że zabytki z czasów wcześniejszych niż Ming prędeż można znaleźć w Nankinie albo w Xian niż tutaj. A jednak okazało się, że nie. Już wcześniej wiedzieliśmy, że skarbcze Zakazanego Miasta kryły niesamowite cuda, ale byliśmy pewni, że wszystko to zostało zniszczone i rozkradzione po wojnach opiumowych przez Europejczyków. O, przepraszam... – Umilkł zawstydzony nietaktem.

– Nie przepraszaj – odrzekła ze śmiechem. – Wszystko w porządku, ja nie kradłam. Opowiadaj, skąd wiedzieliście, co tam było?

– W archiwach znajdują się protokoły z inwentaryzacji skarbców – odpowiedział z rozpędu. – To znaczy, wiesz, nie tylko Europejczycy kradli. Większość historycznej spuścizny narodowej została wywieziona na Tajwan, ale to nieistotne. No więc słuchaj, w dokumentach inwentaryzacyjnych z Pałacu Letniego z roku tysiąc dziewięćset piątego występowały wszystkie znalezione tutaj cenne, zabytkowe przedmioty, ten komplet mebli z laki także. W archiwach uchowały się tylko te spisy, późniejszych nie ma, zginęły. Dlatego byliśmy przekonani, że to wcale nie Europejczycy ani nie Czang Kaj-szek, tylko że jakoś, no wiesz... – Zająknął się. – Zginęły w czasach rewolucji. No bo potem już w żadnych spisach ich nie było. A tu nagle, bum – trach, niespodzianka.

– Ciekawe, jak to wszystko się tu znalazło – zastanawiała się Melania.

– Ciekawe. – Asystent pokiwał głową. – W dokumentach nie ma śladu, ale ja tam mam swoją teorię.

– Jaką?

– No wiesz, tutaj u schyłku cesarstwa mieszkał taki zwykły urzędnik Sieng. Pracował w Zakazanym Mieście, może sobie tak sztukę po sztuce po cichu przywłaszczzał? Oni

byli potwornie skorumpowani i zdemoralizowani. Jak taka szuja cichcem kradła, to nawet wyrzutów sumienia nie miała.

– Może – odrzekła powątpiewającym tonem Melania. – Ale jakoś mi się wierzyć nie chce. Urzędnicy pałacu byli upiornie skrupulatni. Znasz archiwa, czytałeś spisy. Nawet cesarzowi wyliczali prawie co do ziarenka przysługujące mu kilogramy ryżu. Pamiętam, że gdzieś w jakimś rozdzielniku czytałam, ile czego przysługiwało konkubinie na miesiąc. Tam było dokładnie wyliczone, do jakiej ilości mięsa i jakiego, ilu metrów jedwabiu na suknie, ilości opału i w ogóle wszystkiego każda miała prawo. Nawet skarpetki i nici do haftowania im wydzielali. To ty myślisz, że takim detalistom umknęłaby kradzież na tak wielką skalę? Przecież oni robili te swoje spisy rok w rok. Odhaczali każdą rzecz na liście, a jak czegoś zabrakło, to pisali szczegółowe protokoły, dlaczego i w jakich okolicznościach doszło do zaginięcia. Nie sądzę, żeby ten Sieng mógł to wszystko sobie przywłaszczyć.

– E tam! – Jej rozmówca machnął ręką. – Jak złodziej chce, to ukradnie. Nie takie rzeczy znikają bez śladu. Albo może ktoś dostawał to na łapówki i cichaczem co lepsze sztuki zatrzymywał dla siebie. Takie sytuacje też się zdarzały, a oni szastali łapówkami na wszystkie strony. Jestem prawie pewien, że ten Sieng kradł.

– Już to widzę, jak cichaczem wynosi metrową amforę z porcelany przez bramę Zakazanego Miasta! – zachnęła się zirytowana Melania, nie wiadomo dlaczego usiłując bronić dobrego imienia kompletnie jej nieznanego urzędnika. – I już widzę, jak ją szmugluje przed nosem straży pałacowej. Pewnie w bucie – prychnęła.

– Ja tam swoje wiem – mruknął asystent i zgasił papierosa w popielniczce. – Ten cały Sieng to był niezły cwaniak i złodziej, mówię ci.

Po jakiejś godzinie urzędnicy z ministerstwa i celnicy opuścili dom. Skrzynie z meblami załadowano na ciężarówkę, która z dużym trudem przecisnęła się przez ciasne uliczki hutongów pod bramę domu Tana. W południe transport odjechał na lotnisko, skąd jeszcze dziś miał bezpośrednim lotem powędrować do Warszawy, gdzie czekali już na odbiór pracownicy Melanii. Pozostałe meble stały, jak stały. Melania niemrawo okręciła filcem nogi komody, a potem, uznając, że wykonała już wystarczająco ciężką pracę, usadowiła się na leżaku pod sosną i wróciła do przerwanej lektury.

年

Pamiętnik Nije Ke Xin – Wiernej Bambus

Sieng Tan Ling był jednym z urzędników pracujących dla dworu. Oczywiście nigdy nie zostałam mu przedstawiona, byłam konkubina cesarza, i jedynym mężczyzną, poza eunuchami, który miał prawo mnie zobaczyć, był sam Guangxu. Moje miejsce było w haremie, a bramę haremu kobieta mogła przekroczyć tylko raz, przybывая tam jako nałożnica. Gdybym mieszkała w Zakazanym Mieście, zapewne żyłabym i umarła zamknięta za jego murami.

Jednak to, że należałam najpierw do dworu Cixi i mieszkałam w Pałacu Letnim, nieco zmieniało mój status. Ponadto zostałam podarowana cesarzowi jako prezent, rzecz. Nigdy nie brałam udziału w oficjalnym wyborze konkubin, nigdy nie zostałam mianowana nałożnicą. Dlatego właściwie byłam nie wiadomo czym, po części konkubina, po części niewolnicą. Mojego statusu nigdzie jasno nie określono. Jednak jako kobieta cesarza i tak nie miałam żadnej szansy na kontakty z innymi mężczyznami. Dlatego też nigdy oficjalnie nie poznałam Sieng Tan Linga.

Wiedziałałam jednak, że jest prawym i dobrym człowiekiem. Urzędnik Sieng, co dziwne, był lubiany zarówno przez moją panią, jak i przez cesarza. Wielokrotnie zdarzyło mi się, jako damie dworu, słyszeć poprzez zasłony w komnatach cesarzowej Orchidei, jak moja pani z nim rozmawiała. Słyszałam również bezpośrednio od niej samej dobre rzeczy na jego temat. Ceniła Sienga za uczciwość, spokój, rzetelność i rzeczowość. Nigdy go nie widziałam, nawet nie próbowałam spojrzeć zza zasłony, to było zbyt niebezpieczne.

W komnatach cesarza również nigdy go nie widziałam, ale Guangxu mi ufał i zwierzał się ze swoich przemyśleń. Często opowiadał o swoich rozmowach z Siengiem, które wykraczały daleko poza sprawy urzędowe. Sieng Tan Ling, w odróżnieniu od pochlebców i podżegaczy otaczających cesarza, zawsze koił jego rozterki i go uspokajał. Guangxu najbardziej cenił w nim prawdomówność. Wiedział, że otaczają go wrogowie, szpiegowie lub pochlebcy, a w tym świecie fałszywców Sieng wydawał się jedyną przyjazną duszą. Nie prawił komplementów, nie próbował się płaszczyć ani podlizywać. Zawsze z należnym szacunkiem wyjaśniał władcy zawile aspekty administracyjne i spokojnie, rzeczowo wskazywał nie tylko rozwiązania

problemów, ale również ich przyczyny. Swoimi słowami Sieng nieświadomie wspierał moje próby zmniejszenia strachu cesarza przed Cixi i załagodzenia ich wzajemnej nienawiści.

Tym razem stało przede mną bardzo trudne zadanie. Musiałam szybko i skutecznie unicestwić całą pracę, której oddawałam się przez ostatnie lata. Nie miałam innego wyjścia, Guangxu, a właściwie jego fobie, stanowiły moją jedyną szansę. Przez kolejne tygodnie delikatnie podsycalam obawy cesarza przed Cixi. Zwiększałam jego lęki, w pełni świadomie dręczyłam go, przypominając mu nieszczęśliwe dzieciństwo i wszelkie upokorzenia, jakich doznał od swojej przybranej matki. Jednocześnie symulowałam w mej sypialni miesięczne krwawienie, aby żaden szpieg się nie zorientował, że noszę w łonie cesarskiego potomka.

Wiedziałam, że jeśli dowie się o tym cesarzowa wdowa, będę stracona na zawsze. Zarówno ja, jak i to nienarodzone jeszcze dziecko staniemy się jej całkowitą własnością, kolejnym narzędziem politycznych planów i ambicji. Tak jak wcześniej narzędziem był jej rodzony syn, cesarz Tongzhi, a także obecny władca, Guangxu, w których imieniu rządziła krajem.

Miesiąc później byłam gotowa. Po miłym wieczorze, spędzonym przy muzyce, gdy Guangxu miał wyjątkowo dobry nastrój, padłam przed nim na kolana i drżącym głosem powiedziałam:

– Panie mego życia, miłości mego serca, niechaj twoje dni będą wypełnione radością.

– Wstań, Nije – odrzekł ze śmiechem. – Jesteśmy tu sami, we dwoje. Dworska etykieta może zostać za drzwiami. Wiesz przecież, jak bardzo cię kocham. Wstań, usiądź obok mnie i powiedz, co cię dręczy.

– Panie, jestem brzemienna, noszę w sobie twoje dziecko – szepnęłam nieśmiało, przytulając się do niego.

– Co? – Ujął mnie za brodę, podniósł moją twarz i spojrzał mi badawczo w oczy. – Jak to? Jak to możliwe, przecież już tak dawno...

– Siedem tygodni temu, panie – wyszeptałam wstydliwie, spoglądając mu prosto w oczy. – W ten cudowny wieczór, gdy grałam ci na bianzhongu arie z opery, a ty, tak brawurowo grając na bębnach, uczyniłeś moją muzykę idealną.

– Wspaniale! – wykrzyknął, podrywając się z łoża. – Oczywiście, że wtedy! Cudownie! Nareszcie! Teraz, kiedy spłodziłem dziedzica smoczego tronu, już nikt nie będzie śmiał mną pomiatać. Nareszcie zajmę należne mi miejsce. Syn! – ekscytował się. – Musisz urodzić mi syna, Nije! Trzeba to natychmiast ogłosić! Medyka!

– Nie, Panie, błagam, nie! – rozpłakałam się rozpaczliwie.

– Nije, ukochana. – Przytulił mnie. – Nie płacz. To najwspanialsza wiadomość. Uczynię cię cesarzową. Będziemy mieć syna!

– Panie, błagam, wysłuchaj mnie – powiedziałam. – Ty już masz cesarzową. To

dziecko jest dla ciebie potwornym zagrożeniem, wysłuchaj moich słów.

– Jak to, zagrożeniem, co ty opowiadasz, kobieto?

– Wiem na pewno. Sam także to wiesz, mój panie. Ty, cesarz Chin, najpotężniejsza osoba na świecie, jesteś praktycznie więźniem. Błagam, zastanów się, przypomnij sobie, jak to było, gdy byłeś dzieckiem. Cesarzowa wdowa nigdy nie wypuści władzy z rąk. Jeśli urodzi się dziecko, w którego imieniu będzie mogła rządzić kolejne lata, to zabierze je, tak jak ciebie zabrała z domu rodziców. Wtedy nic jej nie powstrzyma. Nie będziesz jej już więcej potrzebny. Umrzesz. A ja, choć jestem matką tego dziecka, nie będę miała nic do powiedzenia. Zabiorą mi nasze dziecko, i cesarzowa uczyni je swoim. Wiesz, że tak będzie.

Czując wstręt do samej siebie, obserwowałam, jak jego oczy wypełniają się zwierzęcym przerażeniem. Zrozumiał, uwierzył. Jego wszystkie obawy się spełniły. Bał się, że przez to dziecko, które rośnie w moim łonie, mógłby stracić życie. Teraz musiałam być bardzo ostrożna. To oczywiste, że Guangxu za chwilę zacznie postrzegać mnie jako zagrożenie. Ryzykowałam dużo. Jeśli nie uda mi się podsunąć Guangxu mojego pomysłu, jeśli nie uzna go za swój własny, to mimo że mnie kocha, zrobi wszystko, aby się pozbyć zagrożenia.

– Czy ktoś wie, że jesteś w ciąży? – zapytał szeptem.

– Nie, mój panie, ale dziecko rośnie, za parę miesięcy nie będę tego mogła dłużej ukrywać.

– Nije Ke Xin, musisz się pozbyć tego dziecka – oświadczył z bólem w głosie.

– Tak, panie – odpowiedziałam poważnym i smutnym tonem. – Nie ma dla mnie nic ważniejszego niż twoje bezpieczeństwo.

Milczeliśmy oboje; po policzkach Guangxu zaczęły spływać łzy. Wtedy powiedziałam:

– Może jednak jest inna możliwość, panie. Gdyby twój syn miał szansę na normalne życie i dorósł, to zapewne uwolniłby cię, panie, z twego więzienia i osadził na tronie, który ci się należy.

– O czym ty mówisz, Nije? Oszalałaś? To nierealne!

– Kto wie? Gdybyśmy dobrze to rozegrali? – zastanawiałam się na głos.

– Co rozegrali? Mów wyraźnie!

– Gdyby oddalono mnie z pałacu, mogłabym ukryć ciążę i urodzić dziecko gdzieś, gdzie nikt by nawet nie podejrzewał, że to twój syn, panie.

– Mrzonki! – Wzruszył ramionami. – To tak samo nierealne jak to, że jutro wybiorę się na wycieczkę bez strażników. Jesteś tak samo więźniem, jak ja. Nie rób sobie fałszywych nadziei.

– Panie, potrzebowałibyśmy pomocy, ale to mogłoby się udać. Jeśli się nie uda, pozbędę się dziecka. Jednak to twój syn; nigdy o tym nie zapomnę i nigdy nie będę mogła tego sobie wybaczyć. Myślę, że warto spróbować.

– To nierealne, ale dobrze, powiedz, jaki masz plan.

– Gdybyś, panie, oddalił mnie od siebie. Z wielkim hukiem, z awanturą, oskarżając mnie o podłe czyny i narzekając na moją bezpłodność...

– To wróciłabyś do haremu i żyła tam nadal jako odrzucona konkubina. Wyśmiewana i lekceważona przez wszystkich, do momentu, aż twój brzuch by urósł. A potem, wszyscy wiemy, co by się stało. Chcesz, żebym popełnił samobójstwo?

– Nie, panie – odparłam spokojnie. – Jeśli w złości podarowałbyś mnie jakiemuś mężczyźnie, to zgodnie z prawem, musiałabym do niego należeć jako jego niewolnica. Nikt nie śmiałby podważyć cesarskiego rozkazu.

– I co by to dało? – zapytał z zainteresowaniem. – Ów mężczyzna szybko by się zorientował, że jesteś brzemienna, a tym samym wracamy do punktu wyjścia.

– Niekoniecznie. Jeśli ten mężczyzna zostałby dopuszczony do naszej tajemnicy, jeśli wynagrodziłbyś mu jego milczenie, to może zgodziłby się przedstawić dziecko światu jako swoje własne. A gdy twój syn by dorósł... – Zawiesiłam głos.

– Nie mam nikogo takiego. Otaczają mnie sami szpiedzy i wrogowie – burknął i zamyślił się na chwilę.

Siedziałam cichutko jak mysz pod miotłą, wstrzymując oddech. Cesarz milczał parę minut. Potem, jak spełnienie wszystkich moich błagań, z jego ust popłynęły ciche słowa:

– Ale jest Sieng Tan Ling...

Wszystko szczegółowo zaplanowaliśmy. Zgodnie z moimi przewidywaniami Sieng Tan Ling nie zgodził się przyjąć żadnej łapówki. Cesarz, który wcześniej nauczył się prawie na pamięć moich argumentów, przekonał go do naszego planu. Przedstawił moją ciężę nie tylko jako zagrożenie dla cesarstwa pod rządami Cixi, lecz jednocześnie, ze względu na panującą sytuację polityczną, odmalował ją jako nadzieję dla dynastii i zabezpieczenie na przyszłość.

Ponadto uderzył w czułą strunę Sieng Tan Linga, przedstawiając siebie jako troskliwego ojca, który jedynie pragnie dobra swego nienarodzonego syna. Przypomniał tamtemu swoje tragiczne dzieciństwo i błędy popełnione przez Cixi. Przyznał się nawet do własnej politycznej niedojrzałości, zwalając winę przytomnie na edukację, narzuconą przez cesarżową. Chciał, aby jego syn uniknął takiego losu i został wychowany przez światłego i mądrego człowieka, za jakiego uważał urzędnika Sienga, a kiedy nadejdzie czas, zajął należne miejsce na tronie.

Oczywiście dopiero wtedy, gdy zabraknie energicznej i mądrej władczyni. On sam nie nadaje się do rządzenia państwem, a jego syn, z dala od dworu, stanie się o wiele lepiej do tego przygotowanym, nowoczesnym i silnym cesarzem. To wszystko przekonało Sieng Tan Linga. Zgodził się przyjąć mnie do swojego domu, traktować z szacunkiem jako matkę przyszłego cesarza i wychować młodego władcę, ukrywając

jego pochodzenie dotąd, aż nadejdzie stosowny czas.

Tym samym połowa mojego planu została zrealizowana. Teraz była przede mną znacznie trudniejsza część, lecz o tym cesarz Guangxu nie miał pojęcia.

Zgodnie z ustaleniami, niespełna tydzień od naszej rozmowy Guangxu spoliczkował mnie w obecności cesarzowej wdowy i z hukiem odsunął od siebie. Biedak odegrał najlepszą rolę swojego życia. Gdyby z takim zapałem i przekonaniem walczył o tron, jak wówczas walczył o wiarygodność naszego przedstawienia, zapewne Cixi nie miałyby żadnych szans na regencję, a Chiny już dekadę wcześniej stałyby się słabym i bezwolnym wasalem Japonii. W czasie awantury nie obyło się bez krzyków i zarzutów o szpiegowanie Guangxu oraz próby zabicia go ze wsparciem eunuchów. Cesarz wymieniał imiona służących, którzy naprawdę pracowali dla Cixi. Ta, zaskoczona siłą jego wybuchu, ukręciła łeb sprawie i zabrała mnie do swoich komnat. Oczywiście Guangxu nie zapomniał w napadzie udawanej wściekłości „podać mi” temu nic niewartemu psu Siengowi.

Cixi została postawiona w trudnej sytuacji. Zbyt wielu ludzi słyszało awanturę. Marionetkowy cesarz wydał rozkaz, którego nie mogła zignorować. Z drugiej strony byłam wobec niej zawsze lojalna. Uważała mnie za swoją wierną służącą i usiłowała chronić. Klęczałam, płacząc, w jej komnacie i przykładałam chłodny kawałek bawełny do puchnącego policzka. Cesarzowa przechadzała się nerwowo tam i z powrotem, myśląc gorączkowo. Potem usiadła na krześle obok mnie i powiedziała:

– Nije Ke Xin, moja Wierna Bambus. Nie obawiaj się, nie pozwolę cię skrzywdzić. Służyłaś mi przez wszystkie te lata, a ja zawsze wynagradzam lojalnych służących. – Poklepała mnie po głowie. – Chcesz zostać w haremie jako moja dwórką? To nie będzie łatwe, cesarz cię odprawił, na pewno na początku będziesz musiała znosić drobne złośliwości, ale to z czasem przeminie.

– Nie, pani, błagam! – Rozszlochałam się gwałtownie. – Umrę tutaj. Wiem, jak traktuje się znieślawione konkubiny. Widziałam, jak wszyscy odnosili się do pani Jin. Zaszczuli ją tak, że w końcu połknęła spinkę do włosów, by umrzeć. Nie, oszczędź mi tego losu. Lepiej od razu mnie zabij.

– Uspokój się, Nije – powiedziała władcym tonem. – Nikt tu nikogo nie będzie zabijał. Cesarz podarował cię urzędnikowi Siengowi. Pozwól mi się zastanowić. Sieng to człowiek rozsądny, młody, ale rozsądny. Nie ma jeszcze żony, a chyba czas najwyższy, aby się ożenił. Jesteś Mandżurką, moją protegowaną, masz duży posag i właściwie nigdy nie byłaś mężatką. No cóż, zobaczymy. Chcesz opuścić dwór?

– Tak – wyszlochałam, gwałtownie kiwając głową.

– Dobrze – odparła. – Jeśli już, zgodnie z cesarską wolą, masz być własnością urzędnika Sienga, to na pewno nie jako niewolnica.

Odesłała mnie do moich komnat, a po dwóch dniach się okazało, że jestem zaręczona z panem Siengiem, a mój wyjazd do domu nowego męża zaplanowano już za parę tygodni. Co więcej, okazało się, że otrzymałam od cesarzowej wspaniały posag, w skład którego wchodziły przepiękne lakowe meble – reszta kompletu, który przepadł w czasie powstania bokserów w Pałacu Letnim. Tego samego, do którego mój ojciec, stolarz Szangazi, dorabiał biurko na zlecenie Cixi. Dary ślubne od cesarzowej były naprawdę bardzo szczodre. Służący zwozili do domu mojego męża całe skrzynie pięknych ozdobnych przedmiotów z brązu, miedzi i porcelany. Sieng Tan Ling nie chciał przyjąć łapówki od cesarza, ale prezentów ślubnych od cesarzowej nie miał prawa odmówić.

Zanim zostałam odwieziona do domu męża, służące ubrały mnie w szatę ślubną. Gdy stałam tak, już prawie gotowa, jedynie bez zasłony na twarzy, czekając na palankin, cesarzowa Cixi uczyniła mi wielki zaszczyt i przyszła do moich komnat osobiście, jak matka, która wyprawia swą córkę w tę najważniejszą podróż. Nie zważając, że mogę zniszczyć moje piękne szaty i kunsztowną mandżurską fryzurę, padłam na kolana z twarzą pochyloną do ziemi.

– Wstań, Nije Ke Xin – powiedziała serdecznie cesarzowa. – Twój mąż jest dobrym człowiekiem, nie obawiaj się o swą przyszłość. Byłaś mi wierną służką, teraz nasze drogi się rozchodzą. Nie zaniedbaj swojego talentu, bo jest wyjątkowy.

Wyjęła z własnej fryzury przepiękną nefrytową szpilkę i wpięła mi ją we włosy.

– To mój prezent tylko dla ciebie – powiedziała. – Niech ci przypomina twoją cesarzową i niech zawsze będzie dla ciebie potwierdzeniem tego, kim jesteś. Bambusem, nieugiętą, silną i utalentowaną mandżurską kobietą. Życzę ci długiego życia w radości i wielu synów.

Ta spinka, moja wnuczko, czeka na Ciebie ukryta wraz z moim pamiętnikiem i świadectwem twego pochodzenia. Jeśli los nas nie połączy, niechaj ona zdobi Twoje włosy i włosy Twoich córek w dniu ich zamążpójścia.

* * *

Melania odetchnęła głęboko. Zawartość pamiętnika w pełni potwierdzała autentyczność cesarskiego dokumentu w ukrytej szufladzie biurka. Chciała już natychmiast wiedzieć, co będzie dalej. Tymczasem jej telefon komórkowy już od parunastu minut pikał niecierpliwie, sygnalizując nadejście SMS-a. Sprawdziła wiadomość.

„Kocham Cię, każda minuta bez Ciebie jest stracona. Zobaczymy się dziś wieczorem? U Ciebie? Tan”.

Serce Melanii wywinęło radosnego koziołka. Tan Ling, tak samo się nazywał

urzędnik Sieng, ciekawy przypadek. Ale wielu Chińczyków nosi imię Tan albo Ling, nawet nazwisko Tana, Gong, jest szalenie popularne. Jeśli zdecydowałyby się za niego wyjść, nazywałyby się tutaj Gong Melania. Hmm, Melania Gong brzmi głupio, ale nie głupiej niż Melania Robak. Jak przy tak mizernym nazwisku jej mama mogła jej dać tak wymyślne imię? Lepiej by pasowało na przykład Anna albo Krystyna. Do jej ewentualnego chińskiego nazwiska Melania też pasowała jak pięść do nosa. Lepiej już byłoby Gong Mel Lan. To brzmi jakoś składniej.

„Oczywiście, że się zobaczymy. Zdążyłam już się stęsknić za Tobą. Nie w hotelu, tylko w hutongu, u Ciebie. Jeszcze tu jestem. Czekam”.

Tak będzie rozsądniej, pomyślała. Straci mniej czasu. Pójdą razem coś zjeść, a potem wrócą tutaj. Mają tu wszystko, czego potrzebują, czajnik do kawy, łóżko i koce. Melania zdecydowała, że spędzi noc w pustym domu. Potem, po wyjściu Tana, będzie czytała dalej. Jeśli zostanie na miejscu, jest większa szansa, że w końcu jutro zrobi coś pożytecznego i ruszy z pakowaniem mebli. Chociaż tak trudno było oderwać się od lektury.

Przynajmniej teraz, czekając na Tana, jeszcze troszkę sobie poczyta, zamiast tłuc się vespą do hotelu. Otworzyła pamiętnik. Nic z tego. Było za ciemno, nie potrafiła w słabym świetle zmierzchu odcyfrować chińskich znaków. Już miała sobie przynieść na dziedziniec budowlaną lampę, kiedy w drzwiach rozległo się skrobanie klucza. Podbiegła do wejścia i w progu rzuciła się Tanowi na szyję.

– Już, tak szybko? – cieszyła się. – Chyba dofrunąłeś tutaj na skrzydłach miłości.

– To też. – Pocałował ją zachłannie. – Tym razem nie miałem daleko. Wysłałem ci SMS jeszcze z pracy. Zanim odpowiedziałaś, zdążyłem wrócić do domu, zjeść pyszny babciny makaron, napić się herbaty. Z domu do ciebie mam parę minut, no to jestem.

– Fantastycznie. – Oddawała mu śpiesznie pocałunki. – Ale ty już jadłeś, a ja umieram z głodu, jakoś znowu czas mi umknął.

– To świetnie, pójdziemy do malutkiej knajpki tu, za rogiem. Znają ją tylko tubylcy – mówił, rozglądając się po domu. – Takiej wołowiny w grzybach nie jadłaś nigdzie na całym świecie. Palce lizać. A ja sobie popatrzę, jak jesz, i będę się cieszył, że tyjesz w oczach jak prawdziwa Chinka. Sporo dzisiaj zrobiłaś, widzę, że co najmniej jedna trzecia mebli już wywieziona, nieźle, jak na jeden dzień.

– No cóż, powoli posuwam się do przodu – odpowiedziała zadowolona, że wcale się nie zorientował, iż tak naprawdę nie zrobiła dzisiaj nic. Meble, które zabrano, czekały zapakowane już od paru dni. – Ale i tak pewnie jeszcze z tydzień to potrwa. Będzie bardzo źle, jak przeciągnę zlecenie dzień czy dwa?

– To będzie absolutnie w porządku. Chodź, bierz torebkę, trzeba cię nakarmić – odpowiedział. – To będzie dzień czy dwa, które dadzą nam czas na podjęcie jakichś sensownych decyzji.

W ciągu paru minut doszli do małej restauracyjki i kontynuowali rozmowę przy

stoliku.

– I co, Mel Lan, wymyśliłaś coś? – zapytał Tan, głaszcząc jej palce. – Krystalizują ci się jakieś pomysły? Bo ja rozmawiałem z babcią. À propos, masz od niej serdeczne pozdrowienia.

– O czym z nią rozmawiałeś? – zapytała spłoszona. – Przecież jeszcze nic nie ustaliliśmy.

– O nas. – Uśmiechnął się czule. – Ona już dużo wie. Wtedy, po powrocie z Londynu, opowiedziałem jej, co się stało. To ona mnie wtedy pocieszała, mówiła, że nie zawsze wszystko jest tak, jak wygląda. Potem wielokrotnie próbowała mnie swatać. – Roześmiał się głośno. – Ale za każdym razem, zanim przedstawiła mi nową kandydatkę, przez tydzień maglowała mnie pytaniami o ciebie i namawiała, żebym się z tobą skontaktował. Teraz, kiedy jej powiedziałem, że wróciliśmy do siebie, nie posiadała się ze szczęścia. Wiesz, myślę, że ona, chociaż nie знаła cię wcześniej, zawsze ci skrycie kibicowała.

– Naprawdę? – Melanii zrobiło się miło. – I co jej powiedziałeś? Że jak? Babciu, ta podła, zdradliwa suka z Londynu znowu jest w moim życiu i zamierzam za nią podążyć na drugi koniec świata, co ty na to?

– No, może niezupełnie tak, ale coś w tym stylu – przyznał. – Powiedziałem jej, że jeszcze nic nie ustaliliśmy, ale chyba spróbuję postarać się o przeniesienie na placówkę zagraniczną, a ona może wybrać, czy pojedzie ze mną, czy woli zamieszkać z rodzicami.

– I co ona na to?

– Że się cieszy moim szczęściem, bo na nie zasługuję. Że mam cię trzymać z całej siły i nie wypuszczać, i że zobaczymy, co dalej, jak już będziemy sami wiedzieli, co z nami. No i najważniejsze, dała mi wychodne na noc, mogę dziś nie wracać do domu. Jestem cały twój.

– Babcia to mądra kobieta, wie, co dla ciebie dobre. – Melania się roześmiała. – Tan, spędzimy dzisiejszą noc w twoim domu? Mam tam ciepłe kocyki, baniak z wodą i kawę. Proszę.

– Piknik? Świetny pomysł. Zgoda. Tylko jeszcze po drodze kupimy wino i świece. – Puścił do niej oko. – Wiesz, miłość w blasku budowlanego reflektora o mocy pięciuset watów wydaje się jakoś mało romantyczna.

Potem wrócili objęci do domu rodziny Sieng, gdzie tulili się do siebie długo, słuchając szumu wody spływającej po białych kamieniach na dziedzińcu, a światło świec rzucało tańczące cienie na ażurowe ściany, rzeźbione w feniksy i orchidee.

年

Pamiętnik Nije Ke Xin – Wiernej Bambus

Moja córka urodziła się miesiąc po śmierci cesarza Guangxu. Niespełna dobę po nim zmarła cesarzowa wdowa Cixi. Mój mąż wybrał dla dziewczynki imię Tsi Ua, czyli Nadzieja. Na moją prośbę dostała jeszcze trzecie imię, Lan – Orchidea – na pamiątkę wielkiej kobiety, dzięki której moje życie potoczyło się tak, jak się potoczyło.

Sieng Tsi Ua Lan chowała się zdrowo, uwielbiana i rozpieszczana przez całą rodzinę. Tan Ling traktował ją jak własną córkę i nigdy nie dał cienia powodu, aby ktokolwiek myślał, że jest inaczej. Wręcz dziwne było dla wszystkich, jak mój mąż mógł się tak bardzo przywiązać do dziewczynki. Wszak największą dumą ojca jest spłodzić syna, a mała Tsi Ua Lan była tylko córką. Słyszałam nawet przez ażurowe ściany wychodzące na dziedziniec, jak moja teściowa współczuła mu, że doznał rozczarowania. Sieng śmiał się tylko.

Cesarzowa Cixi miała rację, mówiąc, że mój mąż jest dobrym człowiekiem. Był nie tylko dobry, ale też uczciwy, prawy i słowny. Traktował mnie z szacunkiem należnym matce cesarskiego dziecka, chociaż nigdy między nami nie padło ani jedno słowo na ten temat.

Prawie cztery lata od śmierci cesarza mąż nie zbliżał się do mnie. Nigdy nie próbował zdobyć moich względów, byłam dlań cesarzą wdową, nietykalną i nieosiągalną. A ja zakochałam się w nim na zabój. Był mężczyzną, jakich mało. Przystojny, silny, wspaniale zbudowany, do tego wykształcony i odcytany. Jakże mogłam się w nim nie zakochać. Rozmowy z nim stały się dla mnie przyjemnością.

Wiedziałam, że mój mąż chodzi do domu kwiatów. Nie dziwiło mnie to i nie oburzało. To normalne, że zdrowy mężczyzna musi oddać swoje nasienie i zaspokoić żądze. Wszak ponad cztery lata, będąc człowiekiem żonatym, nie odwiedzał łoża swej małżonki. To znaczy odwiedzał, tak aby jego rodzice i służba nie powzięli żadnych podejrzeń, że nasze małżeństwo jest fikcją. Jednak co się w tym moim łożu działo naprawdę, wiedzieliśmy tylko my oboje. A nie działo się nic. Z plotek służby dowiedziałam się, że mój pan ma syna z dziewczyną z domu kwiatów. Bolało mnie to strasznie, ale przecież nie mogłam mu mieć tego za złe. Kiedy w końcu

zapropnowałam mu, żeby przyjąć tę kobietę jako konkubinę do naszego domu, oburzył się i kazał mi milczeć. Powiedział: „Nigdy żadna inna kobieta nie przestąpi progu twojego domu, pani. Jesteś jedyną, która mogłaby dać mi syna”. Wtedy dopiero, po długich czterech latach, naprawdę rozpoczęło się moje małżeństwo z Tanem i trwało szczęśliwie aż do tych potwornych dzisiejszych czasów.

Nie dałam mojemu panu syna. Nasza jedyna córeczka urodziła się martwa w roku tysiąc dziewięćset czternastym. Pochowaliśmy ją w grobach przodków mojego męża, zaopiekują się nią dobrze w jej pozaziemskim życiu. Długo chorowałam po położeniu, a potem okazało się, że nie mogę mieć więcej dzieci. Błagałam mego pana, aby wziął do domu konkubinę i spłodził potomka. Nie zgodził się, powiedział, że jego dzieckiem jest Tsi Ua Lan i jeśli wolą Nieba było, aby miał tylko tę jedną córkę, to będzie ona dla niego większym szczęściem niż dziesięciu synów.

Po wyczerpującej chorobie, zrozpaczona po śmierci dziecka, długo nie mogłam dojść do siebie. Fizycznie nic mi nie dolegało, ale byłam ciągle zmęczona, smutna i zniechęcona do życia. Wówczas mój mąż podarował mi wspaniały prezent. Zlecił, by dobudowano do naszego domu dodatkowe pomieszczenie, które z tylną częścią łączył długi drewniany korytarz. Urządził mi tam wygodną pracownię, zamówił twarde drewno i przyniósł zapomniany kuferek z moimi narzędziami. Spróbowałam znowu rzeźbić, a to znajome, ukochane zajęcie wyciągnęło mnie z depresji. Zaczęłam z pasją robić meble i upiększałam nasz dom krok po kroku. Zmieniałam jego wystrój, tworzyłam upominki dla rodziców męża, dla niego samego i naszej córeczki. Z czasem zaufałam swoim zdolnościom i z pomocą służby wymieniłam nawet wszystkie ściany wewnętrzne na rzeźbione w moje ulubione motywy, ażurowe tafle. Mój ojciec lubił wizerunek smoka, symbol cesarza, ja zaś w pełni świadomie wybrałam feniksa. Trochę z przekory, trochę aby uczcić pamięć kobiety, którą prawdziwie szanowałam, cesarzowej wdowy Cixi.

Kiedy Tsi Ua Lan skończyła cztery latka, niedługo przed moim pojednaniem z mężem, tysiącletnie cesarstwo chińskie przestało istnieć. Cesarzowa Longyu, wdowa po Guangxu, ogłosiła abdykację małoletniego Puyi, wybranego na władcę przez samą Cixi. Rozpoczęły się czasy republiki chińskiej.

Dziwne to były czasy, gdy wszystko wokół zmieniało się jak w kalejdoskopie. Lata szarpane rewolucjami, przewrotami i wojnami. Mimo tego całego zamętu w otaczającym mnie świecie, żyłam normalnym spokojnym życiem, otoczona opieką i miłością rodziny. Sieng Tan Ling, mój mąż, chociaż zmieniały się rządy i stosunki, dzięki swej prawości i fachowości zdołał przetrzymać kolejne zawirowania. Nieważne, czy u władzy był Sun Jat-sen czy też Czang Kaj-szek, Tan przetrwał czasy republiki na tym samym niepozornym stanowisku, którego nazwy zmieniały się tak często.

Dotrzymał też słowa danego cesarzowi Guangxu. Nasza córka odebrała staranne

wykształcenie, nawet posłaliśmy ją do szkoły, aby mogła się uczyć nowoczesnymi metodami. Nie zaniedbałam również jej tradycyjnego przygotowania do życia. Nauczyłam ją wszystkiego, co prawdziwa mandzurska księżniczka powinna umieć. Tsi Ua Lan wyrosła na mądrą, nowoczesną kobietę i prawdziwą mandzurską damę. Kiedy nadszedł czas, mój mąż znalazł dla niej męża z porządnej rodziny Gong. Moja słodka Tsi Ua Lan, moja mała Orchidea, opuściła dom rodzinny w wieku siedemnastu lat.

Bardzo szybko zaszła w ciążę. Nie byłam zadowolona z wyboru, którego dokonał Tan Ling. Gdy Tsi Ua opuściła dom rodzinny, nie mogłam jej zbyt często odwiedzać, ale to, co widziałam podczas moich sporadycznych wizyt, nie robiło na mnie dobrego wrażenia.

Rodzina Gong oczywiście miała dobrą opinię i wspaniałych przodków, lecz jej członkowie byli surowi i nieczuli. Sztywna i napuszczona atmosfera w ich domu tak bardzo różniła się od tej, która panowała w rodzinnym domu Tsi Ua. Moja mądra i odważna córka zachowywała się w czasie mych odwiedzin jak przestraszone zwierzątko. Jej teściowa zawsze towarzyszyła naszym rozmowom i pomiatała moim dzieckiem w sposób złośliwy i podły. Nie mogłam nic powiedzieć, mogłam jedynie przyglądać się temu z bólem w sercu.

Gdy już po miesiącu od zamążpójścia okazało się, że Tsi Ua Lan nosi w sobie dziecko, jej młody mąż zaczął regularnie odwiedzać dom kwiatów. Nie było to dziwne, wielu mężczyzn odsuwało się na czas ciąży od żon, szukając gdzie indziej zaspokojenia swoich potrzeb. Ale mój zięć robił to wprost bezczelnie, bez zachowania jakiegokolwiek dyskrecji. Kiedy próbowałam rozmawiać na ten temat z jego matką, wyśmiała mnie. Jak długo Tsi Ua nie powije syna, oświadczyła, nie mamy wobec niej żadnych obowiązków. Byłam oburzona.

Wiadomość, że Tsi Ua rodzi, otrzymaliśmy późnym rankiem. Natychmiast pośpieszyłam do domu rodziny Gong. Niestety, za późno, moja córka już nie żyła. Poród rozpoczął się poprzedniego dnia. Nie wezwano nawet położnej, służące odebrały dziecko. Kiedy okazało się, że to dziewczynka, po prostu zostawiły je obie samym sobie. Moja ukochana córka wykrwawiła się na śmierć. Ty, moja wnuczko, leżałaś obok matki zakrwawiona, krzycząc o odrobinę ciepła. Mój mąż, który mi towarzyszył, wpadł w furję, rzucił się z pięściami na służbę, rozbijał meble, wrywał sobie włosy z głowy. Zabraliśmy Ciebie i ciało Tsi Ua Lan do domu. Rodzina Gong nie protestowała. Jako dziewczynka, dla tych ludzi nie przedstawiałaś żadnej wartości. Dla nas byłaś Przyszłością. Dlatego nadaliśmy Ci właśnie takie imię – Tian Lai – Przyszłość.

Oto historia, którą przed Tobą zataiłam, a którą musisz znać. Nazywasz się Gong Tian Lai, jesteś córką Sieng Tsi Ua Lan, w prostej linii potomkinią cesarskiego rodu Aisin Gioro, wnuczką cesarza Guangxu i moją, Wiernej Bambus, Nije Ke Xin, zrodzonej z lędźwi rzeźbiarza Szangazi. Protegowanej wielkiej cesarzowej wdowy

Cixi, Starej Buddy. Prawda o Twoim pochodzeniu musi pozostać w ukryciu do dnia, kiedy zwycięży miłość i jedność. Do dnia, gdy ludzie przestaną się dzielić na lepszych i gorszych.

Zostawiam ten pamiętnik Tobie, aby prawda nie zginęła w odmętach dziejów. Dochowaj tajemnicę tak długo, jak będzie to potrzebne. Ufam, iż mnie odnajdziesz, a jeśli nie, że kiedyś przyjdzie czas, iż moja historia ujrzy światło dzienne. Jesteś przyszłością i nadzieją. Jesteś najcenniejszym skarbem, jakim obdarowało mnie Niebo.

Ukochana wnuczko, razem z dziadkiem Tan Lingiem wychowaliśmy Cię na mądrą i dzielną kobietę. Resztę naszej historii już znasz, mogę więc zakończyć swoje wyznanie.

Jest jednak pewna bardzo ważna sprawa, którą powinnam Ci wyjaśnić. Żyliśmy szczęśliwie przez wszystkie te lata, mimo niepokojów, które szarpały krajem i Pekinem. Wielką rozpacz po śmierci Twej mamy ukoił Twój dziecięcy szczebiot. Przetrwaliśmy i znieśliśmy z pokorą ciosy, jakie zdarzają się w życiu każdego człowieka, śmierć rodziców Tana i jego chorobę. Teraz spadło na nas kolejne nieszczęście, które zapoczątkował Twój jakże niespodziewany wyjazd.

Długa i krwawa wojna domowa się zakończyła. Nowi władcy, Komunistyczna Partia Chin ze swoim „cesarzem” Mao, zwyciężyli w końcu Kuomintang i wygnali Czang Kaj-szeka na Tajwan. Myślałam, że jeśli udało nam się przetrwać już tyle burzliwych zmian, jeśli przeżyliśmy potworną okupację japońską, podczas której straciło życie dwadzieścia milionów Chińczyków, a nasza rodzina ocalała, nic gorszego nas już spotkać nie może. Myliłam się bardzo.

Powinniśmy byli oboje z Tanem to przewidzieć. Należało uciec, aby ochronić Ciebie. Zapomnieliśmy oboje, że rządy i cesarze się zmieniają, ale największym zagrożeniem jest nienawiść, którą ludzie pielęgnują w sercach. Teraz przez naszą naiwność zostałaś wywieziona gdzieś na wieś i nie wiadomo, jak straszny los Cię czeka. Nie mamy z Tobą żadnego kontaktu już prawie ćwierć roku, nie wiem, czy kiedykolwiek się spotkamy. Modłę się każdego dnia do przodków, aby uchronili Cię przed złem.

A przecież zostaliśmy ostrzeżeni.

Nowe rządy zaczęły wprowadzać w Pekinie nowy ład. Obserwowaliśmy z Tanem wszystko z boku, z daleka. Reforma rolna wydawała nam się nawet dobrym posunięciem. Bo czy nie jest sprawiedliwością dziejową, że uczciwie pracujący chłopci stali się właścicielami ziemi, którą przez całe wieki uprawiali ich przodkowie? Patrzyliśmy, jak podlega nacjonalizacji przemysł, transport i handel, które wcześniej spoczywały w dłoniach japońskiej i niemieckiej biurokracji. To wszystko wydawało nam się sprawiedliwe.

Jednak w tym roku ruszyła kolejna kampania Mao, mająca na celu oczyszczenie

Pekinu z korupcji, skierowana przeciwko elementom kapitalistycznym. Nigdy siebie nie postrzegaliśmy jako elementów kapitalistycznych. Zawsze uważaliśmy, że jesteśmy zwykłymi szarymi obywatelami wielkiego kraju. Widzieliśmy, jak nasi sąsiedzi byli usuwani z własnych domów lub jak dokwaterowywano do nich liczne obce rodziny. Nie baliśmy się o nas samych. Pogodziliśmy się z tym, że przyjdzie nam przyjąć pod nasz dach obcych ludzi. Cóż z tego, robi się trochę ciasniej, ale w końcu ci obcy to także Chińczycy z Pekinu. Byliśmy przygotowani na zmianę. Jednak jakimś cudem nasz dom, naszą rodzinę omijały komunistyczne bojówki patriotów, wdrażających brutalną siłą nowe dyrektywy partii.

Na początku tego roku jednak odwiedził nas wysoki rangą urzędnik partyjny, Xiando Peji. Myśleliśmy, że zamierza z nami rozmawiać o konieczności przyjęcia innych rodzin do naszego domu. Sieng Tan Ling był gotów do wszelkich kompromisów. Okazało się jednak, że ten urzędnik miał całkiem inne plany. Zaprzagnął naszego domu tylko dla siebie. Zażądał od Twego dziadka, abyśmy się natychmiast wynieśli, pozostawiając dom i jego zawartość nienaruszone. Twierdził, że to jego własność. Xiando Peji był synem owej dziewczyny z domu kwiatów, do której chodził mój mąż w czasach, gdy jeszcze tak naprawdę nie stałam się jego żoną. Był tamtym dzieckiem, które chciałam przyjąć pod nasz dach i traktować jak własne. Ów człowiek został wychowany w nienawiści do własnego ojca i teraz postanowił się zemścić.

Zostaliśmy ostrzeżeni. Tang Ling nie dał się zastraszyć. Wyprosił tego człowieka z naszego domu, oświadczył, że jest gotów przyjąć nakazaną przez urząd liczbę rodzin pod swój dach, ale nigdy nie opuści siedziby swych przodków.

Miesiąc później nakazem partii wywieziono Ciebie, moja kochana wnuczko, do przymusowej pracy na wsi. Nie wiem, dokąd Cię zabrano. Chiny są wielkie. Twój dziadek wszelkimi sposobami próbował odnaleźć Twój ślad. Pisał petycje, chodził po różnych urzędach, lecz wszędzie odsyłano go z kwitkiem. Po kolejnym miesiącu aresztowano go i zabrano w kajdanach z naszego domu. Zostałam sama.

Już miesiąc nie mam od niego żadnych wieści. Nie wiem, gdzie go trzymają, nie wiem nawet, czy żyje. Służbę zwolniłam, nie mogłam przyjąć odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo w tym domu. To przecież również członkowie naszej rodziny. Musiałam o nich zadbać. Zaopatrzyłam ich dobrze i nakazałam, by szukali sobie bezpiecznego schronienia.

Po aresztowaniu Tana władze zniszczyły moją pracownię. Zburzono korytarz łączący ją z domem. Ukrywałam się cały dzień w sypialni, przerażona i pewna, że za chwilę przyjdą po mnie. Drzwi w tylnej ścianie domu zamurowano. Nikt nie chciał jednak ze mną rozmawiać, nikt nie próbował mnie skrzywdzić. Moje ostatnie dzieło, które nazywam biurkiem Szangazi, służba przeniosła do biblioteki. Wszystkie inne rozpoczęte projekty, tak samo jak moje narzędzia, przepadły, połamane i rozgrabione

przez robotników.

Muszę uciekać, wnuczko. Intuicja podpowiada mi, że tamci niedługo przyjdą i po mnie. Nasza wierna stara służąca, Den Lai, przygotowała dla mnie kryjówkę. Schronię się w domu jej syna, który przyjmie mnie pod swój dach, przedstawiając sąsiadom jako swoją starą ciotkę, wdowę ze wsi. Pozostawię tu wszystko, co mogłoby wskazywać na moje pochodzenie, zatrę wszelkie ślady. Od jutra będę Nije Ke Xin znikąd, prostą wieśniaczką. Jutro schowam ten pamiętnik w sekretnej szufladzie wraz z cesarskim dokumentem, potwierdzającym twoje pochodzenie, i ze szpilką od Cixi.

Moja ukochana Tian Lai! Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze Cię zobaczyć. Kiedy wrócisz do Pekinu, a Twój dom będzie dla Ciebie niedostępny, dom Den Lai jest pierwszym, w którym będziesz mnie szukać. Zawsze kochałaś swoją nianię Den Lai, ufam, że bogowie poprowadzą Cię właśnie do niej.

Niech duchy przodków mają Cię w swej opiece, ukochana wnuczko. Niechaj Niebo sprawi, żeby nasze drogi jeszcze się spotkały.

* * *

Melania delikatnie zamknęła pamiętnik. Z sykiem wypuściła powietrze, które zatrzymała w płucach chyba przez wieczność. Oddychała głęboko, próbując uspokoić bijące szaleńczo w piersiach serce. Natłok i waga informacji, zawartych na pożółkłych kartkach brulionu, całkowicie ją zaskoczyły. To jego dom, dom rodziny Tana, dom, w którym wychowała się jego babcia Tian Lai. Ta zbieżność imienia nie mogła być przypadkowa. Babka zdecydowała, że wnuk dostał imiona po swoim przodku. Tan był potomkiem rodu Aisin Gioro! Pochodził z potężnej dynastii Qing, władającej ponad trzysta lat Chinami. To była jego scheda.

Myśli Melanii galopowały jak szalone. Tak bardzo go kochała. Jeśli ta tajemnica się wyda, władze już nigdy nie wypuszczą Tana z Chin. Może i czasy się zmieniały, ale politycy i teorie spiskowe nie. Będzie zawsze na celowniku, pilnowany i obserwowany. Zawsze! Nie zawsze. Tak długo, póki ludzkość nie stanie się jednością. Tak długo, póki ludzie nie przestaną być dzieleni na lepszych i gorszych, na możnych i biednych, członków partii i bezpartyjnych. Tylko że ten czas jeszcze nie nadszedł. Czy Tian Lai o wszystkim wie? Czy udało jej się spotkać z babką? Czy przez wszystkie te lata znała tajemnicę i ją ukrywała? Mało prawdopodobne. A jeśli nie wie, to czy ona, Melania, powinna strzec tego sekretu, aby chronić Tana? Jak będzie lepiej? Zabrać go do Polski, ukryć, pozbawić korzeni? Co robić?

Ciche pukanie do drzwi wejściowych przerwało jej rozmyślenia. To nie Tan, on miał klucze. Szybko schowała pamiętnik do torby i ostrożnie uchyliła drzwi. Na progu stała babcia Tana.

– Witaj, Mel Lan – przywitała się nieśmiało. – Jesteś sama?

– Tak, pani Tian Lai. Tan poszedł rano do pracy.

– Tak myślałam. Wpuścisz mnie? Pomyślałam sobie, że cię odwiedzę. Przyniosłam ciasteczka i herbatę. Cieszę się bardzo, że się odnaleźliście z moim wnukiem.

– Oczywiście, proszę wejść. – Melania uśmiechnęła się do staruszki i pomogła jej przekroczyć wysoki próg.

Zaprowadziła gościa na dziedziniec, do przytulnego kącika pod sosną, i usadowiła wygodnie na leżaku.

– Tak sobie pomyślałam, że zjemy razem późne śniadanie i poopowiadasz mi trochę o sobie. W końcu można powiedzieć, że już prawie jesteś moją rodziną – odezwała się Tian Lai.

– Bardzo się cieszę z pani odwiedzin – odparła szczerze Melania. – Przyniosę kubki na herbatę i porozmawiamy, zgoda?

Po chwili siedziały naprzeciwko siebie, przyglądając się sobie badawczo.

– No to mów, dziecko, jaka jest ta twoja Polska?

Przez następne pół godziny Mela opowiadała babci o swoim kraju, o swej pracy, o wszystkim i niczym. Potem gawędziły niezobowiązująco o pogodzie, przyrodzie i drobiazgach. Siedziały tak, jak przyjazne, ale kompletnie obce kobiety, które starały się okazać sobie sympatię, lecz robiły to nad wyraz ostrożnie. Obwachiwały siebie nawzajem jak dwa obce psy na spacerze. Gotowe zawrzeć przyjaźń i bawić się razem, jednak na razie czujne, w każdej sekundzie przygotowane na odparcie niespodziewanego ataku. Rozmowa rwała się powoli, zaczynało im brakować tematów.

– Tan wspomniał mi, że kupiłaś prawie wszystkie meble z tego domu – powiedziała zniecka staruszka. – To prawda? Co z nimi zrobisz?

– Prawda – odrzekła Melania. – Część już właściwie sprzedałam. Mam firmę w Polsce, zajmuję się handlem starymi, zabytkowymi meblami.

– Handel to dobre zajęcie. Tan uważa, że jesteś świetna w swojej pracy. Pewnie tak, skoro stać cię na kupienie tylu mebli.

– Nie narzekam – odparła z uśmiechem Mela.

– A co zrobisz z resztą? Z tymi, co tu stoją? Też je sprzedasz?

– Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam. Nie muszę szybko działać. Zysk ze sprzedaży pierwszej partii już i tak zwrócił mi wszystkie koszty. Mogę poczekać. Myślę jednak, że część zatrzymam dla siebie.

– To ładne meble.

– Bardzo ładne. I mają bardzo ciekawą historię. Nawet myślałam, że wykonał je Szangazi – powiedziała Melania, uważnie obserwując twarz kobiety.

– Nie wiem, co to Szangazi – odparła staruszka obojętnie.

– To był rzeźbiarz, robił meble na zamówienie cesarzowej Cixi, w dawnych czasach,

kiedy Chinami rządził cesarz Guangxu. Ale to jednak nie Szangazi był twórcą tych mebli.

– Tak? – mruknęła Tian Lai, nie wykazując większego zainteresowania. Potem nagle zmieniła temat. = A nie zrobiłabyś mi, dziecko, tej kawy? Rzadko piję kawę, wolę herbatę, ale moja już się nam skończyła.

– Chętnie. – Melania podniosła się od stolika. – To potrwa chwilkę, zaraz wrócę.

Poszła do swojej prowizorycznej kuchni i pstryknęła przyciskiem czajnika elektrycznego. Przygotowała kawę w dwóch kubkach, ustawiła je na tacy i ruszyła z nią przez bibliotekę na dziedziniec.

Tian Lai stała przed biurkiem z nefrytową szpilką w dłoniach. Wysunięta ukryta szuflada była pusta. Staruszka zauważyła Melanię i spokojnym głosem powiedziała:

– Stokrotnie proszę o wybaczenie. Usłyszałam, że coś tu stuknęło, myślałam, że potrzebujesz mojej pomocy, i weszłam. Zobaczyłam, że z biurka wystaje taka deska, podeszłam z ciekawości i znalazłam to. – Pokazała szpilkę na wyciągniętej dłoni. – Nie chciałam zepsuć twojego biurka, to się samo zrobiło, ja tylko spojrzałam. Przepraszam, Mel Lan.

Melania odstawiła tacę na biurko. Położyła dłonie na ramionach staruszki.

– Pani Tian Lai, nie ma za co przepraszać – powiedziała, spoglądając babce Tana w oczy. – To pani biurko, pani dom. Ja jestem tutaj jedynie nieproszonym gościem.

– Nie, nieprawda – zaprotestowała Tian Lai, odwracając wzrok. – Co ty za głupstwa opowiadasz, dziecko? Jak to? Nie wiesz sama, co mówisz. Nie znam tego domu. Byłam tu tylko raz z Tanem...

– Ukrytej szuflady w biurku nie potrafiłby otworzyć nikt, kto nie zna jego tajemnicy. Wiem o tym, tak samo jak pani. To biurko wykonała pani babka, Nije Ke Xin. Zostawiła w nim pamiątki dla pani. I jak się okazuje, udało jej się przekazać pani wiadomość o tej skrytce. Cieszę się bardzo, że jednak się odnalazłyście. Bo ja już wiem bardzo dużo, tylko jeszcze nie wiem, jak wyglądało wasze życie po pani powrocie do Pekinu, po roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

– Nie możesz tego wiedzieć! – wyszeptała przerażona Tian Lai. – Nikt tego nie ma prawa wiedzieć. Jak? Skąd?

Melania zaprowadziła roztrzęsioną staruszkę do stolika na dziedzińcu.

– Zaraz wszystko wytłumaczę, proszę dać mi chwilkę – powiedziała uspokajającym tonem i weszła do domu.

Wyciągnęła z torby pamiętnik Wiernej Bambus, po drodze zabrała tacę z kawą i wróciła na dziedziniec. Uroczystym gestem wręczyła babci Tana brulion.

– To pamiętnik Nije Ke Xin, Wiernej Bambus. Pani babka ukryła go, wraz z cesarskim dokumentem, którego autentyczność pamiętnik potwierdza. Znalazłam go i przeczytałam. Proszę mi wybaczyć moją ciekawość, ale kiedy znalazłam szufladę, jeszcze nie wiedziałam, że te rzeczy należą do pani. O tym dowiedziałam się dopiero

dziś rano, kiedy doczytałam go do końca. Czy może mi pani wybaczyć, Tian Lai?

Staruszka pogładziła pomarszczoną dłonią wierzch brulionu. Łzy spływały jej po twarzy.

– To tajemnica – powiedziała smutno. – Wielka tajemnica, której nie wolno nikomu zdradzić. Musiałam jej przysiąc. Przez wszystkie te lata nie wyjawiałam tego nikomu. Nie chciała mi nigdy opowiadać o przeszłości. Dopiero na łożu śmierci powiedziała, że gdy nadejdzie czas, wszystkiego się dowiem. Teraz, kiedy po tylu latach znowu znalazłam się w naszym domu, wiedziałam, że muszę dotrzymać słowa. Wyjawiała mi tylko, że znajdę tu dokumenty, odpowiedzi na pytania, na które nigdy nie chciała mi odpowiedzieć. Ale znalazłam tylko jej spinkę do włosów i jakiś papier napisany w nieznanym mi języku...

– To po mandżursku. To dokument napisany przez cesarza Guangxu. Tym językiem już dawno nikt nie mówi, a jedynie cesarze potrafili posługiwać się nim na piśmie i używali go tylko do sporządzania dokumentów wielkiej wagi – wyjaśniła Melania.

– Zabierz go. – Tian Lai wyciągnęła z przepastnej kieszeni tuniki zwinięty w rulon dokument. – Schowaj. W tej szufladzie jest bezpieczny. Dla mnie zostawiła tutaj tylko pamiętnik. Mogę go zabrać?

– Oczywiście, należy do ciebie.

– Mel Lan, przeczytałaś pamiętnik mojej babki, choć nie był przeznaczony dla ciebie. Jeszcze nie wiem, co zawiera, ale błagam cię, nie mów o nim nikomu, nawet Tanowi. To dla mnie bardzo ważne, proszę, czy możesz dotrzymać tajemnicy?

– Tak, pani Tian Lai. Nie powiem nikomu. Tylko pani zdecyduje, co zrobić z tą wiedzą.

– Przysięgniesz? – Ujęła Melanię za rękę. – Przysięgniesz na pamięć swoich przodków?

– Przysięgam na pamięć mojej matki – oświadczyła uroczyście Melania.

– Dziękuję. Czy mogę jeszcze zabrać szpilkę mojej babki? To twoje biurko, kupiłaś je wraz z zawartością. Mimo to będę ci bardzo wdzięczna za ten klejnot. Nie zostało mi po niej nic. Potem nie nosiła już żadnej biżuterii. I aż do śmierci, nigdy nie wzięła w dłoń kawałka drewna, już nigdy więcej nic nie wyrzeźbiła.

– To pani dom i pani szpilka. Uszanuję pamięć pani babki. Kocham Tana i nie zrobię nic, co mogłoby urazić jego rodzinę.

– Jesteś dobrym dzieckiem, Mel Lan. Nie znałam cię, ale wiedziałam, że jesteś jego przeznaczeniem. Nie myliłam się. Dobrze się stało. Wiem, że czeka was dobre i długie życie. Teraz chciałabym już iść. Przyjdiesz jutro do nas na kolację?

– Przyjdę – odpowiedziała miękko Melania. – Odprowadzę panią do domu, jeśli pani sobie tego życzy.

– Nie, dziecino, sama pójdę. Muszę sobie spokojnie pomyśleć. Zobaczymy się jutro. Schowała pamiętnik i szpilkę do kieszeni tuniki i poszła.

Melania długo jeszcze błądziła po pokojach starego domu. Gładziła krawędzie rzeźbionych ścian, słuchała szumu wody spływającej po białych kamieniach. Rozmyślała. Powoli dojrzewiała w niej decyzja, najważniejsza w jej życiu. Wieczorem zjadła kolację z Tanem i powiedziała mu o zaproszeniu na następny dzień od Tian Lai. Potem wymówiła się zmęczeniem i niewyspaniem i odesłała ukochanego do domu. Całe jej ciało marzyło, aby i tę noc spędzić w jego ramionach, ale jej umysł zajęty był intensywnym rozważaniem wszystkich za i przeciw. Analizowała i poprawiała plan, który już od paru dni nieśmiało rysował się w jej głowie. Następnego dnia dała sobie spokój z pakowaniem mebli. Nadal nie była pewna, powoli jednak zaczynała się godzić z myślą, że nie będzie to potrzebne. Rano pojechała metrem do Pałacu Letniego.

Yiheyuan, Pałac Letni, położony wokół olbrzymiego sztucznego jeziora Kunming zespół pałacowo-parkowy, pomimo że powstał prawie dziewięćset lat temu, swoje właściwe dzieje rozpoczął w tysiąc siedemset pięćdziesiątym roku, kiedy to cesarz Qianlong rozkazał utworzyć tu rezydencję o nazwie Ogród Czystych Fal. Pogłębiono i poszerzono wówczas jezioro, a z ziemi pozostałej po tych pracach usypano Wzgórze Długowieczności. Pałac Letni ma bardzo smutną historię; wielokrotnie został doszczętnie zniszczony i wielokrotnie podejmowano próby jego odbudowy. Było to ulubione miejsce cesarzowej Cixi, która kochała naturę. A swoją wyjątkową urodę zawdzięcza właśnie przyrodzie, otaczającym cały kompleks wspaniałym wzgórzom pokrytym lasami.

Największych zniszczeń doznał pałac podczas rządów Kuomintangu i Japończyków. Wtedy był systematycznie niszczone i rozkradany. Gdyby Cixi wiedziała, co się stało z jej ukochanym Yiheyuan, z pewnością serce pękłoby jej z bólu. Odbudowano go dopiero w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, a w latach osiemdziesiątych został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego Ludzkości.

Tuż za głównym wejściem znajduje się Pałac Dobroczynności i Długowieczności, rezydencja Cixi, gdzie władczyni udzielała audiencji urzędnikom cesarstwa i dyplomatom obcych państw. Obok, na wyspie na jeziorze, stoi Pałac Nefrytowych Fal, gdzie był więziony cesarz Guangxu. Wzdłuż brzegów jeziora ciągnie się zadaszony ganek, a w głębi, po jego prawej stronie widać kolejne rezydencje, w których mieszkał dwór cesarzowej wdowy. Ganek dochodzi do wspaniałego marmurowego okrętu, gdzie cesarzowa Orchidea często słuchała muzyki.

Melania wędrowała po pałacowych ogrodach, myśląc o dawnych czasach. Przez szyby zaglądała do wnętrza prywatnych pokoi Cixi, próbując sobie wyobrazić całą tę sytuację. Mała, przestraszona dziesięcioletnia dziewczynka, zbita przez eunuchów, patrzyła na śmierć własnego ojca. Zastanawiała się nad losem Nije Ke Xin, niewolnicy na cesarskim dworze. Mimo tak tragicznych przeżyć, z perspektywy czasu, Wierna

Bambus oceniała swoje życie jako dobre. Mało tego, była wdzięczna cesarzowej, wielbiła ją i szczerze szanowała. Jak niezwykła musiała być owa kobieta, że mimo tylu popełnionych okrucieństw była tak bardzo kochana przez ludzi, którzy właściwie powinni jej nienawidzić. Melania wędrowała po wspaniałym ganku, próbując zrozumieć ów fenomen. Przysiadła na niskim murku, skąd miała widok na świątynię Króla Smoka, powstałą w czasach dynastii Ming. Chwilę podziwiała piękne linie budowli, a potem zaczęła obserwować ludzi wokoło.

Było ich tak wielu, turyści z całego świata i tłumy Chińczyków. Jakże odmiennie się zachowywali. Biali pędzili w pośpiechu przed siebie, robili miliony zdjęć, nawołując się i pozując, a po chwili biegli już w kierunku następnego obiektu i ustawiali się do kolejnej fotografii. Chińczycy siadali na murkach, śmiali się, rozmawiali, pokrzykiwali czule na rozrabiające dzieci.

Nie potrafiła sprecyzować wrażenia, które już tyle razy ją zaskakiwało, kiedy przebywała wśród mieszkańców Chin. Tak naprawdę nie chodziło o spokój czy zwolnione tempo życia ani pewien rodzaj rozleniwienia. Chińczycy byli energiczni, czasem radośni, a czasem poważni, ale zawsze jakoś inni. Wcześniej myślała, że czas im płynie wolniej, bez napięć i stresów, jednak nie o to chodziło. Wszystko, co wokół widziała, wydawało się takie harmonijne, wyważone, mniej emocjonalne. Pasowało do siebie. Podobało jej się tutaj. Czy ona sama umiałaby tak żyć? Harmonijnie i spokojnie? Czy potrafiłaby przestać pędzić za karierą, może trochę mniej pracować, a bardziej cieszyć się rzeczami nieważnymi, takimi jak rozmowy o niczym albo muzyka, nie jako tło do innych działań, tylko sama w sobie, czy też jedzenie, szum wody spływającej po białych kamieniach dziedzińca domu Tana?

Przeglądała się wspaniałym zdobieniom sufitu Długiego Korytarza. Kolorowe, zielono-szafirowo-złote symetryczne wzory otaczały pejzaże gór, pokrytych śniegiem, krętą żółtą rzekę z ostrymi krawędziami skał w okružających ją wąwozach, zgrabną łódkę – dżonkę z szerokim białym żaglem, czapkę brodzącą w trzcinach. Wszystkie obrazy wzbudzały w niej to samo wrażenie spokoju, stałości, harmonii. Poczucie nieprzemijalności, trwania. To było prawdziwe piękno.

Spacerowała po ogrodach Pałacu Letniego do późnego popołudnia. Kiedy wróciła do hotelu, aby przygotować się do wizyty w domu Tana, wiedziała już, co robi.

Z ciasnej uliczki hutongu skręcili w alejkę szeroką zaledwie na metr. Ta alejka należała już do domu, a właściwie była wejściem do niego. Murowany parterowy pawilonik, po prawej stronie pokryty płaskim dachem, składał się z trzech amfiladowych pomieszczeń. W pierwszym, wyglądającym na składzik, stały różne rupiecie i rowery. Drugie było długą, wąską łazienką, z pralką podłączoną prawie przy samym wejściu. Trzecie miało drzwi wejściowe od strony niewielkiego dziedzińca znajdującego się pomiędzy tym pierwszym wąskim budynkiem a kolejnym,

postawionym prostopadle do tamtego. To trzecie pomieszczenie, skromnie urządzone, z łóżkiem, szafą i komodą, było pokojem babci Tian Lai. Na maleńkim dziedzińcu pomiędzy budynkami stał zwyczajny metalowy okrągły stolik przykryty ceratą, a obok niego metalowe krzeselka, każde inne. Po prawej stronie mieściła się mikroskopijna kuchnia, która od strony dziedzińca zamiast ściany miała szerokie rozsuwane drzwi. W tej chwili były otwarte i Tian Lai stała praktycznie na otwartej przestrzeni, energicznie mieszając potrawę w woku.

Otarła dłonie o fartuch i wyszła przywitać się z Melanią. Mela ucałowała ją serdecznie w oba policzki i wręczyła jej butelkę wina, którą przyniosła w podarunku.

Obok stolika, przy ścianie domu urządzonego miniogródek. Na blacie szerokości mniej więcej półtora metra stały różnorodne rośliny, między nimi zaś mikroskopijnymi szczelinami spływała woda. Całość wyglądałaby jak miniaturowe nabrzeże rzeki, gdyby nie dodatkowe dekoracje w postaci bardzo kolorowych i bardzo kiczowatych ceramicznych figurek zwierząt i ludzi. Budynek w głębi mieścił jeden duży pokój, w którym stały łóżko, szafa i duży okrągły stół z krzesłami. Był to pokój Tana, a jednocześnie wspólne pomieszczenie całej rodziny – jadalnia, bawialnia, salonik i miejsce do oglądania telewizji, połączone w jedno. Cały ten dom został urządzone bardzo skromnie, można by wręcz powiedzieć, że jak na nasze standardy, ubogo.

Tian Lai nie chciała przyjąć pomocy Melanii i sama nosiła płaskie, długie półmiski, a kiedy już wszystko naszykowała, zaprosiła ich na posiłek. Przygotowane przez staruszkę potrawy pachniały wspaniale, ale ich liczba przekraczała możliwości trzech osób. Zdaniem Meli Tian Lai zgromadziła taką ilość jedzenia, jak na małe wesele, wystarczyłoby co najmniej dla dziesięciu osób. Usiedli do stołu.

– Przyniosłeś? – ostro zapytała staruszka Tana. – Pewnie zapomniałeś?!

– Nie zapomniałem, babciu – odparł ze śmiechem, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Proszę, oto są. – Podał jej zawinięte w papierową chusteczkę sztucce.

Tian Lai z zadowoleniem obejrzała nóż i widelec, a potem położyła je obok pałeczek przy nakryciu Melanii.

– Ha! – Klasnęła w dłonie. – Teraz już wszystko gotowe. Możemy jeść!

Kolację zaczęli od rzadkiej zupy, w której pływały kawałki warzyw i przezroczyste nitki makaronu. Potem przyszła kolej na potrawy o różnorodnych smakach. Wołowina na słodko, kurczak w sosie tak ostrym, że prawie nie można go było przełknąć, jaskrawożółte kawałki ananasa i kurczaka w słodko-gorzkim sosie, zabarwionym na żółto imbirem, i kawałki kwaśnej oberżyny, zapieczone w panierce jak kotlety schabowe. Wszystkie dania oczywiście uzupełniał ryż, którego grudki nakładali sobie co chwila przy każdej zmianie smaku. Oczywiście jedli z miseczek, dlatego widelec i nóż, z których babcia Tana była taka dumna, nie przydały się zbytnio. Melania używała, tak jak jej towarzysze, pałeczek. Jednak przy pierożkach, widząc rozczarowane spojrzenia, które staruszka rzucała w kierunku sztucców, ujęła w dłoń

widelec. Twarz Tian Lai rozjaśniła się uśmiechem.

W końcu Mela była pewna, że nie zdoła wcisnąć w siebie ani grama jedzenia więcej, ale babcia Tana rześko pobiegła do kuchni i zmieniła półmiski.

Na stole pojawiły się owoce, ciasteczka i słodczyce, a czajnik z herbatą zastąpiły grube niskie szklanki, do których Tan z zażenowanym uśmiechem rozlał wino. Podczas całej kolacji, trwającej już prawie dwie godziny, rozmawiali swobodnie o Chinach i Polsce, o różnicach w zwyczajach, o roślinach i na wszystkie możliwe tematy. Kiedy Tan wyszedł do toalety, Tian Lai pochyliła się w kierunku Melanii.

– Dziękuję ci, dziecko – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Czytałam cały dzień i noc. Oddałaś mi moich przodków. Dziękuję. Pamiętaj, przysięgłaś, że dochowasz tajemnicy. Nie mów mu o tym nigdy. Zachowaj prawdę dla siebie. Czas jeszcze nie nadszedł.

Gdy Tan po chwili wrócił do stołu, Tian Lai, jakby nigdy nic, gawędziła wesoło o rzeczach nieistotnych. W końcu podjęła temat, który tak naprawdę ich wszystkich nurtował.

– I co postanowiliście, kochani? Mel Lan za parę dni wraca do Polski. I co dalej?

– Jeszcze nie mieliśmy kiedy o tym porozmawiać, babciu – odpowiedział łagodnie Tan. – Melania ma tam dobrze prosperującą firmę i raczej nie wyobraża sobie życia gdzie indziej. Myślę, że trzeba będzie napisać do rodziców i zapytać ich, czy nie mają ochoty na powrót do Pekinu. W ciągu miesiąca powinienem skończyć remont naszego nowego domu, może się skuszą? Jak myślisz? A może ty byś chciała przeprowadzić się do nich, na wieś i na stare lata cieszyć się pięknem natury? Bo my chyba jednak zamieszkamy w Polsce. – Spojrzał pytająco na Melanię. – Prawda, Mel?

Melania ujęła dłonie ich obojga w swoje.

– Nieprawda – odpowiedziała stanowczo. – Nie mówiłam ci, Tan, bo długo sama nie byłam pewna, a poza tym chciałam powiedzieć wam obojgu razem. Muszę wyjechać do Polski i pozajątwiać swoje sprawy, ale to nie nastąpi tak szybko. Zdecydowałam, że zamieszkamy tutaj, w naszym nowym domu, w domu rodziny Sieng. Co pani na to, Tian Lai? Zechce pani zamieszkać z nami w hutongu? Co wy na to?

Tan poderwał się z krzesła i porwał ją w objęcia.

– Naprawdę?! Naprawdę?! – zawołał uszczęśliwiony. – Zostaniemy tutaj, w Pekinie? Mel, to wspaniale! Cudownie! Zobaczysz, natychmiast posypią się oferty pracy dla ciebie. Nie będziesz żałowała. Kocham cię, Mel Lan!

– Puść mnie, wariacie! – śmiała się. – Właśnie tak zrobimy. Razem wyremontujemy i urządzimy ten dom. Zostanę jeszcze parę miesięcy w Pekinie, firma się nie zawali. Jesienią pojedziemy do Polski, a wtedy definitywnie pozamykam swoje sprawy. To wszystko jednak pod jednym warunkiem.

– Jakim, mów! – cieszył się Tan. – Spełnię wszystkie twoje życzenia. Moja Mel Lan, moja kochana!

Tian Lai siedziała w milczeniu przy stole, płacząc ze szczęścia.

– Pod warunkiem że wprowadzę się do twojego domu jako twoja żona – powiedziała uroczyście Melania. – Gong Tan Ling, pragnę, żebyś się ze mną ożenił. Chcę spędzić resztę życia z tobą, jako twoja chińska żona.

Chwycił ją znów w objęcia i zaczęli się całować. Babcia cichutko wstała od stołu i wyszła z pomieszczenia. Po chwili wróciła, ściskając w dłoniach małe zawiniątko.

– Witaj w rodzinie, wnuczko – powiedziała, wyciągając dłoń przed siebie, i skłoniła się uroczyście.

– Dziękuję, babciu.

Mela ze wzruszeniem wzięła z jej rąk zawiniątko. Odchyliła rogi jedwabnej chusteczki. Nefrytowa szpilka w kształcie orchidei błysnęła zielenią. Melania miała łzy w oczach. Tan spojrział z zaciekawiony na klejnot.

– A to co, babciu? Ładne, nigdy tego nie widziałem u ciebie. – Pogładził szpilkę palcem. – Nie martw się, Mel Lan, dostaniesz prawdziwy europejski pierścionek zaręczynowy z diamentem.

– Nie widziałeś, bo i po co. Co mężczyźni po kobiecych błyskotkach. Mam to od dawna, trzymałam schowane i czekałam, aż się przyda. – Ponownie skłoniła się lekko przed Melą. – Teraz się przydało!

Melania spojrzała staruszce prosto w oczy i odwzajemniła ukłon.

– Nie chcę pierścionka, Tan – powiedziała. – Jedyne, na czym mi zależy, to wy, moja rodzina, ty i babcia Tian Lai.

* * *

Przedłużenie wizy nie stanowiło problemu. Mela przez internet i telefonicznie regulowała swoje sprawy w Polsce. Zapropowała paru znajomym kupno magazynów i filii swojej firmy w Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Chętny znalazł się błyskawicznie. Prowadzenie wrocławskiego biura zleciła swojej współpracownicy, informując ją jednocześnie, że powinna sobie powoli szukać nowej pracy, bo firma zostanie zlikwidowana. Salony sprzedaży działały jednak nadal. Melania jeszcze nie była pewna, czy zdoła znaleźć kogoś, kto przejąłby organizację bieżących spraw, tak aby mogła jednak zatrzymać choć część przedsiębiorstwa, nie zarządzając nim bezpośrednio. Było jej ciężko pogodzić się z myślą, że to, co sama zbudowała od podstaw, teraz ma przestać istnieć.

Dokumenty z Polski, niezbędne do zawarcia małżeństwa w Chinach, zostały przetłumaczone przez tłumacza przysięgłego i w ciągu niespełna trzech tygodni dotarły do Pekinu. Tan i Melania zarejestrowali się w urzędzie i czekali na termin ślubu, który wyznaczili na sierpień tego roku, kiedy rodzice Tana planowali odwiedzić syna.

Tymczasem Melania wraz z babcią Tian Lai były pochłonięte remontem i urządzaniem domu. Mela postanowiła zatrzymać dla siebie wszystkie pozostałe meble. Zdecydowały również, że zmiany, które zostaną wprowadzone w czasie remontu, mają być minimalne. Oczywiście podłączono wodę i prąd, a w miejscu dawnych słuźbówek zaprojektowano dwie nowoczesne przestronne łazienki, ale reszta budynku pozostała właściwie niezmieniona.

W rezultacie dom w swoim nowym kształcie składał się po lewej stronie z pokoju babci i przylegającej do niego łazienki oraz dwóch niedużych pokoi gościnnych. Prawą stronę zajmowała prawie niezmieniona biblioteka, gdzie jedyną różnicą między starym a nowym wystrojem było zastąpienie kompletu lakowych siedzisk ze stolikiem z epoki Ming wygodną nowoczesną kanapą z pasującym do niej niskim drewnianym stolikiem. Ponadto na ścianie, gdzie przedtem wisiał obraz mistrza Zhang Zeduana, teraz umieszczono duży plazmowy telewizor.

Dalej po prawej stronie była jeszcze duża sypialnia Tana i Mel Lan z łazienką i garderobą. Pokój bankietowy z tylnego skrzydła domu pozostawili nienaruszony, miał być ich wspólną jadalnią, natomiast pomieszczenie, gdzie wcześniej znajdował się ołtarzyk przodków, stało na razie puste.

Tan nie wtrącał się w urządzenie domu, a Melania i Tian Lai zgadzały się ze sobą doskonale. Tylko raz miały odmienne zdanie, a nawet prawie się pokłóciły. Poszło o kuchnię.

– Ciebie chyba, dziecko, jakieś demony opętały – zirytowała się staruszka. – Tradycja i tradycja! Upierasz się, żeby odtworzyć ten dom w prawie identycznym stanie, jak dawniej. Ja się nie kłóczę. Też go kocham, w końcu to dom mojego dzieciństwa, to meble, które moja babka własną ręką wyrzeźbiła. Ale z kuchnią to już przesada. Co masz na myśli, mówiąc o palenisku? Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Babciu, nie denerwuj się – przekonywała ją Melania. – Sama pomyśl, dom ma swój własny styl i charakter. Nowoczesna kuchnia nie będzie do niego pasowała.

– Nic mnie to nie obchodzi! Pięćdziesiąt lat codziennie rozpalałam ogień pod kuchnią. Pół wieku morduję się z szorowaniem woka zimną wodą. Dostyc!

– Ale przecież ja nie mówię, żeby zostawić wszystko, jak było. Będzie normalny zlew z ciepłą wodą i lodówka, i wszystkie udogodnienia. Pochowamy tylko te nowoczesne urządzenia w drewnianych stylowych szafkach, żeby nie były na widoku. A zlew można zrobić z mosiądzu i w kształcie woka, to też się nie będzie rzucał w oczy. Po prostu wszystko będzie pasowało do reszty.

– Jasne! – prychnęła Tian Lai. – Mądra jesteś, bo ty sobie pójdziesz do pracy, a cała kuchenna robota będzie jak zawsze na mojej głowie. Nie zgadzam się. Żadnego paleniska, żadnych mosiężnych woków. Ja sobie życzę mieć nowoczesną kuchnię jak z reklamy. Taką ze zmywarką, piekarnikiem, kuchenką i wyciągiem na kuchenne zapachy. I z szufladami, takimi co same się domykają. Widziałam taką w tym dużym

sklepie.

– Babciu, kochana, zastanów się jeszcze – perswadowała Mela. – Tak bardzo się staram odtworzyć klimat tego domu. Już nawet poprosiłam Tana, żeby wstrzymał część transakcji tej drobnicy, która nadaje się do sprzedaży. Odzyskamy te stare mosiężne woki. Te same, na których były gotowane twoje posiłki, jak byłeś dzieckiem.

– Ty mnie tutaj dzieciństwem nie czaruj. Możesz sobie te woki powiesić w sypialni nad łóżkiem. Ja chcę mieć w kuchni uczciwe garnki z teflonem! – burknęła staruszka, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Melania westchnęła ciężko i poszła na dziedziniec. Usiadła w swoim ulubionym kąciku i zapaliła papierosa. Po paru minutach Tian Lai przyszła do niej z dzbankiem i kubkami.

– Zrobiłam herbatę – odezwała się pojednawczym tonem, siadając obok.

– Przecież wiesz, że nie chcę robić ci na złość – powiedziała po dłuższej chwili Melania. – Pokochałam ten dom, tak jak pokochałam ciebie i Tana.

– Wiem, Mel Lan – odrzekła cicho staruszka. – Ja też go kocham i bardzo się cieszę, że zostaną tu meble mojej babki i że tak się starasz, żeby przywrócić temu miejscu dawną świetność. Ale widzisz... Gdyby moja babcia żyła, też by chciała mieć nowoczesną kuchnię. Od dnia, gdy opuściła ten dom, jeszcze przez ponad trzydzieści lat musiała gotować na palenisku. Cieszyłaby się z każdego ułatwienia codziennych zajęć. Ona była niesamowita. Otwarta na świat, na wszelkie nowości. Zawsze taka ciekawa wszystkiego. Do końca życia interesowała się polityką, choć nigdy nikomu do tego się nie przyznała. Żyła jak prosta szwaczka, pracowała w fabryce, ale jej umysł wyrывał się na wolność z klatki, w której sama go zamknęła. Wiesz, że umarła w tym samym roku co Mao?

– Co za zbieg okoliczności – szepnęła Melania. – Opowiedz mi o niej. Jaka była?

– Wspaniała. Była moją babcią, mamą, nauczycielką, całym moim światem. Była odważna, mądra, surowa i stanowcza, a jednocześnie ciepła, kochająca, dobra i wyrozumiała. Wiem, że to brzmi, jakbym mówiła o dwóch różnych osobach, ale ona właśnie taka była. Kiedy byłam dziewczynką, Pekinem władali Japończycy. To były bardzo niebezpieczne czasy, nie mogłam, jak moja matka, chodzić do szkoły. Zresztą wtedy nie wiedziałam, jak wyglądało jej życie. Niewiele o niej wiedziałam, całym moim światem był ten dom, babcia i dziadek. Babcia uczyła mnie w domu. Nauczyła mnie pisać i czytać, a także szyć, gotować i haftować. Wszystkiego nauczyła mnie sama, bo wszystko to umiała. Była bardzo mądra. Żelazną ręką rządziła całym domem, kierowała służącymi, prowadziła gospodarstwo, opiekowała się pradziadkami, którzy byli starzy i chorzy. Pamiętam, jak umarli, prawie jedno po drugim. – Tian Lai zapatrzyła się w ażurowe wzory wewnętrznej ściany domu. – Na wszystko miała czas. A jeszcze przynajmniej dwie godziny dziennie spędzała w swojej pracowni i robiła piękne rzeczy. Pamiętam, jak służba montowała te ściany. Babcia była z nich bardzo

dumna.

– Nie wspominała ci nigdy o swojej przeszłości? Naprawdę?

– Nie wspominała. Czasami opowiadała mi bajki albo mówiła o przodkach dziadka Tana. Jednak o swojej własnej przeszłości nigdy ani słowa. Często opowiadała o mojej mamie. Jaka była pracowita, jak pilnie się uczyła i pięknie haftowała. Dlatego starałam się być taka, jak moja mama. Teraz trochę gorzej widzę, ale kiedyś pięknie haftowałam na jedwabiu. Prawdziwe obrazy, równie wspaniałe jak płaskorzeźby babci. Była ze mnie dumna. Opowiadała, że mama wcześniej wyszła za męża i umarła przy moich narodzinach. Jednak nigdy mi nie powiedziała, jak było naprawdę. O rodzinie Gong nie wspominała ani słowem. Jako młoda dziewczyna buntowałam się czasem, że trzymali mnie zamkniętą w domu, jak w więzieniu. Też chciałam mieć męża. Wtedy byłam zła, że nie szukali dla mnie odpowiedniego narzeczonego. Dziś dopiero rozumiem dlaczego. Bali się o mnie i starali się mnie chronić. Obawiali się, że znów dokonają złego wyboru, tak jak w przypadku mojej matki. Nie mam im tego za złe, ale wtedy... Wiesz, miałam dwadzieścia cztery lata, kiedy komuniści zabrali mnie z domu i zmusili do pracy na wsi. Nie miałam pojęcia o życiu, o mężczyznach. Właściwie byłam już starą panną, dla której jedyny wzorzec stanowiła miłość babci i dziadka. A oni tak bardzo się kochali. Dziadek traktował babcię jak królową. Czytałaś sama, co napisała, jak cesarzową wdowę. Nigdy więcej, w całym swoim życiu, nie widziałam mężczyzny, który by tak bardzo kochał żonę. Tan Ling, imiennik dziadka, mój wnuk, trochę go przypomina. Wtedy jeszcze myślałam, że wszyscy mężczyźni są tacy jak dziadek Tan.

– Babciu, powiedz mi, co było dalej – poprosiła Melania. – Co się zdarzyło po twoim wyjeździe z Pekinu?

– Wywieźli nas ciężarówkami, dwudziestoosobową grupę młodych dziewcząt. Jechałyśmy trzy dni, bez jedzenia, czasami tylko dawali nam wodę do picia. Dotarłyśmy na miejsce ledwo żywe. To nawet nie była wieś, tylko taki obóz pracy. Mieszkałyśmy w dużych, brudnych namiotach, dowodziła nami drużynowa. Warunki były straszne, przez ten rok na moich oczach umarły trzy dziewczyny. Dwie z powodu chorób, jedna się powiesiła. Pracowałyśmy po szesnaście, osiemnaście godzin dziennie. Tylko raz na dzień dostawałyśmy posiłek, który z reguły był niejadalny. Sama praca też była bezsensowna. Kazali nam stworzyć wzorcowe kolektywne gospodarstwo rolne. Nie miałam pojęcia o rolnictwie, urodziłam się w Pekinie i nigdy nie widziałam żadnych innych roślin niż orchidee w donicach. Babcia uwielbiała orchidee, w domu było ich mnóstwo. Ale to, co się działo tam na wsi, nie miało żadnego sensu. Utworzono dwie dwudziestoosobowe grupy, chłopców i dziewcząt. Pracowaliśmy razem, sadziliśmy na polu rośliny, które nie miały żadnych szans, żeby wyrosnąć. Tam było za sucho i nic nie mogło wyrosnąć. Dlatego sadziliśmy, wykopywaliśmy, znowu oraliśmy, nawoziliśmy, podlewaliśmy i znowu sadziliśmy, bez

sensu. Chłopcy stawiali obory i budynki gospodarcze. Też nie wiadomo po co. Było oczywiste, że żadne zwierzęta tam się nie uchowają, bo w okolicy nie było żadnych pastwisk. Był to rok beznadziejnie głupiej i bezsensownej pracy, która nie miała prawa przynieść żadnego efektu. Myślę, że cały ten obóz tak naprawdę zorganizowano jedynie po to, żeby nas upodlić, ukarać. Nie mam pojęcia, za co.

– Jak ci się udało wrócić do Pekinu? – spytała Melania.

– Dzięki własnej głupocie, moja droga. – Tian Lai roześmiała się ponuro.

– Jak to?

– Widzisz, zanim wróciłam, to jeszcze sporo się wydarzyło. Zakochałam się tam błyskawicznie, trzy miesiące po przyjeździe, w chłopaku z męskiej drużyny. No i z własnej woli oddałam mu się, oczywiście. Byłam młoda, silna, zdrowa i zakochana. Uważałam, że się ze mną ożeni, wrócimy do domu i będzie mnie nosił na rękach jak dziadek babcię. On jednak miał inne plany. Jak tylko się wydało, że jestem w ciąży, wyparł się wszystkiego. Mnie publicznie skrytykowano i odesłano do pracy. Cud, że nie poroniłam. Do rozwiązania cały czas ciężko pracowałam, a potem, kiedy mój synek się urodził, po prostu mnie wyrzucili. Na tym obozie nie było miejsca dla matek z dziećmi. Kazali mi iść w diabły. Więc zabrałam dziecko i poszłam.

– Na piechotę? – zapytała zdumiona Mela.

– Ano na piechotę. – Babcia pokiwała głową. – Czasem mnie ktoś podwiózł, ale głównie na piechotę. Szłam cztery miesiące. Po drodze zebrałam, spałam pod gołym niebem, tuląc niemowlę. Dobrze, że było ciepło, przynajmniej nie marzliśmy. Przeżyliśmy dzięki dobrym ludziom i opiece przodków.

– Przerazające! – wyszeptała Melania.

– A wiesz, że wcale nie. – Tian Lai się uśmiechnęła. – Dużo ludzi tak wtedy wędrowało po kraju. Głównie wieśniaków. Teraz, jak opowiadam, wydaje się to przerażające, ale wcale nie było tak źle. Byłam silna i zdrowa, a ciężka praca w obozie mnie zahartowała. Nie na darmo się mówi, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. W końcu dotarłam do Pekinu i stało się dokładnie tak, jak przewidziała babcia. W naszym domu mieszkali obcy ludzie, wygonili mnie. Poszłam więc do niani i tam się spotkałyśmy. A potem już jakoś dawałyśmy sobie radę.

– Wychowywałyście twojego synka razem z babcią, tylko we dwie?

– Próbowaliśmy. – Westchnęła ciężko. – Przynajmniej zrobiłyśmy wszystko, co w naszej mocy, aby go wychować na przyzwoitego człowieka. Ale tak naprawdę wychowały go czasy, w których przyszło nam żyć. Widzisz, moja droga, zarówno ja, jak i babcia mogłyśmy się tylko biernie przyglądać i robić to, co inni. Protesty były ryzykowne. Wtedy, w czasach Mao, można było mieć własne zdanie tylko pod warunkiem, że zgadzało się ono z wytycznymi partii.

– Wiem – powiedziała współczująco Melania. – Dużo czytałam o tych czasach, wiem, jakich szkód narobił komunizm, maoizm i rewolucja kulturalna. Ja też urodziłam

się w kraju, który należał do bloku socjalistycznego. Do dzisiaj upiory tamtych czasów straszą w naszej rzeczywistości, a przecież to było dawno temu.

– Po pierwsze, wcale nie tak dawno, a po drugie, co innego czytać, a co innego przeżyć – odparła stanowczo staruszka.

Rozsiadła się wygodnie na leżaku, dołąła sobie stygnącej herbaty i mówiła dalej:

– Dałam mojemu synkowi na imię Zhian Mu Zhian, co oznacza Silny Dąb. Bo chociaż jego ojciec był idiotą i nie chciał mieć z nami nic wspólnego, bardzo kochałam swoje dziecko. Chciałam, żeby wyrósł na silnego mężczyznę jak mój dziadek i zaopiekował się rodziną. Muszę ci powiedzieć, w jakich warunkach żyłyśmy z babcią po moim powrocie do Pekinu. W domu, gdzie teraz mieszkam z Tanem, kiedyś gnieździły się dwie duże rodziny, razem dziesięć osób, a z czasem nawet dwa razy tyle. Moja niania była teraz mężatką i miała dwójkę dzieci. Razem z nimi czworgiem mieszkali rodzice jej męża i jego niezamężna siostra. Wielkodusznością z ich strony było, że przyjęli naszą trójkę pod swój dach.

– Ale jak to możliwe? – zdziwiła się Melania. – Przecież w tym domu są tylko dwa nieduże pokoje. Jak się pomieściliście w dziesięć osób?

– Kiedyś to było normalne, a zresztą wtedy dom wyglądał nieco inaczej. W obecnym pokoju Tana mieszkała moja niania z mężem i dziećmi, chociaż poza tym pełnił taką funkcję jak dziś, był wspólnym pomieszczeniem całej rodziny. Mój pokój zajmowali rodzice niani, a ich niezamężna córka spała tam, gdzie teraz jest łazienka. Moja babcia dostała ten pierwszy pokój, w którym dzisiaj trzymamy rowery.

– Pokój?! – przerwała jej Melania. – Przecież to nie pokój, tylko komórka. Tam nawet okna nie ma, nie mówiąc o miejscu na porządne łóżko i jakieś meble.

– Mylisz się bardzo, dziecko – powiedziała staruszka. – To był z ich strony wspaniałomyślny i wielki gest. Jedynie dlatego tak się zachowali, że moja babka była bardzo szanowaną osobą. Gdyby była jedynie bogata, z pewnością by jej nie pomogli. Przyszła do nich z pustymi rękami, a oni przyjęli ją jak cesarzową. Babcia Nije Ke Xin była bardzo kochana przez całą naszą służbę. A moja niania wszczepiła swojej rodzinie szacunek do niej. I tylko dlatego babcia dostała dla siebie cały pokój. Kiedy zjawiłam się tam z synkiem, skleciłyśmy sobie piętrowe łóżko. Ja z Zhianem spaliśmy na górze, a babcia na dole. To nam wystarczyło.

– No dobrze, a łazienka?

– Wtedy w hutongach nie było łazienek. Myliśmy się w pokojach, w miskach, a załatwialiśmy do nocników. Zresztą niewiele czasu spędzałyśmy w domu. Babci udało się znaleźć dla nas pracę szwaczek w fabryce. Obie przebywałyśmy tam po dwanaście godzin dziennie. Zhian najpierw chował się z dziećmi niani, całymi dniami nas nie widywał. Potem poszedł do szkoły i jego wychowaniem właściwie zajęła się partia. Dlatego jest, jaki jest. – Tian Lai westchnęła i zamilkła.

– To znaczy? – zapytała zaciekawiona Mela. – Jaki?

– Ano właśnie – odrzekła smutno staruszka. – W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym zaczęła się rewolucja kulturalna. Zhian miał szesnaście lat. Nasi współlokatorzy, rodzina niani, mocno wierzyli w rewolucję, w Mao i komunizm. W szkole mniej było rzetelnej nauki, a więcej indoktrynacji. No i tak mój Silny Dąb stał się zatwardziałym maoistą. Zmienił imię na Ko Ming Dha, co oznacza „rewolucjonista”, i wstąpił w szeregi hunwejbínów, czerwonogwardzistów. Z czasem zaczął jeździć po kraju i agitować po wsiach i miasteczkach. Babcia i ja patrzyłyśmy na to z przerażeniem, ale milczałyśmy. Ludzie wokół, z naszym ukochanym synem i wnukiem na czele, wykrzykiwali rewolucyjne hasła. Chcieli wszystko zmieniać, wszystko niszczyć. To, w co wierzyłam, czego nauczyła mnie babcia Nije Ke Xin, to znaczy uczciwość, prawość, miłość, piękno i harmonia, przestało mieć znaczenie. Świat, w którym ona się urodziła, już nie istniał. Na szczęście umarła, zanim mój syn Rewolucjonista przywiózł sobie z jednej z agitacyjnych wypraw żonę, Czerwoną Gwiazdę. Dziękuję przodkom, że moja babka nigdy nie poznała tej kobiety.

– Jacy oni są, ci rodzice Tana? – spytała Melania. – Już niedługo tu przyjadą, czego powinnam się spodziewać?

– Jedyne, co mogę ci poradzić, dziecko, to milcz, nie słuchaj, nie komentuj i przeczekaj. Pobędą trzy dni, a potem pojadą. Zaciśnij zęby i przetrzymaj. Trudno, tacy są i nic już tego nie zmieni.

– Jacy, babciu?

– Do szpiku kości komunistyczni, w tym najgorszym, głupim i zakłamanym wydaniu tej ideologii. Oboje przeszli pranie mózgu i uparcie tkwią po szyję w swoich chorych poglądach. To jeden z powodów, dla których jestem taka szczęśliwa, że na starość mogę pozostać z Tanem. Gdybyście nie podjęli decyzji, że zamieszkacie w Pekinie, pewnie bym się zastanawiała, czy nie pójść na te ostatnie parę lat do jakiejś komuny dla staruchów. Myślę, że wolałabym to niż życie w domu mojej synowej. Ale nie ma co gdybać, należy tylko dziękować duchom przodków, że Tan ma ciebie, a ja was oboje.

– Jak to się stało, że Tan jest taki inny? – zapytała ostrożnie Melania. – Wychowany przez takich rodziców, a myśli zupełnie inaczej.

– Tak! – wykrzyknęła z dumą Tian Lai. – Bo to nie oni go wychowywali, tylko ja. Przecież jak był mały, to prawie wcale nim się nie zajmowali, nie mieli czasu. Biegali z zebrania na zebranie, z demonstracji na demonstrację. Policz sobie, dziewczyno. Moja babcia Nije zmarła w tym samym roku co wódz Mao. W tym samym roku, w którym mój syn Ko Ming Dha przywiózł do Pekinu swoją żonę. Zaczęły się walki o schedę po Mao. Trzy lata później, kiedy urodził się Tan Ling, zaczął się co prawda czas reform, ale proces Bandy Czwojga jeszcze nie dobiegł końca. Moi walczący maoiści, syn i synowa, biegali jak z pieprzem po partyjnych posiadłościach. Zmiany nie zaczęły się z dnia na dzień, one trwały latami i trwają nadal. Jak długo tacy ludzie jak mój syn oddychają, wszystko się może zdarzyć. Jest tak, jak pisała babcia Nije,

nienawiść ma równie wielką siłę jak miłość. Jak długo koegzystują w równowadze, jest szansa na spokój i harmonię. Kiedy jedna z nich uzyskuje przewagę, zaczyna się chaos, wojna i rewolucja. A ideały Mao, moja droga, jeśli się dobrze wczytać, bazują właśnie na nienawiści. Tan jest inny, bo rodzice nie mieli szans go zatruć swoją ideologią. Ich nigdy nie było w domu, to ja go wychowywałam. Miał dużo równowagi w swoim życiu, szkoła i rodzice go indoktrynowali, ale w domu większość czasu to ja z nim byłam. Udało mi się dać mu ten drugi biegun, udało mi się przekazać mu całą miłość, którą mnie dali kiedyś babcia i dziadek. Tan jest inny. To patriota, Chińczyk, ale jednocześnie jest obywatelem świata. Nie popiera fanatycznie żadnej strony, rozumie, że nie zawsze tylko jeden sposób na życie musi być dobry. Ma otwarty umysł i nie kieruje się żadnymi uprzedzeniami. Mogę sobie pogratulować.

– To prawda – przyznała Melania. – Wychowałaś, babciu, dobrego i mądrego człowieka. Dziękuję ci za to z całego serca.

W rezultacie kuchnia w domu Tana i Melanii stanowiła kompromis między życzeniami Tian Lai a wyobrażeniami Meli. Na jednej ścianie podłużnego pomieszczenia we frontowej części domu zamontowano zrobione na wymiar nowoczesne, błyszczące szafki bez okuć. Drzwiczki i szuflady były kremowe, otwierały się na przycisk. Zmywarka, lodówka i piekarnik zostały ukryte pod lśniącą obudową. Nawet płyta indukcyjna do gotowania miała kolor beżowy, harmonizujący z barwą szafek i ścian. Wszystkie teflonowe garnki i patelnie miały swoje miejsca w szufladach. Druga, przeciwległa ściana była zupełnie inna. Palenisko zostało tak wbudowane w ścianę, że od strony dziedzińca stanowiło piękny kamienny kominek. Od strony kuchni natomiast obwieszono było mosiężnymi, wypolerowanymi na błysk wokami i tradycyjnymi chińskimi naczyniami kuchennymi z mosiądzu i bambusa. Po jednej stronie nowoczesny, zimny luksus, po drugiej ciepłe barwy drewna, kamienia i mosiądzu.

* * *

Rodzice Tana przyjechali do Pekinu w końcu lipca. Nie zamierzali zostać do dnia ślubu, przyjechali jedynie poznać synową i wręczyć prezenty. Ich wizyta trwała zaledwie dwa dni, a i tak Melania znienawidziła każdą sekundę tych odwiedzin. Na szczęście nowy dom był już, poza jednym pomieszczeniem, gotowy do zamieszkania. Rewolucjonista i Czerwona Gwiazda z całą stanowczością odmówili jednak nocowania tam. Określili to miejsce jako burżujską i kapitalistyczną siedzibę, zdegenerowaną próbę obalenia najwyższych wartości ludu Chin. Tian Lai słuchała ich monologów, uśmiechając się złośliwie, i porozumiewawczo patrzyła na Mele.

Tan grzecznie i z szacunkiem odpowiadał na zarzuty rodziców, bez przekonania i niemrawo próbując się bronić. Melania z początku ze zdziwieniem obserwowała jego zachowanie. Znała go jako człowieka, który potrafi bronić swoich poglądów, odwagi też nigdy mu nie brakowało. Teraz widziała przed sobą pokornego syna. Na czas wizyty odstąpił rodzicom swój pokój, gdyż oboje z Melą nocowali już w swojej sypialni w nowym domu. Babcia lojalnie została z gośćmi, aby się nimi zająć, chociaż tak naprawdę od momentu ukończenia remontu kuchni właściwie mieszkała już na stałe w nowym miejscu. Jedynie na noc wracała jeszcze do dawnego mieszkania, ale bardzo niechętnie. Drugiego wieczoru, po kolacji, w czasie której zwykła rozmowa przerodziła się z nienacka w prawie że debatę ideologiczną, już w łóżku, tuż przed zaśnięciem, Melania zagadnęła Tana ostrożnie:

– Nie rozumiem, jak to jest. Znam cię całkiem nieźle, ale nigdy, aż do dzisiaj, nie przypuszczałam, że możesz być takim dyplomatą. Do tej pory zawsze, niezależnie od sytuacji, broniłeś swoich przekonań. A dzisiaj pozwoliłeś sobą pomiatać jak dziecko. Co się z tobą dzieje, Tan?

– Och, kochanie. – Przytulił ją, śmiejąc się. – Nic się ze mną nie dzieje. Jestem tylko dobrym chińskim synem. Masz rację, mówię to, w co wierzę, niezależnie od sytuacji. Tym razem jednak to nie sytuacja wpłynęła na moje zachowanie, tylko osoba rozmówcy.

– Jak to? Jakie to ma znaczenie?

– Duże – odrzekł. – Widzisz, kiedyś próbowałem przekonywać ojca, że się myli. Tłumaczyłem mu swoje racje, jasno i klarownie pokazywałem, do czego doprowadziły straszne błędy, które on do dziś uważa za najwyższe wartości. Kłóciliśmy się wtedy okropnie. Ja byłem młody i zapalczywy, a on... On po prostu jest niereformowalny. Kiedy wróciłem z Europy, był na mnie wściekły. Zarzucał mi, że dałem się uwieść kapitalistycznej propagandzie, że mnie kupili. Wiesz, ja nigdy nie byłem blisko z rodzicami. Jakoś tak się stało, że bardziej to babcia była moją opiekunką niż oni. Jednak nie zmienia to faktu, że zawsze starałem się okazywać im należyty szacunek, choć nie zawsze mi się udawało. Po tamtej awanturze ojciec stwierdził, że nie mogę mieszkać z nimi pod jednym dachem, i prawie na tydzień musiałem się wynieść z domu. Pod moją nieobecność zadziałała babcia. Normalnie siedziała cicho i nigdy w żadne dyskusje się nie wtrącała. Mimo wszystko to ona była najstarszą osobą w rodzinie, to do niej tak naprawdę należało ostatnie słowo. Dlatego sam nie wiem jak, ale w ciągu tygodnia rozwiązała problem. Ojciec z matką przeprowadzili się na wieś, gdzie moja mama ma dom, który odziedziczyła po swoich zmarłych rodzicach, a ja zostałem tutaj z babcią. Z czasem rodzina, która mieszkała w drugiej połowie domu, wyprowadziła się do bloków, tak więc zamieszkaliśmy sami, we dwoje.

– No dobrze, ale jak to się ma do twojej uległości wobec ojca?

– To chyba oczywiste – wyjaśnił. – Jest moim ojcem, należy mu się ode mnie

nieograniczony szacunek i opieka. Nie przeciwstawiam mu się, bo to mój synowski obowiązek. Zresztą mamy rodzaj cichego kompromisu. Rodzice żyją swoim życiem i swoimi przekonaniem na wsi, a ja swoim tutaj, w Pekinie. Odwiedzamy się raz w roku i staramy się być dla siebie mili. I tyle.

Mela jeszcze długo myślała nad jego słowami, zanim usnęła.

W prezencie ślubnym dostała od przyszłych teściów wizerunek Mao, oprawiony w kiczowate, gipsowe, pomalowane na złoty kolor ramy – była to kopia portretu, który został umieszczony przy wejściu do Zakazanego Miasta od strony placu Tiananmen – oraz nowe wydanie *Czerwonej Książeczki*. Rodzice Tana uznali, że skoro przyszła synowa jest, tak jak Tan Ling, historykiem sztuki, te najcenniejsze pamiątki historyczne sprawią jej największą radość. Tian Lai z trudem powstrzymywała śmiech, gdy Mela wylewnie dziękowała za podarunek.

Natomiast ślubny prezent od babci Tian Lai wzbudził niekłamany zachwyt Melanii. Staruszka uszyła jej elegancką sukienkę z zielonego jedwabiu, wzorowaną stylem na starych tradycyjnych strojach chińskich, ale na wskroś współczesną. Sukienka była ręcznie haftowana w przepiękne kremowe kwiaty orchidei. Melania ubrała się w nią do ślubu, a babcię poprosiła, aby ta wpięła w jej wysoko upięte włosy nefrytową szpilkę, prezent cesarzowej Cixi dla Wiernej Bambus.

Uroczystość była skromna. Tan i Melania podpisali dokumenty w urzędzie w obecności Tian Lai, przyjaciela pana młodego i Moniki Merlow, która przyleciała do Pekinu specjalnie na ceremonię. Przyjęcie weselne urządzili w nowym domu, a babcia jak zwykle przygotowała wspólną ucztę.

Potem, po ślubie, definitywnie przenieśli się tam we trójkę. Dom był naprawdę imponujący. Dzięki wspólnym staraniom udało im się stworzyć w nim harmonijną i ciepłą atmosferę. Tylko jedno pomieszczenie nadal stało puste.

* * *

– Nie rozumiem zupełnie, dlaczego chcesz mieć właśnie tamte malowidła? – dziwił się Tan. – Jasne, że pasują, ale to kompletnie bez sensu. To nasz dom, po co nam zwoje z dziejami przodków obcej rodziny? Sam pomysł jest niezły, ale inskrypcje dotyczące rodu Sieng? Wiesz, dla ciebie to może i jest dekoracyjne, ale przecież my umiemy czytać i doskonale wiemy, co tam jest napisane. Nie lepiej kupić jakieś dwa ładne tradycyjne obrazy malowane tuszem i powiesić po bokach na centralnej ścianie?

– Nie lepiej – upierała się stanowczo Melania. – I co z tego, że to historia obcych ludzi? To nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Upieram się, bo widziałam te malowidła tutaj i uważam, że idealnie się nadają. Te zwoje perfekcyjnie harmonizują

z centralną płaskorzeźbą. Już masz na niej tradycyjne motywy, po co ci obrazy tuszem?

– No właśnie – przekonywał ją Tan. – Sama płaskorzeźba wystarczy. Nie sądzisz, że jak jeszcze dowalisz te kaligrafie, to będzie przeładowane? I nadal uważam sam pomysł za co najmniej dziwny. Niepotrzebna strata powierzchni użytkowej. Możemy przecież powiększyć jadalnię i zrobić tam taki kącik rekreacyjny, z wygodnymi kanapami i miłym, ciepłym oświetleniem. Taką świątynię dumania.

– Masz już dokładnie taki miły kącik rekreacyjny w bibliotece, na dziedzińcu i w pokoju gościnnym obok babci. Po co ci kolejny? A domowy ołtarzyk jest ukłonem w kierunku historii tego domu.

– Ale historia tego domu to nie jest nasza historia, a zwoje, które uparłaś się tam zawiesić, opowiadają o kompletnie nieznanym nam osobach. Co mnie obchodzi jakaś tam rodzina Sieng!

– I tu się mylisz. To nasz dom i od teraz jego historia jest również naszą historią. Nie rozumiesz tego?

– Rozumiem i nawet jeśli przyznaję ci trochę racji, to uważam, że przesadzasz. Latasz jak z pieprzem po antykwariatach i sklepikach, usiłując znaleźć wysokie na metr amfory, takie same, jak te z dynastii Ming, które tu stały wcześniej. Stojak i wazę na kadzidła kazałaś za ciężkie pieniądze zrobić na zamówienie. Nawet orchidee planujesz ustawić tak samo. A teraz jeszcze te zwoje z kaligrafią! Mel Lan, czy zdajesz sobie sprawę, że próbujesz odtworzyć to pomieszczenie w dokładnie takim samym kształcie, w jakim je pierwszy raz zobaczyłaś? To paranoja! Wiesz co, zamiast się kłócić, spytajmy po prostu babcię, co ona o tym sądzi. Na pewno stanie po mojej stronie. Pamiętasz, jak było z kuchnią?

– Nie! – Melania zaprotestowała gorąco. – Tylko o to cię proszę, nic jej nie mówmy. Jak jej cokolwiek wspomnisz, będziesz ostatnia świnia. To moja własna, osobista niespodzianka właśnie dla niej – przekonywała Tana. – Nie rozumiesz, że chcę się jej odwdziaczyć? Uszyła dla mnie tę śliczną sukienkę, opiekuje się nami, gotuje dla nas. Chcę zrobić ten pokoik dla niej, tylko dla niej. Tam będzie mogła sobie spokojnie odpoczywać. Zobaczysz, że jej się spodoba.

– Jasne, tak jak się jej spodobały twoje pomysły z tradycyjną kuchnią – mruknął z przekąsem. – Ona najchętniej odpoczywa przed telewizorem, nie zauważyłaś jeszcze?

– Och, Tan, proszę, daj mi szansę. Tak bardzo tego chcę. Prooooooszę. Jak mi nie pozwolisz, to się z tobą rozwiodę – zażartowała.

– No tak – jęknął. – Rozvodu nie zaryzykuję, rób, co chcesz. – Zrezygnowany machnął ręką.

– Czyli pomożesz mi, załatwisz te zwoje?

– Załatwię – powiedział, całując ją w czoło. – Jesteś dokładnie taka sama jak babcia, uparta jak osioł.

To właśnie tam, przed ołtarzykiem przodków, gdzie Melania zaprowadziła po raz pierwszy Tian Lai, pod koniec września przekazała im obojgu jednocześnie tę wspaniałą wiadomość.

W sobotni poranek Mela przekonała Tana, aby zabrał babcię na zakupy. W ciągu dwóch godzin nieobecności obojga przy pomocy jego kolegi ustawiła w pustym pomieszczeniu wszystkie sprzęty, zbierane od paru tygodni i skrzętnie dotąd ukryte przed wszędobylską Tian Lai. Nasypała białego piasku do mosiężnej wazy, przygotowała sandałowe kadzidełka.

Było dokładnie tak, jak wcześniej. Na centralnej ścianie wisiała płaskorzeźba wykonana przez Nije Ke Xin, przedstawiająca czapłę brodzącą w trzcinach na brzegu jeziora Kunming, w tle były widoczne zarysy Wzgórza Długowieczności i spadziste dachy pawilonów. Po bokach płaskorzeźby zostały umieszczone zwoje z wykaligrafowanymi imionami przodków rodu Sieng. Przy ścianie z obu stron stanęły symetrycznie dwa wysokie ceramiczne wazony, a pośrodku między nimi, na drewnianym stojaku, znalazła się mosiężna waza na kadzidła. Od dwóch wygodnych kanap oddzielały ją ustawione w rzędach donice z orchideami.

Kiedy Tian Lai z wnukiem wrócili do domu, Melania z zadowolonym uśmiechem zaprowadziła ich do izby przodków. Usadziła oboje na kanapach i powiedziała do staruszki, rozglądającej się z zaskoczeniem po pomieszczeniu:

– Babciu, to mój prezent dla ciebie. W tajemnicy sama urządziłam ten pokój. No, Tan trochę mi pomógł. Teraz już cały dom jest gotowy. Powiedz, podoba ci się?

– Piękny pokój, Mel Lan. Piękny cały dom – powiedziała wzruszonym głosem, wodząc wzrokiem od przedmiotu do przedmiotu. W jej oczach lśniły łzy. – Bardzo mi się podoba, wnuczko. Dziękuję ci.

– A widzisz! – z satysfakcją powiedziała Mela do Tana. – Mówiłam ci. Babci się podoba. Widzisz, niedowiarku?

– Coś podobnego?! – roześmiał się. – Niech ci będzie, miałaś rację.

Melania ukucnęła przed nimi i chwyciła oboje za ręce. Spoważniała, chociaż jej oczy nadal się śmiały.

– Muszę wam powiedzieć coś ważnego.

Popatrzyli na nią pytająco.

– Jeszcze więcej niespodzianek? – Tan uśmiechał się do niej szeroko.

– Tylko jedna. Jestem w ciąży. Musimy urządzić pokój dziecienny.

Tan poderwał się i chwycił ją w ramiona. Tulił ją i całował, wykrzykując radośnie coś niezrozumiałego. Tian Lai płakała już teraz otwarcie. Wstała, pocałowała Melę w policzek i podeszła do ołtarzyka przodków. Zapaliła kadzidło i wcisnęła je w piasek.

– Tak, Mel Lan, masz rację. Dom jest już gotowy. Teraz jesteśmy tu wszyscy w komplecie.

Tan nie potrafił zrozumieć nagłego i niewytłumaczalnego przywiązania swojej babki do tego pokoju. Tian Lai potrafiła godzinami siedzieć przed ołtarzykiem przodków rodziny Sieng. Melania nie zdradziła mężowi tajemnicy ukrytej szuflady w lakowym biurku i jej zawartości. Czasami patrzyły sobie ze staruszką głęboko w oczy w milczącym porozumieniu.

Tan Ling piął się po szczeblach kariery w Ministerstwie Kultury, Melania dostała interesującą ofertę pracy w muzeum pekińskim. Zanosiło się na to, że oboje do emerytury będą zatrudnieni w administracji Chińskiej Republiki Ludowej.

W październiku Mela musiała pojechać do Polski. Zdawała sobie doskonale sprawę, że firma nie może wiecznie funkcjonować bez jej właścicielki. Oczywiście teraz, gdy zamieszkała na stałe w Chinach, miała więcej możliwości zdobywania ciekawych obiektów do swoich galerii, ale to nie załatwiało wszystkiego.

Żeby galerie sprawnie funkcjonowały, musieli w nich pracować nie tylko menedżerowie i sprzedawcy. Biuro nie wystarczyło, potrzebna była osoba, która szukałaby nabywców. Ktoś dobrze znający wąski krąg kolekcjonerów, kto miał kontakty z domami aukcyjnymi Europy. Do tej pory zajmowała się tym Melania. Bez niej, to oczywiste, firma umrze śmiercią naturalną.

Dlatego przyjechała do Wrocławia. Musiała uporządkować swoje sprawy, wypowiedzieć umowy najmu większości salonów sprzedaży, magazynów i biura. Sprawnie posprzedawać pozostałe w magazynach eksponaty, sprzedać swoje mieszkanie. Pożegnać się z pierwszym etapem swojego życia, zamknąć go nieodwołalnie i skoncentrować się na przyszłości. Nie mogła i nie chciała siedzieć na dwóch stołkach. Przyszedł czas na stanowcze decyzje.

Tan Ling towarzyszył żonie w tej podróży. Nie chciał puścić jej samej na długie trzy tygodnie. Cieszył się, że wkrótce zostanie ojcem, i opiekował się nią wręcz przesadnie. Pragnął również poznać kraj pochodzenia swojej ukochanej Mel Lan i oddać hołd jej przodkom.

Któregoś dnia wybrali się razem na cmentarz, na grób mamy Melanii. Tan przytargał ze sobą olbrzymią donicę z białą, kwitnącą dziesiątkami pąków orchideą. Ustawił ją na pomniku, wetknął w ziemię dymiące kadzidełko i skłonił się z szacunkiem. Mela doskonale wiedziała, że cieplarniana roślina nie wytrzyma nawet paru dni w chłodzie październikowych nocy, mimo to nic nie mówiła, nie protestowała. Sama zapaliła lampkę i pozwoliła mężowi na jego sposób odprawić ceremonię, którą oddawał cześć jej zmarłej rodzinie. Pomodliła się cicho i opowiedziała mamie o swoim szczęściu.

Gdy już wychodzili, przy bramie cmentarza zaczepiła ich otyła tleniona blondynka.

– Melania?! – wykrzyknęła, łapiąc ją za rękaw. – To naprawdę ty? Boże, nic się nie

zmieniłaś, poznałabym cię wszędzie! Szczupła jak w ogólniaku, jak ty to robisz, dziewczyno?

– Przepraszam... – wyjąkała Mela, przyglądając się nieznajomej. – Znamy się?

– Nie poznajesz mnie? Naprawdę? To ja, Regina. No nie poznajesz?

– Regina, oczywiście – odrzekła Melania, z trudem dostrzegając znajome rysy twarzy dawnej koleżanki w fałdkach tłuszczu, pod warstwą grubego makijażu. – Tyle lat się nie widziałyśmy, przepraszam, nie poznałam cię.

– Nic dziwnego. – Tamta wzruszyła ramionami. – Straciłyśmy się z oczu zaraz po maturze. To już tyle lat! O Boże, nic się nie zmieniłaś! No mów, co u ciebie?

– Długo by opowiadać! – Mela się roześmiała. – O przepraszam. – Wskazała dłonią Tana i przeszła na angielski. – To mój mąż, Gong Tan Ling, a to Regina, moja koleżanka ze szkoły średniej. Co tutaj robisz, Gina?

– Przyszłam trochę posprzątać na grobie taty. Wiesz, miał zawał. Pochowaliśmy go w zeszłym tygodniu i trzeba pousuwać zwiędłe kwiaty i wieńce, bo ludzie będą gadali.

– Szczerze ci współczuję. To był wspaniały człowiek.

– Ano, takie życie – odparła beznamiętnie Gina. – No popatrz, wysłaś za mąż. Coś takiego! Ja też. Mam już trójkę dzieciaków, wyobrażasz sobie? A gdzie ty znalazłaś sobie takiego egzotycznego męża? – spytała, pozerając Tana wzrokiem.

– W Chinach, chociaż właściwie w Londynie. To długa historia! – odparła Melania.

– W Londynie? No co ty powiesz? Byłaś w Londynie?

– Byłam, dawno temu, nawet jakiś czas tam mieszkałam.

– Coś takiego?! A nie spotkałaś tam przypadkiem Sylwii? Wiesz, ona też mieszkała w Londynie, tam poznała swojego pierwszego męża. Potem się rozwiodła, była na odwyku, wróciła do Wrocławia... – Regina plotkowała zawzięcie, wyrzucając z siebie słowa w tempie karabinu maszynowego. – A potem miała drugiego męża, ale krótko. A dwa lata temu wyjechały razem z matką na stałe do Stanów. Sylwia jest mężatką po raz trzeci i jak ją znam, pewnie nie ostatni. Wiesz, że jej matka rozwiodła się z ojcem Sylwii? Zostawiły go zupełnie samego, splukanego na amen. Mówię ci... – rozpędzała się Regina, blokując swoją otyłą postacią wyjście z cmentarza.

– Przepraszam, Gina, wybacz... – przerwała jej z niesmakiem Melania. – To wszystko bardzo interesujące, ale my mamy umówione spotkanie i nie możemy się spóźnić – skłamała. – Tak więc, miło było cię zobaczyć, ale... – zawiesiła znacząco głos.

– No tak, pewnie – powiedziała Regina. – To może innym razem. Spotkajmy się, pogadamy. Może do mnie wpadniesz? Mieszkam tam, gdzie mieszkałam.

– No tak, może innym razem – odparła niezobowiązująco Melania. – Przepraszam, ale musimy już iść. Do widzenia. – Pociągnęła Tana w kierunku bramy.

– Do wić jenijna – powtórzył grzecznie, kłaniając się uprzejmie.

– Kto to? – zapytał już w samochodzie.

– Upiór przeszłości – odparła krótko Melania. Zamyśliła się i milczała przez całą drogę do domu.

Tej nocy śniła jej się mama. Twarz Małgorzaty falowała i rozmywała się w powietrzu, a potem wracała i patrzyła na nią oczami babci Tian Lai. Potem śnił jej się Tan, kłaniający się z szacunkiem swojemu ojcu, który wymachiwał mu przed nosem czerwonym sztandarem. Bzdury okropne. Obudziła się zmęczona. Już za parę dni mieli wracać do Pekinu. Mela wszystko ustaliła. Za swoje mieszkanie w starej kamienicy wrocławskiego rynku, które kupiła zaledwie parę lat temu, dostała znakomitą cenę. Nowy właściciel miał się wprowadzić natychmiast po jej wyjeździe. Osobiste drobiazgi, książki, płyty i ubrania, już spakowane, czekały na wysyłkę do Pekinu. Umowy wynajmu firmowych pomieszczeń miały wygasnąć z końcem roku, do tego czasu zamierzała również opróżnić z towarów magazyny i dwa wrocławskie salony sprzedaży.

Rozwiązała umowy z pracownikami, którym dodatkowo, w ramach odszkodowania i podziękowania, obiecała wypłacić półroczne pensje. Teraz wystarczy podpisać parę dokumentów i jej dawne życie przestanie istnieć. Melania Robak będzie już tylko śladem w dokumentach, a Gong Mel Lan rozpocznie swoje życie bez bagażu przeszłości.

Po południu weszła do Internetu i chwilę przeglądała wrocławską „Panoramę Firm”. Tan siedział w wygodnym fotelu, czytając książkę. Mela wyłączyła komputer i przytuliła się do męża.

– Zmęczona? – zapytał, całując ją w szyję.

– Nie – odrzekła. – Wszystko OK.

– Nie kłam. Znam cię. – Gładził ją po plecach. – Źle się czujesz? Wszystko w porządku z dzieckiem?

– Wszystko dobrze, nic nam nie jest – uspokoiła go z niepewnym uśmiechem. – Przecież wiesz, że znoszę ciężę wręcz nieprzyzwoicie dobrze. Nawet mnie nie mdliło do tej pory.

– Znam cię, Mel Lan. Widzę, że coś cię nurtuje.

– Nie, to tylko... Pamiętasz, co mi powiedziałaś o swoim ojcu? No wiesz, że nie jesteście sobie bliscy, ale twoim obowiązkiem jest go szanować.

– Pamiętam. – Z powagą pokiwał głową. – To prawda, tak jest. Wiesz doskonale, co o tym myślę. Ale dlaczego tak nagle przypomniał ci się mój ojciec?

– Ja też mam ojca, Tan. – Westchnęła. – Nigdy mnie nie chciał, zresztą ja też go nie chciałam, ale go mam. Mieszka tutaj, we Wrocławiu. I teraz, kiedy urodzi nam się dziecko, uświadomiłam sobie, że ten mężczyzna zostanie jego dziadkiem. A nawet nie będzie wiedział, że ma wnuka.

– To mu powiedz. Okaż mu należny szacunek i powiedz, że będzie miał wnuka.

– Nie wiem, czy chcę. – Pokręciła głową. – Nigdy nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Potraktował podle moją matkę, a mnie się wyparł. Nie jest dobrym człowiekiem. Nie. Chyba jednak nie chcę.

– Kochanie, gdybyś naprawdę nie chciała, tobyś się teraz w ogóle nie zastanawiała. Nie wiem, czy mój ojciec jest dobrym człowiekiem. Ale to nie ma znaczenia. Nawet gdyby był potworem, pozostanie moim ojcem. Wiesz, skarbie, dla nas, Chińczyków, szacunek wobec rodziców i dziadków jest rzeczą oczywistą i naturalną. Nie moją sprawą jest ocena moich przodków, za to wiem, że jestem im winien szacunek. Nie miłość, nie podziw, tylko po prostu szacunek. Niezależnie od tego, jak bardzo cię kocham, jak pokrewnymi duszami jesteśmy, wiem, że ciebie wychowano w innej tradycji i w innym świecie. Dlatego nie mam prawa doradzać ci w tej sprawie. Postępuj, jak ci serce dyktuje. Jeżeli nie chcesz, to nic nie rób. Jeśli chcesz, to spotkaj się z nim i powiedz, co pragniesz mu powiedzieć. Podejmij decyzję i przestań się zadreć. Twoje zdenerwowanie może zaszkodzić dziecku.

– Masz rację, Tan. Niepotrzebnie w ogóle o tym rozmyślam. To już zamknięta sprawa. – Pocałowała go i wysunęła się z jego ramion.

Usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać papiery firmy. Po godzinie nagle podniosła się z krzesła.

– Tan, jadę do mojego ojca. Porozmawiam z nim jednak – powiedziała stanowczo, pakując papiery do torby.

– Pojadę z tobą, chcesz?

– Nie, Tan, zostań w domu. Muszę to załatwić sama. Wrócę za godzinę, góra dwie. To niedaleko.

Zaparkowała przed znajomą bramą willi niedaleko parku Południowego. Dom nie wyglądał już tak imponująco, jak go pamiętała z dawnych czasów. Ogród był zapuszczony i zaniedbany. Tylko w jednym oknie na parterze widać było światło. Melania przycisnęła guzik dzwonnka przy furtce. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Roman Korab. Siwy, wiele lat starszy, lecz nadal ten sam. Podeszedł bliżej i spojrzał na nią.

– Małgorzata... – wyszeptał zdumiony.

– Nie Małgorzata – odrzekła spokojnie. – Melania, jej córka. Spotkaliśmy się już kiedyś, dawno temu.

– Tak, oczywiście – zająknął się. – Melania. Przepraszam, jest pani bardzo podobna do matki. Oczywiście.

– Witam pana – powiedziała Mela. – Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi, ale nie udało mi się znaleźć pana prywatnego numeru telefonu, żeby uprzedzić o mojej wizycie. Z tego, co udało mi się zobaczyć w Internecie, żadna z pańskich dawnych firm nie istnieje, więc nie miałam żadnej możliwości, żeby umówić się na rozmowę. Dlatego przyjechałam tutaj tak niespodziewanie.

– Prawda, tak, oczywiście. Bo ja już nie pracuję, jestem na emeryturze...

– To nie ma znaczenia. Czy mógłby mi pan poświęcić chwilę, możemy porozmawiać? Mam dla pana pewną ofertę.

– Ofertę? Jak to? Oczywiście, proszę do środka. – Otworzył przed nią drzwi furki. – Naturalnie, możemy porozmawiać. Proszę wejść.

Melania weszła do holu, Korab skierował ją ruchem dłoni do saloniku i wskazał jej miejsce na popękanej skórzanej kanapie.

– Proszę spocząć. – Uspokajał się powoli. – Kawy, herbaty? Mogę pani zaproponować coś do picia?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała grzecznie, kątem oka dostrzegając smutny stan tego dawniej tak eleganckiego i wypieszczonego pokoju. Firany w oknach były postrzępione, na meblach leżały pokłady dawno niewycieranego kurzu, na krzesłach leżały brudne koszule, a niski stolik zastawiony był naczyniami.

– Proszę wybaczyć nieporządek – powiedział Korab, rozglądając się z zakłopotaniem wokoło. – Mieszkam sam, rzadko miewam gości – tłumaczył się zawstydzony.

– To nie ma znaczenia – odrzekła krótko Melania. – Przyszłam tutaj, jak powiedziałam, bo mam dla pana propozycję. Nie wiem, czy panu wiadomo, że jestem z zawodu historykiem sztuki, tak jak pan. Moją specjalizacją są osiemnastowieczne Chiny, głównie meblarstwo, ale również malarstwo i ceramika.

– Wiem – przerwał jej z ożywieniem. – Czytałem pani publikacje. Fascynujące prace. Mnie, co prawda, zawsze bardziej interesował czternasty i szesnasty wiek w Europie, na tym się kiedyś najlepiej zarabiało w naszej branży, ale pani artykuły były niezwykle interesujące.

– Doskonale – powiedziała Melania. – To oznacza, że nie muszę przedstawiać panu referencji. Wyprowadzam się na stałe do Chin. Mam jeszcze we Wrocławiu doskonale prosperującą firmę handlu antykami. Stoję przed decyzją, co z nią zrobić dalej. Przyszłam zaproponować panu spółkę. Chciałabym, żeby pan zajął się organizacją sprzedaży tutaj, we Wrocławiu. Pracownicy firmy są doskonale przygotowani, biuro i salony sprzedaży funkcjonują bez zarzutu. O dostawę nowych towarów w dużej mierze jestem w stanie zadbać sama. Jednak nie będzie mnie na miejscu. Potrzebuję kogoś z doświadczeniem i kontaktami. Kogoś, kto zna branżę i środowisko europejskich kolekcjonerów sztuki. Pan się doskonale nadaje do tej pracy. Dlatego przyszłam do pana z tą propozycją.

Korab patrzył na nią jak na ducha. Siedział z szeroko otwartymi ustami, nerwowo splatając palce.

– To... – Chrząknął. – To bardzo interesująca i lukratywna oferta. Ale... No cóż, z przykrością muszę powiedzieć, że raczej nie stać mnie obecnie na kupno udziałów w pani przedsiębiorstwie. Ja, no cóż, wypadłem z obiegu. Jestem emerytem. Bardzo dziękuję, że pani o mnie pomyślała, ale to, niestety, niemożliwe.

– Pan chyba mnie nie zrozumiał – odparła spokojnie Melania. – Nie proponuję panu sprzedaży udziałów. Tu nie chodzi o pieniądze. Pańskim kapitałem będą jedynie pana wiedza, doświadczenie i kontakty. Firma finansowo jest doskonale zabezpieczona. Oczywiście, stosownie do swojego stanowiska dyrektora zarządzającego, będzie pan otrzymywał stałe wynagrodzenie i prowizję od transakcji. Ja pozostanę właścicielką, pan będzie udziałowcem bez kapitału własnego. Proponuję panu trzydzieści procent, sama zatrzymam siedemdziesiąt. Innych udziałowców nie ma i nie będzie. Interesuje to pana?

– Ale dlaczego? – wyszeptał cicho. Zbladł i pochylił się do przodu, jakby ktoś znieacka uderzył go w żołądek. – Dlaczego?

– Dlatego, że jestem w ciąży. Wyszłam za mąż za Chińczyka. Mój mąż jest, tak jak ja, historykiem sztuki. Mieszkamy w Pekinie. Oczekujemy dziecka. Dlatego że obowiązkiem dzieci jest okazywać szacunek rodzicom i dziadkom. Robię to z szacunku dla swojej matki. Robię to w imieniu mojego dziecka, aby okazać szacunek, wypełnić jego obowiązek względem dziadka.

Roman Korab opuścił głowę na piersi, po jego policzkach spływały łzy.

– Małgorzata była bardzo dobrą kobietą... – zaczął mówić cicho.

– Przepraszam – przerwała mu Melania. – Nie będziemy rozmawiać o mojej mamie, nie będziemy rozmawiać o przeszłości. Niepotrzebna mi pana spowiedź. Wiem doskonale, kim była moja mama. To dla niej, z szacunku dla jej pamięci, jestem tu dzisiaj. Chcę jedynie, aby pan odpowiedział, czy przyjmuje pan moją propozycję.

– Melania, dziecko... – Wyciągnął w jej stronę rękę.

– Nie, za późno – powiedziała spokojnie. – Proszę pana, my nigdy nie będziemy wielką szczęśliwą rodziną. Nie będziemy nawet przyjaciółmi. Jeśli przyjmie pan moją ofertę, będziemy jedynie razem pracowali. Robię to dla swojego dziecka, po to, żeby znało własne korzenie. Jeśli ono kiedykolwiek zdecyduje, że chce być pańskim wnukiem lub wnuczką, to będzie miało wszelkie drogi otwarte. Ale my nie będziemy rodziną. Czekam na pana decyzję. Jeśli przyjmie pan moją ofertę, proszę jutro przed dwunastą przyjść do mojego biura. Dokumenty będą już na pana czekały. Jeśli pan się nie zjawi, firma zostanie zamknięta. Za parę dni wracam do domu, do Pekinu. Nie musimy już więcej się spotykać.

Patrzył na nią, gdy energicznie podniosła się z kanapy i ruszyła do drzwi. Milczał; po jego twarzy nieprzerwanym strumieniem płynęły łzy.

– Do widzenia panu – powiedziała Melania, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

Wróciła do domu i przytuliła się mocno do Tana.

– Nadal nie mam ojca, kochany – szepnęła. – Ale za to nasze dziecko ma dziadka. Nawet jeśli nigdy go nie pozna, to go ma.

– To nieważne, Mel Lan. Mamy siebie, jesteśmy rodziną. Tylko to się liczy.

* * *

Ostatecznie Melania nie sprzedała swojej firmy, a Roman Korab nie został jej udziałowcem. Zgodnie z jego sugestią został powołany niezależny dyrektor zarządzający, który otrzymywał wysoką prowizję od transakcji, ale nie miał żadnego udziału w zyskach. Firma pozostała wyłączną własnością Melanii, która miała się zajmować wyszukiwaniem interesujących obiektów na rynku chińskim. Roman Korab został zatrudniony jako ekspert od spraw eksportu i aukcji. Z czasem zamierzał włączyć się w działalność firmy, powiększając ją o dział meblarstwa szesnastowiecznej Europy. Nigdy nie kontaktował się bezpośrednio z Melanią.

Rodzina Gong nadal mieszka w pekińskim hutongu w domu rodu Sieng, gdzie świętowali we trójkę dziewięćdziesiąte urodziny Gong Tian Lai. USG wykazało, że Mel Lan urodzi syna. Babcia nie będzie musiała przeproszać Tan Linga za rozczarowanie.

結束

Berlin, 1 maja 2016

Serdecznie dziękuję:

Za miłość – mojej rodzinie: Irenie, Zuzi i Uwe.

Za tolerancję – Joli,

Za szacunek – Barneyowi,

Za zaufanie – Pani Annie Derengowskiej,

Za pomoc – Pani Ewie Witan i pracownikom Wydawnictwa Prószyński.

Wszystkim, którzy podzielili się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniami, dzięki czemu ta książka mogła powstać:

Kani Alavi,

Panu Jerzemu Tomaszewskiemu,

Pani Melanii Jaworski z domu aukcyjnego Lepertz,

Panu Gongowi, współpracownikowi Sinorama,

Hani Peterseil,

Piotrkowi Peterseilowi.

Spis treści

I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII